W SIECI STRACHU
Jak skończyć z przemocą domową

OTWARTO TAJNE ARCHIWA
Watykan wobec komunizmu, III Rzeszy, Holokaustu i Polski

KRYM POD OKUPACJĄ
Mężczyźni w więzieniach, kobiety walczą dalej

KOŁAKOWSKI O PRYMASIE
Nieznana relacja filozofa ze spotkania z Wyszyńskim

Kraków 17 marca 2019 nr 11 (3636) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

JERZY HOFFMAN

Życie po potopach

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

NOWY WYMIAR DOBREGO SMAKU

ODKRYJ CZEKOLADY WAWEL PREMIUM

Unikalna jakość i smukły kształt tabliczek zamkniętych w nowym eleganckim opakowaniu to gwarancja wyjątkowych doznań. Cienka forma wykwintnej tabliczki zapewnia doskonałe wrażenia smakowe, pozwalając cieszyć się ich głębią.

Na niepowtarzalny smak naszych czekolad Premium wpływa oryginalna receptura oparta na najwyższej jakości składnikach – duża zawartość ziarna kakaowego, brak oleju palmowego, aromatów i sztucznych emulgatorów.

Jedwabista konsystencja czekolad Wawel Premium to zasługa długiego czasu ***konszowania**** masy czekoladowej i starannego procesu produkcji. To dzięki temu mają tak wysublimowany, wyrazisty charakter i poruszają zmysły.

****konszowanie** «proces uszlachetniający, mieszanie masy czekoladowej w temperaturze 55–90°C»*

KS. ADAM

Boniecki: *Plaga naszych domostw*

Historię, którą mi opowiedział, można streścić w kilku zdaniach. Był alkoholikiem. W domu urządzał awantury, aż któregoś dnia – powiada – żona i córki wyrzuciły go z domu. Został bezdomnym. Powoli docierało do niego, że sięgnął dna. Przerażony poszedł na terapię. Teraz już – jak twierdzi – nie pije. Jednak dla żony i córek okres jego trzeźwości jest za krótki. Podejrzewają, że przemiana jest powierzchowna. Boją się zaufać. Mówi o tym bez żalu ani pretensji. Przeciwnie, uważał, że one go uratowały. Wciąż ma nadzieję, że wreszcie go przyjmą. To było wiele lat temu. W tamtym mieście już więcej nie byłem, nie pamiętam nazwiska tego człowieka i nie wiem, czy jego historia zakończyła się happy endem. Jednak zawsze mi się przypomina, kiedy słucham opowieści o przemocy domowej.

Trudno się tych opowieści słucha, bo słuchaniu towarzyszy poczucie bezradności. Sposoby zaradzenia dramatycznym sytuacjom ofiary przemocy zwykle uznają albo za mało skuteczne, albo za nazbyt trudne. Lęk oraz głębokie uzależnienie psychiczne, a często także materialne od sprawcy przemocy prowadzą do fatalistycznej bierności i uznania, że tak już musi być i nie ma na to żadnej rady. Do tego czasem dochodzi motyw religijny, być może usprawiedliwienie bierności: ślubowanie przed Bogiem, sakramentalna nierozerwalność małżeństwa, miłość („beze mnie zginie marnie") i tak dalej.

Zwraca uwagę zakres zjawiska. W Polsce ofiarą agresji (nie tylko domowej) „pada każdego roku około 6 proc. kobiet. To szacunkowo ok. 800 tys. Polek, z których niemal połowa była krzywdzona przez partnerów i mężów. CBOS w 2012 r. podawał, że co trzecia Polka znała bite kobiety, co dziewiąty respondent żyjący w stałym związku sam doświadczył przemocy, a tyle samo przyznawało, że zdarzyło im się być sprawcą" (pisze o tym w tekście „Piramida strachu" Przemysław Wilczyński). To przypadki uchwycone przez badających. Prawdy o zasięgu przemocy domowej nie obejmują żadne statystyki. Zasięg tego zjawiska jest znacznie szerszy niż, wynika z oficjalnych statystyk. Wśród plag, które nękają nasze społeczeństwo, ta jest trudniejsza do wytropienia od innych i na wszelkiego rodzaju ustawowe remedia bardziej odporna niż piractwo drogowe, korupcja, złodziejstwo itd.

Zaangażowani w zwalczanie przemocy domowej i w niesienie pomocy jej ofiarom ubolewają nad mizerią tej pomocy, porównując sytuację w Polsce z tym, co osiągnięto w niektórych krajach Europy. Mają rację, jednak trudno nie przyznać, że od wprowadzenia krajowego programu antyprzemocowego (w 1990 r.) wiele się u nas zmieniło na lepsze. Zmiany w prawie, „niebieska karta", placówki niosące pomoc ofiarom, stowarzyszenia takie jak Niebieska Linia, instytuty badawcze itd. Wszystko to – nawet jeśli wciąż jest obciążone nadmierną biurokracją, funkcjonuje niedoskonale i w zbyt małym zasięgu świadczy o podjęciu przez państwo problemu – już przez samo to zasługuje na szacunek. Bardzo wiele zależy i będzie zależało od profesjonalizmu zaangażowanych w programy psychoterapeutów, których miejsce jest gotowa zająć rzesza profesjonalistów... komercyjnych w różnych ośrodkach prywatnych.

Psycholog Beata Zadumińska zauważa, że dziś „przemoc otwarcie agresywna zmienia się w bardziej wyrafinowaną i ukrytą. Dziś ludzie są zbyt kulturalni i mają za duży element autokontroli, by dokonywać otwartych ekscesów". Wtedy żadna „niebieska karta" nie wchodzi w rachubę, nie da się wezwać policji ani odebranych razów poddać lekarskiej obdukcji. Niby nic się nie dzieje, „tylko" tygodniami trwa lodowate milczenie, nieustannie powtarzają się oznaki pogardy, unieważnianie i dawanie partnerowi/partnerce do zrozumienia, że jest niczym. Zimna poprawność jest kiepską osłoną okrucieństwa. Statystyk ofiar (licznych) tego rodzaju psychicznej przemocy nie mamy i mieć nie możemy, lecz nie zostawiajmy ich w samotności. ©℗

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast

My, Ziemianie Sześcioro ludzi w kosmosie i dziesiątki tysięcy specjalistów w agencjach z całego świata współpracują pokojowo nad czymś, co jest prawdopodobnie najbardziej skomplikowanym przedsięwzięciem, na jakie poważyła się ludzkość.
– To absolutnie najlepszy model tego, jak powinniśmy ze sobą żyć i współpracować jako załoga statku kosmicznego „Ziemia" – opowiada „Tygodnikowi" **NICOLE STOTT**, astronautka, inżynierka, aquanautka, pilotka, malarka i edukatorka, która na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej spędziła 91 dni. – Codziennie zarządzamy tam zasobami tak, żeby mogło się na stacji toczyć życie. I nie wpadliśmy jeszcze na to, że na Ziemi musimy robić to samo.

Słuchaj w RSS | iTunes | Google Podcasts | Spotify

NASA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

64 Życie po potopach
Z JERZYM HOFFMANEM, REŻYSEREM, ROZMAWIA KALINA BŁAŻEJOWSKA:
Gdybym wszystkie filmy kręcił w warunkach kapitalizmu, byłbym dzisiaj jednym z najbogatszych ludzi w Polsce. „Trylogia", „Trędowata", „Znachor" – nazbierałoby się tego trochę!

28 O wózku ani słowa
KRZYSZTOF STORY
Obaj po trzydziestce, obaj na wózkach inwalidzkich. Od ponad 10 lat żaden z nich nie postawił kroku. Uparli się, że przejadą samochodem przez obie Ameryki. O podróży opowiada Michał Woroch.

42 Jezus, prymas, filozof i pierwszy sekretarz
ZBIGNIEW MENTZEL
Spotkali się raz. Rozmawiali kilka godzin. Kołakowskiemu wydał się Wyszyński człowiekiem „z mentalności dość obcym".

46 Pięć lat okupacji
ROZMOWA Z LUTFIJE ZUDIJEWĄ, DZIAŁACZKĄ TATARSKĄ Z KRYMU:
Zawsze chciałam być nauczycielką. Dopiero gdy represje stały się elementem naszej codzienności, zdałam sobie sprawę, że muszę się zaangażować w opór.

78 Łowca dźwięków
ADAM ROBIŃSKI
Wzrok przykrywa nam wszystko. Najpierw widzimy, więc uważamy, że już nie potrzebujemy słyszeć, co mówi rzeka – mówi muzyk Michał Zygmunt.

32 Z archiwum „W"
EDWARD AUGUSTYN
Papież Franciszek udostępnia kolejną część tajnego archiwum: dokumenty o tym, jak Watykan patrzył na III Rzeszę, Holokaust, komunizm. A także na okupowaną Polskę.

MICHAŁ WOROCH // ANTON NAUMLIUK // ERIC GAILLARD / REUTERS / FORUM // FILIP SPRINGER // DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS // ZENON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

6 Migracje: niekończąca się historia
MARCIN ŻYŁA

6-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Nie straszcie nas populistami
KLAUS BACHMANN

26 Żeby Polska była siecią
PIOTR KOZANECKI *o deglomeracji*

28 O wózku ani słowa
KRZYSZTOF STORY

■ ■ WIARA

32 Z archiwum „W"
EDWARD AUGUSTYN

36 Odruchy plemienne
KS. JACEK PRUSAK SJ: *Jaki pomysł na kryzys znajdziemy w Ewangelii?*

38 Wygumkować, wyciąć, zakazać PIOTR LITKA

39 Niepublikowana homilia poświęcona śmierci księdza Popiełuszki KS. JÓZEF TISCHNER

40 Ryzyko nowego
MONIKA I MARCIN GAJDOWIE: *Ćwiczenia wielkopostne (1)*

■ ■ OPINIE

42 Jezus, prymas, filozof i pierwszy sekretarz
ZBIGNIEW MENTZEL

■ ■ ŚWIAT

46 Pięć lat okupacji
ROZMOWA Z LUTFIJE ZUDIJEWĄ

■TEMAT TYGODNIKA ■

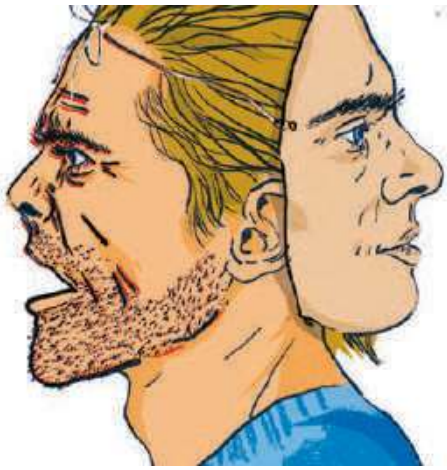

BARBARA NIEWIADOMSKA

12 Twarze przemocy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Z przemocą domową da się skończyć. Tyle że sukces nie wynika zwykle z dobrego prawa i systemu, ale z pracy tych, którzy ponad ten system wyrastają.

16 W sieci strachu
Z BEATĄ ZADUMIŃSKĄ, PSYCHOLOŻKĄ, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:

Rodzina przemocowa to rodzina ludzi nieśpiących, będących w ciągłej maskowanej rozpaczy.

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
41 SZYMON HOŁOWNIA **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JERZY HOFFMAN
Fotografia: RAFAŁ PLACEK
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

49 Zuzana i chłopcy PATRYCJA BUKALSKA: *Prezydentem Słowacji może zostać kobieta, do niedawna nieobecna w polityce*

51 Ciemne oblicze Słowacji
ROZMOWA Z MARKIEM VAGOVIČEM

53 Gra w chińczyka
MARTA ZDZIEBORSKA: *Chińskim studentom na amerykańskich uczelniach jest coraz trudniej*

■ ■ HISTORIA

56 Republika jednodniowa
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *80 lat temu powstała Ukraina Karpacka*

■ ■ NAUKA

60 W trybie stymulacji
ŁUKASZ KWIATEK: *Przystąpiłem do testu trybów poznawczych. Wynik?*

■ ■ KULTURA

64 Życie po potopach
ROZMOWA Z JERZYM HOFFMANEM

70 Z sympatią dla niebytu
JAN BŁASZCZAK: *Gdański zespół Trupa Trupa podpisał kontrakt ze słynną wytwórnią Sub Pop*

72 Teatralne TKM DARIUSZ KOSIŃSKI: *Spektakl „Panny z Wilka" w reżyserii A. Glińskiej*

74 Razem jest cieplej
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Złodziejaszki"*

76 Niepokój
LEKTOR *o książce „Dziennik. Jeszcze jedno zdanie" T. Sobolewskiego*

■ ■ ZMYSŁY

78 Łowca dźwięków
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży

W Polsce panuje przekonanie, że pracownicy fizyczni nie powinni zbyt dużo zarabiać. To zatruty owoc transformacji – **RAFAŁ WOŚ** *w autorskim cyklu zastanawia się, komu i dlaczego przeszkadza pensja tramwajarza.* **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Ratunek dla dzikiego kota

Żbik szkocki może wkrótce wyginąć. A jest rzadszy od górskiego goryla czy pandy wielkiej – **PATRYCJA BUKALSKA** *pisze o tym, że przed Szkocją ostatnia szansa na zachowanie tego podgatunku, jednego z najrzadszych ssaków na Ziemi.* **powszech.net/zbik-szkocki**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

MIGRACJE: NIEKOŃCZĄCA SIĘ HISTORIA

Im dłużej politycy będą nas przekonywać, że masowe migracje to zjawisko nadzwyczajne, tym gorzej wyjdą na tym przyszłe pokolenia.

MARCIN ŻYŁA

Nad jeziorem Wolta, Ghana, marzec 2018 r.

GRAŻYNA MAKARA

Tu i ówdzie znad tafli wody wystają jeszcze korony drzew – ostatnie przypominają, że pół wieku temu na miejscu sztucznego jeziora rósł przepastny las deszczowy. Prócz nich wokół zbiornika Wolta w Ghanie zmieniło się wszystko.

Przede wszystkim po uruchomieniu tamy przybyli ludzie. W krótkim czasie powstało ponad tysiąc osad rybackich (dziś z jeziora utrzymuje się ok. 400 tys. osób). Odżyły wsie położone wzdłuż dróg prowadzących do przystani promowych. Na południe regionu zaczęli przyjeżdżać turyści. Zaszły też złe zmiany: nad Woltą do przymusowej pracy wykorzystuje się dzieci; zaogniły się relacje między ludźmi – od czasu do czasu słychać nawet głosy wzywające do niepodległości regionu. Nikt jednak nie nazywa tu ostatnich kilku dekad „kryzysem". Powstała po prostu nowa rzeczywistość. I choć nie jest to przełożenie jeden do jednego, historia z Ghany świetnie pokazuje istotę masowej migracji: to, koniec końców, zjawisko lokalne, którego skala sprawia, że nadchodzi nieuchronna zmiana.

Szkoda, że wielu polityków nie chce tego dostrzegać. Viktora Orbána i jemu podobnych – którzy przedstawiają migracje jako niekończący się kryzys zagrażający wszystkiemu – trzeba potępiać. Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej – który w minionym tygodniu ogłosił, że kryzys migracyj-

ny w Europie się skończył (jakby dało się to zadekretować) – można od biedy zrozumieć: jego wypowiedź była polemiką właśnie z premierem Węgier. Kłopot w tym, że kiedyś, gdy świat nie będzie już pamiętał nazwisk obecnych polityków, kolejne pokolenia będą się mierzyły ze skutkami ich zaniedbań – w tym w samej narracji o kryzysie.

Bo choć dane, do których odwoływał się Timmermans – spadek liczby migrantów i uchodźców, którzy przybyli do Europy przez Morze Śródziemne, do ok. 117 tys. (2018 r.; to 89 proc. mniej niż w 2015 r., uznawanym za apogeum kryzysu) – są niezaprzeczalne, a chaos, który utrzymywał się dotąd w krajach południowej Europy, powoli mija, to w Libii tysiące ludzi znajdują się w nieformalnych centrach zatrzymań, przez ogarnięty wojną Jemen wiedzie szlak z Afryki nad Zatokę Perską, temat migracji z Ameryki Łacińskiej wpływa zaś na sytuację w Stanach Zjednoczonych.

Czy więc stan, który – w skali świata – jest permanentny, wciąż należy nazywać „kryzysem"? Czy utrzymywanie, że jesteśmy w sytuacji awaryjnej, która wymaga nadzwyczajnych działań, a czasem wręcz zawieszania zasad (tym *de facto* jest współpraca Unii z państwami Sahelu, które powstrzymują migrantów z Afryki subsaharyjskiej), nie tworzy w nas mylnego obrazu przyszłego świata? Coś już o nim przecież wiemy: do 2050 r. ludność Afryki się podwoi; do obecnych ok. 250 mln migrantów same skutki zmiany klimatu dodadzą ok. 200 mln kolejnych. Masowe migracje – jeśli będą zarządzane przez społeczność międzynarodową tak źle, jak dotąd – mogą storpedować wzrost gospodarczy państw, które – jak Etiopia – w ostatnich latach dźwigały się po dekadach biedy. Z kolei w państwach wysokorozwiniętych (a należy do nich Polska) będą odpowiadać za 82-procentowy wzrost populacji. Przeobrażenia demograficzne, społeczne i religijne będą dużo gwałtowniejsze i dotyczyć będą większej liczby ludzi. Trochę tak, jakby w okolicy każdego z nas powstało nagle wielkie jezioro – i zmieniło się wszystko.

A to też nie będzie koniec. Tak jak w samej Ghanie, której pokojowy rozwój od czasu uruchomienia zbiornika Wolta sprawił, że spadła śmiertelność noworodków i wzrosła liczba dzieci. Efekt? Coraz więcej Ghańczyków myśli o migracji. To historia bez końca.

©℗

Rosyjskie władze kontra wolność internetu

ANNA ŁABUSZEWSKA

Duma Państwowa przyjęła dwie ustawy, które przewidują kary za znieważanie władz w internecie i rozpowszechnianie fake newsów. Za złamanie przepisów grożą wysokie grzywny. I tak, opublikowanie na profilu w mediach społecznościowych treści uznanych za obrażające godność prezydenta, rządu, parlamentu lub sądów w nieprzyzwoitej formie może zostać uznane za chuligaństwo i ukarane grzywną 30-100 tys. rubli, przy ponownym wykroczeniu 100-200 tys. rubli, a przy wielokrotnym 200-300 tys. lub 15 dni aresztu. Ma to być bat na wolnomyślicielstwo w nietradycyjnych mediach. Notowania władzy, nawet teflonowego dotąd prezydenta, ostatnio spadają. Czy zmuszanie do szacunku przywróci szacunek społeczny? Można mieć wątpliwości.

Wysokie kary grożą też za złamanie przepisów ustawy o fake newsach. Narzuca ona redakcjom obowiązek usuwania informacji uznanych za nierzetelne, które mogą zagrozić porządkowi publicznemu. Ustawa będzie narzędziem nacisku na media. Rozmyte kryteria oceny tego, co groźne dla społeczeństwa i co stanowi kamień obrazy dla władz, umożliwią prokuraturze (bo to ona, a nie sądy, będzie decydować o stosowaniu przepisów) usuwanie z przestrzeni publicznej niepożądanych informacji. Czy nowe przepisy będą skuteczne z punktu widzenia władzy? Też można mieć wątpliwości.

Równolegle trwają wysiłki na rzecz stworzenia technicznej możliwości autonomicznej pracy rosyjskiego segmentu internetu (to tzw. Runet). W lutym Duma przyjęła w pierwszym czytaniu ustawę o bezpieczeństwie cyfrowym. Autorzy projektu (m.in. Andriej Ługowoj, podejrzewany o otrucie Aleksandra Litwinienki izotopem polonu) uzasadniają celowość odłączenia Runetu od światowej sieci tym, że rosyjskie serwery za pośrednictwem internetu mogą stać się obiektem cyberataków. Czy ustawa zostanie uchwalona? Zobaczymy wkrótce. Na razie w minioną niedzielę w Moskwie odbyła się wielotysięczna demonstracja w obronie wolnego (dostępu do) internetu.

©℗

ZOHRA BENSEMRA / REUTERS / FORMAT

Algierska wiosna i prezydent-mumia

ABDELAZIZ BOUTEFLIKA ma problem. Ale ten prezydent Algierii z 20-letnim stażem, który w minioną niedzielę wrócił do kraju z Genewy, gdzie przez dwa tygodnie poddany był leczeniu, chyba nie jest tego świadom: 82-latek przeszedł szereg udarów, jeździ na wózku i ma słaby kontakt ze światem. Oponenci mówią o nim „mumia", co byłoby złośliwością wobec chorego człowieka, gdyby nie to, że jego trwanie ma dramatyczne skutki.

Problem polega na tym, że zwłaszcza młodzi ludzie mają dość „wiecznego" prezydenta i marazmu w kraju. Od kilku tygodni trwają masowe protesty (na zdjęciu). Wywołała je wiadomość, podana 22 lutego, że Bouteflika będzie ubiegać się o piątą kadencję. Nastrojów nie uspokoiła deklaracja, że jeśli zostanie wybrany, wkrótce złoży urząd. W miniony weekend na ulice wyszły setki tysięcy ludzi. O ile na początku protesty były pokojowe, teraz dochodzi do starć; w stolicy raniono kilkuset demonstrantów.

Obserwatorzy sądzą, że rządząca ekipa – kierują nią Saïd Bouteflika (młodszy brat), wyżsi oficerowie i liderzy Frontu Wyzwolenia Narodowego (partii rządzącej) – usunie prezydenta, by uspokoić nastroje. Ale to może być za mało. Jeśli młodzi będą dalej protestować – żądając prawdziwej demokracji, obiecanych w 2011 r. reform (niezrealizowanych) i zmiany systemu – wojsko może otwarcie przejąć władzę i zawiesić wybory. Na razie wydłużono ferie dla studentów, by zatrzymać ich w domach. Wątpliwe, czy to poskutkuje. W kraju jest 1,7 mln studentów i to oni stanowią trzon protestów.

©℗ WP / NZZ, FAZ, DPA

DHAKA TRIBUNE

Człowiek, który nauczył Bangladesz czytać

DO HISTORII PRZEJDZIE JAKO „ALOR FERRYWALA”, czyli „Dostawca światła”: Bangladesz opłakuje zmarłego 1 marca Polana Sarkara, jednego z najwybitniejszych działaczy społecznych, który przez niemal 30 lat przemierzał pieszo wiejskie regiony kraju, zachęcając ubogich mieszkańców do nauki czytania.

Urodził się w 1921 r. w miejscowości Bagatipara, przy obecnej granicy z indyjskim Bengalem Zachodnim. Gdy miał pięć lat, zmarł mu ojciec. Sytuacja rodziny pogorszyła się wówczas na tyle, że musiała przenieść się do dziadków. Chłopiec, noszący jeszcze nazwisko Harez Udin, zaczął chodzić do wiejskiej szkoły, której jednak nie ukończył, bo matki nie było stać na czesne. Pracował w gospodarstwie dziadków, ale każdą wolną chwilę poświęcał samodzielnej edukacji. „Pożyczałem książki zewsząd, aż zdałem sobie sprawę, że w okolicy nie ma ani jednej, której bym nie przeczytał” – wspominał w wywiadzie telewizyjnym w 2006 r.

Pracę społeczną, która w 2011 r. przyniosła mu medal Ekushey Padak, drugie najwyższe odznaczenie cywilne Bangladeszu, Polan Sarkar rozpoczął w 1965 r., gdy otworzył szkołę dla dzieci z najbiedniejszych wiejskich rodzin. W 1992 r. lekarze zdiagnozowali u niego cukrzycę i nakazali więcej ruchu. Zaczął wówczas wędrówki po okolicznych wsiach z torbami książek, które wypożyczał bezpłatnie wszystkim chętnym, zwłaszcza dzieciom i kobietom.

Według danych UNESCO wskaźnik analfabetyzmu w Bangladeszu spadł w ub. roku do najniższego w dziejach kraju poziomu 27,24 proc., ale na ubogich terenach wiejskich wciąż sięga nawet 40 proc.

©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

POWIAŁO. Kilka tysięcy interwencji straży pożarnej i kilkaset tysięcy odbiorców bez prądu to efekt przechodzących nad Polską wichur i burz. Najtrudniejsza sytuacja panuje w Małopolsce i na Podkarpaciu, gdzie w trakcie atmosferycznych wyładowań odbywała się konwencja PiS, podczas której Jarosław Kaczyński perorował na temat zagrożeń związanych z bardzo wczesną seksualizacją dzieci.

ZNIKNĘŁO. À propos seksualizacji dzieci i zagrożeń: Rada Miasta Gdańska zdecydowała o zmianie nazwy skweru ks. Henryka Jankowskiego, odebraniu dawnemu kapelanowi Solidarności honorowego obywatelstwa miasta i likwidacji jego pomnika. Usunięcie tego ostatniego z przestrzeni miejskiej zajęło 15 minut.

ZABRAKŁO. Główny Inspektor Farmaceutyczny poinformował z kolei o wycofaniu z obrotu ziół do zaparzania z korzenia arcydzięgla, produkowanych przez Zakład Zielarski „Kawon-Hurt” Nowak Sp. J. Brak w sprzedaży popularnego leku na niestrawność, podobnie jak zawirowania pogodowe, tłumaczyć może niejedno z ubiegłotygodniowych zdarzeń.

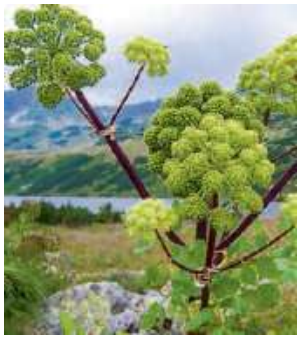

WIKIPEDIA.ORG

STUKNĘŁO. Dwóch kolejnych stłuczek z udziałem samochodów Służby Ochrony Państwa (na moście Łazienkowskim w Warszawie i na obwodnicy Krakowa) nie tłumaczymy brakiem jakichkolwiek leków. Nic nie pozbawi nas przekonania, że w służbie tej pracują najlepsi z najlepszych.

POLAŁO. Jeszcze lepsi pracują tylko w „Wiadomościach” TVP. Ich krytyczny materiał o tym, że pełnoletnia prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz kupiła w sklepie butelkę wódki, odebraliśmy jako wielkie wołanie o trzeźwość. Wołanie do lustra.

Nie ma miejsca na Bodnara

PAWEŁ BRAVO

Adam Bodnar za półtora roku na pewno nie będzie rzecznikiem praw obywatelskich. Nie chce już starać się o następną kadencję (obecna kończy się we wrześniu 2020 r.). „Ubieganie się przez Rzecznika Praw Obywatelskich o drugą kadencję w takim systemie władzy, jaki my mamy, i przy tej gorączce sporów politycznych jest czymś nie najlepszym, ponieważ to w ciągu ostatniego roku siłą rzeczy zmusza Rzecznika, żeby kalkulował: co mam zrobić, żeby mnie wybrali albo żeby się komuś nie narazić” – tłumaczył w wywiadzie dla Onet.pl w zeszłym tygodniu.

Nie należy dać się zwieść spokojnemu tonowi tej wypowiedzi. Dawno nie słyszeliśmy tak dramatycznego oskarżenia stanu politycznej anomii i zawłaszczenia pracy państwowej przez partyjną politykę. Bodnar już dawno pełnił rolę niemalże ostatniego bezstronnego i skupionego na dobru obywatela urzędnika na szczeblu centralnym. Punktował twardo nadużycia władzy, bo taka jest misja jego urzędu, ale nie budził podejrzeń, że robi to, bo sprzyja obecnej opozycji i zamierza wobec niej kiedyś stosować taryfę ulgową. „Gorączka sporów politycznych” to eufemistyczne określenie, że także i ten bezpiecznik sprawiedliwego państwa podlega wyłącznie logice partyjnego przetargu. Bodnar ma niestety rację: PiS mu nie przepuści. Od dawna deklaruje chęć pozbycia się go. A gdyby obecna opozycja miała wygrać na jesieni wybory do Sejmu, to wymagałaby paktowania i uników (np. w kwestii pilnowania, czy powyborcze „dorzynanie watahy” nie narusza praw obywatelskich obecnie rządzących).

Taka jest logika wojny. ©℗

LICZBA TYGODNIA

175,9 mln zł

To wynik 27. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, podczas którego zbierano na zakup sprzętu dla specjalistycznych szpitali dziecięcych. W ciągu ostatnich pięciu lat wzrost zebranych kwot podczas WOŚP był prawie dziesięciokrotnie szybszy niż w poprzedniej pięciolatce (w 2015 r. zebrano 53,1 mln zł, a w 2010 r. 39,4 mln zł). Podczas wszystkich poprzednich 26 Finałów WOŚP zebrała ponad 951 mln zł.

Parasolem w dzieci

U GÓRY „TĘCZOWY DESZCZ”, poniżej parasol z logo PiS, pod nim czteroosobowa rodzina. Nad tym wszystkim, żeby nie było żadnych wątpliwości, będący cytatem z Jarosława Kaczyńskiego wpis marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, który tę grafikę wrzucił do sieci: „Mówimy »Nie!« atakowi na dzieci. Nie damy się zastraszyć. Będziemy bronić polskie rodziny”. I jeszcze kontekst: podpisana przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego tzw. deklaracja LGBT. To przed tym m.in. dokumentem – mającym na celu ochronę mniejszości przed przemocą, a mówiącym o potrzebie edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej – Prawo i Sprawiedliwość chce „bronić polskie rodziny”.

Jej członkowie na grafice PiS nie mają oczu, są „zaślepieni” – zwracano uwagę po tym, jak ilustracja znalazła się w sieci, kpiąc, że partia Kaczyńskiego ma tak niskie mniemanie o Polakach. Można też spojrzeć na ten rysunek inaczej: członkowie „rodziny” są pozbawieni twarzy, bo też nie o żadną realną rodzinę tu chodzi, tylko o ideologiczny fantazmat.

Bo polska rodzina to także dzieci poczęte poza małżeństwami (już co czwarty nowo narodzony Polak, a więc prawie 100 tys. rocznie!). Polska rodzina to też – czy się to komuś podoba, czy nie – rodzice o innej orientacji seksualnej. Polska rodzina to homoseksualni nastolatkowie chodzący do polskich szkół, w których temat seksualności to rzadziej pole ideowych sporów, „jak i kiedy O TYM mówić”, częściej zaś głuchego tabu, które teraz może się tylko umocnić (jedna z matek nieheteronormatywnego i wyalienowanego w swoim środowisku dziecka opowiadała mi niedawno, co czuje, gdy słyszy o kolejnej szkolnej pogadance na temat szkodliwości palenia lub korzystania z internetu...).

PiS broni więc wiele polskich rodzin przed nimi samymi. A przy okazji przekracza kolejną barierę w dziele szczucia na siebie Polaków. Teraz do jatki zaproszono polskie dzieci i młodzież: są „ci spod parasola” i ci „tworzący tęczę”.

Pozostaje nadzieja, że ten podział to jedynie wytwór chorej politycznej wyobraźni.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

MONTAŻ „TP”

W trosce o markę PiS

CHCEMY ZAPROPONOWAĆ USTAWĘ, która obniży możliwość sprzedaży przez sieci wielkopowierzchniowe produktów pod ich własną marką – zapowiedział premier Mateusz Morawiecki podczas Europejskiego Forum Rolniczego w Jasionce.

Po kawałku kiełbasy wyborczej dla rodzin (500 plus na pierwsze dziecko) i emerytów (13. wypłata) nadszedł czas na ofiarę dla trzeciego bożka każdych polskich wyborów – rolników. Ukłony w ich stronę PiS bił już po pierwszej turze wyborów samorządowych, które pokazały mu, że w miastach nie zyska nowych klientów dla własnej marki politycznej. Wieś od lat ma na pieńku z dużymi sieciami handlowymi, wybór był zatem oczywisty. Zwłaszcza że ok. 40 proc. z nich kontroluje w Polsce kapitał niemiecki.

Politycy PiS twierdzą, że ograniczenie sprzedaży produktów pod markami własnymi pomoże polskim rolnikom. W rzeczywistości wpływ regulacji na finanse wsi będzie znikomy lub wręcz żaden. Zyskają natomiast duże koncerny spożywcze, którym rząd zrobi w sklepach więcej miejsca, ale bez gwarancji, że w zamian podzielą się dodatkowym zyskiem z polskimi rolnikami. Jak zresztą miałyby to zrobić? Wśród produktów kupowanych najchętniej jako marki własne są np. ryż, kawa i herbata.

Klienci lubią produkty *private label*, bo zwykle kosztują mniej od wyrobów renomowanych marek. Rocznie wydajemy dziś na nie ok. 50 mld zł rocznie. Stronniczy komentator mógłby dostrzec zatem w tych planach także troskę o budżet, który zyska w ten sposób dodatkowy miliard lub dwa z VAT.

Na szczęście wszyscy wiemy, że chodzi o Polskę.

©℗ MAREK RABIJ

W swoje ręce

ANNA GOC

ŚWIECCY KATOLICY URUCHOMILI TELEFON wsparcia dla ofiar przemocy seksualnej w Kościele. „Zranieni w Kościele” to inicjatywa warszawskiego KIK-u, Laboratorium „Więzi” i Fundacji Pomocy Psychologicznej Pracownia Dialogu. Telefon (800 280 900), przy którym będą czekali psychologowie i psychoterapeuci, ma być czynny w każdy wtorek w godz. od 19 do 22.

Kiedyś byłam przez kilka godzin obok kobiety, która szukała pomocy telefonicznej: jako nastolatka była wykorzystana seksualnie przez księdza, przeszła kilkuletnią terapię, a już jako dorosła chciała sprawdzić, jak działa system pomocy ofiarom, którą gwarantuje Kościół (kilka lat temu w każdej diecezji i zgromadzeniu zakonnym powołano delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży).

Kobieta zaczęła od telefonu do swojej diecezji – nikt nie odebrał. Potem próbowała dodzwonić się do innych (w ponad połowie przypadków nie znalazła jednak numerów delegatów). Pamiętam, jak jej opanowany dotąd głos zaczął drżeć, gdy jeden z delegatów podniósł słuchawkę. Pamiętam, ile razy ona chciała ją odłożyć – gdy któryś z nich stwierdził, że „jest pierwszą, która dzwoni w tej sprawie”, a jeszcze inny zaproponował spotkanie w obecności dwóch księży, w budynku kurii. Pamiętam też ulgę, gdy któryś z delegatów jej pomógł.

Można pytać, dlaczego pomoc nie była dostępna w każdej diecezji. Można się zastanawiać, dlaczego przeszkoleni delegaci popełniali takie błędy. Ale można też wziąć sprawę w swoje ręce, jak próbują to robić teraz świeccy katolicy.

©℗

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PATRYCJA BUKALSKA, autorka tekstu o Słowacji (patrz str. 49), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 13 marca o godz. 15.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Wołanie ziemi i ubogich

„RELIGIE I CELE ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU: Słuchanie krzyku ziemi i ubogich" – to temat międzynarodowej konferencji zorganizowanej w Watykanie przez Dykasterię ds. Integralnego Rozwoju Człowieka oraz Papieską Radę ds. Dialogu Międzyreligijnego w dniach 7–9 marca. Wśród uczestników znaleźli się przedstawiciele m.in. islamu, judaizmu, buddyzmu i różnych Kościołów chrześcijańskich. „Powinniśmy wszyscy zaangażować się w promowanie oraz realizowanie zasad rozwoju, które są wspierane przez nasze najgłębsze wartości religijne i etyczne" – apelował Franciszek podczas spotkania z uczestnikami konferencji. Jego zdaniem potrzebne są dzisiaj konkretne odpowiedzi na wołanie ziemi i ubogich.

Z Polski w konferencji uczestniczyła przedstawicielka Polskiej Akcji Humanitarnej oraz o. Stanisław Jaromi, przewodniczący Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu. – Najczęściej cytowane przez rozmówców były dwa dokumenty – mówi „Tygodnikowi" o. Jaromi – ekologiczna encyklika Franciszka „Laudato si" oraz Deklaracja z Abu Zabi o ludzkim braterstwie, ponieważ przy rozwiązywaniu współczesnych wyzwań musimy szukać tego, co łączy, a nie tego, co dzieli.

Polski franciszkanin zauważył, że choć wiele mówiono o solidarności, polskie doświadczenie solidarności nie było obecne.

©℗ ARTUR SPORNIAK

Toast za przyjaciół

RADOŚĆ to jedna z najbardziej autentycznych cech świętości i dar Ducha Świętego – pisze Franciszek we wstępie do książki „Napij się z umiarem trochę wina. Chrześcijańska trzeźwość" (wyd. watykańskie LEV), zawierającej komentarz św. Jana Chryzostoma do słów św. Pawła (1 Tm 5, 23) zalecających picie wina. Papież chwali radość przeżywaną we wspólnocie w takich chwilach jak biesiadowanie i wznoszenie toastów. Zauważa, że chrześcijanie czasem nie potrafią cieszyć się życiem, „goniąc za ulotnymi przyjemnościami czy ulegając pewnym rygoryzmom". I precyzuje: radość zachowuje się dzięki trzeźwości, czyli „umiejętności podporządkowania pragnienia własnej przyjemności relacjom międzyludzkim". Radości trzeba strzec – podkreśla papież – podobnie jak wiary czy przyjaźni.

©℗ MAM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POLSKA MIZERIA. Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej rozesłało „niezbędnik" na temat ochrony nieletnich przed wykorzystaniem seksualnym w Kościele. W rozdziale przedstawiającym reakcje władz kościelnych na problem jedyną informacją z Polski jest… raport fundacji Nie Lękajcie Się, oskarżający polskich biskupów o bronienie przestępców, jedynym odnotowanym działaniem polskiego episkopatu jest zaś przyjęcie wytycznych.

MILLION DOLLAR VEGAN

WEGANKA I PAPIEŻ. Genesis Butler, 12-letnia aktywistka walcząca o prawa zwierząt (na zdjęciu), poprosiła papieża, aby w Wielkim Poście zrezygnował z jedzenia mięsa i produktów odzwierzęcych. W odpowiedzi otrzymała błogosławieństwo Franciszka, jednak bez żadnej deklaracji na temat diety.

MNIEJ KSIĘŻY. Na koniec 2017 r. żyło 7,4 mld ludzi, w tym 1,313 mld katolików, co stanowi 17,7 proc. ogółu ludności Ziemi – podaje najnowszy Rocznik Statystyczny Kościoła (Annuarium Statisticum Ecclesiae). Prawie połowa katolików (48,5 proc.) zamieszkuje obie Ameryki, na drugim miejscu jest Europa – 21,8 proc. W porównaniu z rokiem 2016 liczba wiernych wzrosła o 1,1 proc. Największy przyrost odnotowały Afryka – o 2,5 proc. i Azja – o 1,5 proc., a najmniejszy Europa – 0,1 proc. Po raz pierwszy od 2010 r. stwierdzono spadek liczby kapłanów: w 2017 r. było ich 414 582, podczas gdy rok wcześniej – 414 969. Wzrosła natomiast liczba biskupów, diakonów stałych, misjonarzy świeckich i katechistów.

Umniejszony sukces polskich piłkarek

JAK TRAKTOWANY JEST KOBIECY FUTBOL? Prowadzący uroczystość wręczenia Złotej Piłki (nagroda dla najlepszych piłkarzy świata) proponuje, by zwyciężczyni w kategorii pań, Norweżka Ada Hegerberg, pokręciła pupą dla innego z wyróżnionych. Reprezentantki Polski podróżują na eliminacje mistrzostw świata do Szkocji tanimi liniami, samolot ma siedmiogodzinne opóźnienie i w związku z tym nie można przeprowadzić przedmeczowego treningu. Przed spotkaniem w Albanii błąd urzędnika PZPN powoduje niezgłoszenie do gry sześciu zawodniczek. Kiedy w ubiegłym tygodniu Polki po raz pierwszy w historii grają w finale prestiżowego Pucharu Algarve (na zdjęciu Norweżka Caroline Graham Hansen i Martyna Wiankowska), w naszych mediach nie sposób o tym przeczytać, a jeśli już, mowa jest o „porażce polskich piłkarek" albo o tym, że „Polki musiały uznać wyższość Norwegii".

W rozgrywanym od 1994 r. Pucharze Algarve reprezentantki Polski albo dotąd nie występowały, albo przegrywały wszystkie mecze. Także tym razem były najniżej sklasyfikowanymi w rankingu FIFA uczestniczkami imprezy. Co się naprawdę wydarzyło w Portugalii? Polki rozegrały serię świetnych meczów, m.in. z Hiszpankami czy Holenderkami. Sprawiły sensację, większą niż – powiedzmy – Chorwaci na ostatnim męskim mundialu. Dały swoim kibicom wiele radości. Pokazały klasę. Odniosły sukces.

Sukces, który – jak to często bywa w przypadku kobiet – został umniejszony.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

JORGE GUERRERO / AFP / EAST NEWS

JOANNA PIOTROWSKA

W LONDYŃSKIM MUZEUM sztuki Tate Britain trwa wystawa zdjęć i filmów Joanny Piotrowskiej. Artystka fotografuje najbliższe otoczenie, próbując uchwycić ekspresję międzyludzkich relacji w ramach opresyjnych systemów. Przytulne wnętrza zmieniają się tu w duszne, ciasne pułapki. Bliskość partnerów jest pozorna – artystka wskazuje na jej dyscyplinujący charakter. Piotrowska ma za sobą kilka publikacji książkowych. Jej prace wystawiało również nowojorskie MoMA.

©℗ MOC

Nanga Parbat bez powrotu

TOM BALLARD I DANIELE NARDI pozostali na zawsze na stokach Nanga Parbat. Ciała himalaistów, z którymi od 24 lutego nie było kontaktu, wraz z rozerwanym przez lawinę namiotem, wypatrzył na wysokości ok. 5900 m n.p.m. Alex Txikon, pierwszy zimowy zdobywca Nanga Parbat, który wraz z członkami swojej wspinającej się równolegle na K2 ekipy prowadził przez tydzień poszukiwania za pomocą śmigłowca, dronów i lunety. Nardi i Ballard próbowali zdobyć szczyt Żebrem Mummery'ego, niepokonaną dotąd, niebezpieczną formacją, którą obrał pierwotnie w 1895 r. za drogę na szczyt absolutny pionier himalaizmu i pierwsza ofiara Nagiej Góry, Brytyjczyk Albert Mummery. 30-letni Ballard, jego rodak, był synem Alison Hargreaves, która zginęła podczas zejścia z K2. 42-letniego Włocha łączyło z górą podobne przywiązanie jak zmarłego na niej w ubiegłym roku Tomasza Mackiewicza. „To moje wielkie marzenie, a nie obsesja" – tłumaczył piątą próbę wejścia na nią zimą. Pozostawił przesłanie: „Gdybym nie wrócił, chcę zostawić mojemu synowi wiadomość: nie zatrzymuj się, nie poddawaj, rób swoje, gdyż świat potrzebuje lepszych ludzi, by uczynić pokój rzeczywistością, nie tylko ideą...".

© BARTEK DOBROCH

Wolny od HIV

ŚWIAT OBIEGŁA INFORMACJA o drugim w historii pacjencie wyleczonym z zakażenia wirusem HIV. We krwi chorego po 18 miesiącach bez podawania leków nie znaleziono wirusowego materiału genetycznego, co sugeruje całkowite wyleczenie. Tak jak w 2008 r., przyczyną tego sukcesu jest transplantacja komórek macierzystych szpiku.

U tzw. „londyńskiego pacjenta" w 2012 r. zdiagnozowano chłoniaka Hodgkina – nowotwór, który dziesięciokrotnie częściej występuje u osób zakażonych HIV. Po początkowej chemioterapii zdecydowano o transplantacji. Wybrano dawcę z mutacją genu CCR5, który koduje receptor niezbędny wirusowi do wniknięcia do limfocytów T osoby zakażonej. Wirus namnaża się w tych komórkach, powodując ich rozpad, a to skutkuje niedoborem odporności. Mutacja CCR5 sprawia, że wirus nie jest w stanie wniknąć do komórki i choroba się nie rozwija. Nieprawidłowy receptor posiada około 1 proc. Europejczyków, co chroni ich przed zakażeniem, jednocześnie nie skutkuje żadnymi negatywnymi konsekwencjami.

Autorzy opublikowanego w „Nature" raportu podkreślają, że na ostateczne potwierdzenie całkowitego wyleczenia pacjenta trzeba jeszcze poczekać. Mało prawdopodobne, że zastosowana w tym przypadku metoda stanie się powszechna, gdyż przeszczep szpiku i chemioterapia mogą być zbyt ryzykowne. Jednak to badanie może być inspiracją do szukania innych metod wyłączenia receptora CCR5. O jednej z takich prób głośno było za sprawą chińskich naukowców, którzy zmodyfikowali genetycznie ludzkie zarodki, uszkadzając ten receptor. Urodzone dzieci są całkowicie odporne na zakażenie wirusem HIV.

© BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

SIEĆ. Czy Spotify i Netflix zdrożeją? Rząd planuje opodatkowanie „cyfrowych gigantów" i platform streamingowych. To prawdopodobnie jeden z pomysłów na sfinansowanie tzw. piątki Morawieckiego, czyli obiecanego w kwietniu ubiegłego roku pakietu reform, obejmującego m.in. niższe podatki dla małych przedsiębiorców czy wyprawki dla uczniów. Podatek taki ma, według wyliczeń kancelarii premiera, przynieść dochód w wysokości miliarda złotych rocznie. Zapłacą prawdopodobnie użytkownicy.

GALERIA. Do połowy kwietnia w londyńskiej galerii Patrick Heide Contemporary Art oglądać możemy zdjęcia polskiego fotografa Michała Iwanowskiego wykonane w ramach projektu „Go home, Polish". Inspiracją było hasło, które artysta zobaczył na jednym z murów w Cardiff zaraz po brexitowym referendum. Iwanowski wyruszył w pieszą podróż z Walii do Polski, którą udokumentował fotograficznie. Jego wcześniejszy projekt obejmował trasę z Kaługi w Rosji do Wrocławia – to droga, którą w 1945 r. pokonał jego dziadek, uciekając z sowieckiego obozu.

UNIWERSYTET. Na Uniwersytecie św. Damazego w Madrycie otwarto pierwszą na świecie katedrę arabskiej literatury chrześcijańskiej. Jej celem jest badanie literatury chrześcijan bliskowschodnich, a kierownikiem – prof. Pilar González Casado, która poza literaturą wykłada także język syryjski.

WYDAWNICTWO. Po sześciu latach działalności z czytelnikami żegna się Wydawnictwo Komiksowe. To dzięki niemu przeczytaliśmy po polsku m.in. „Codzienną walkę" Manu Larceneta czy „Kota rabina" Joanna Sfara – książki popularnych francuskich autorów, nagradzane także przez Polskie Stowarzyszenie Komiksowe. Wydawca ma na swoim koncie łącznie ponad sto tytułów i wyróżnienia na międzynarodowych targach i festiwalach.

TEMAT TYGODNIKA

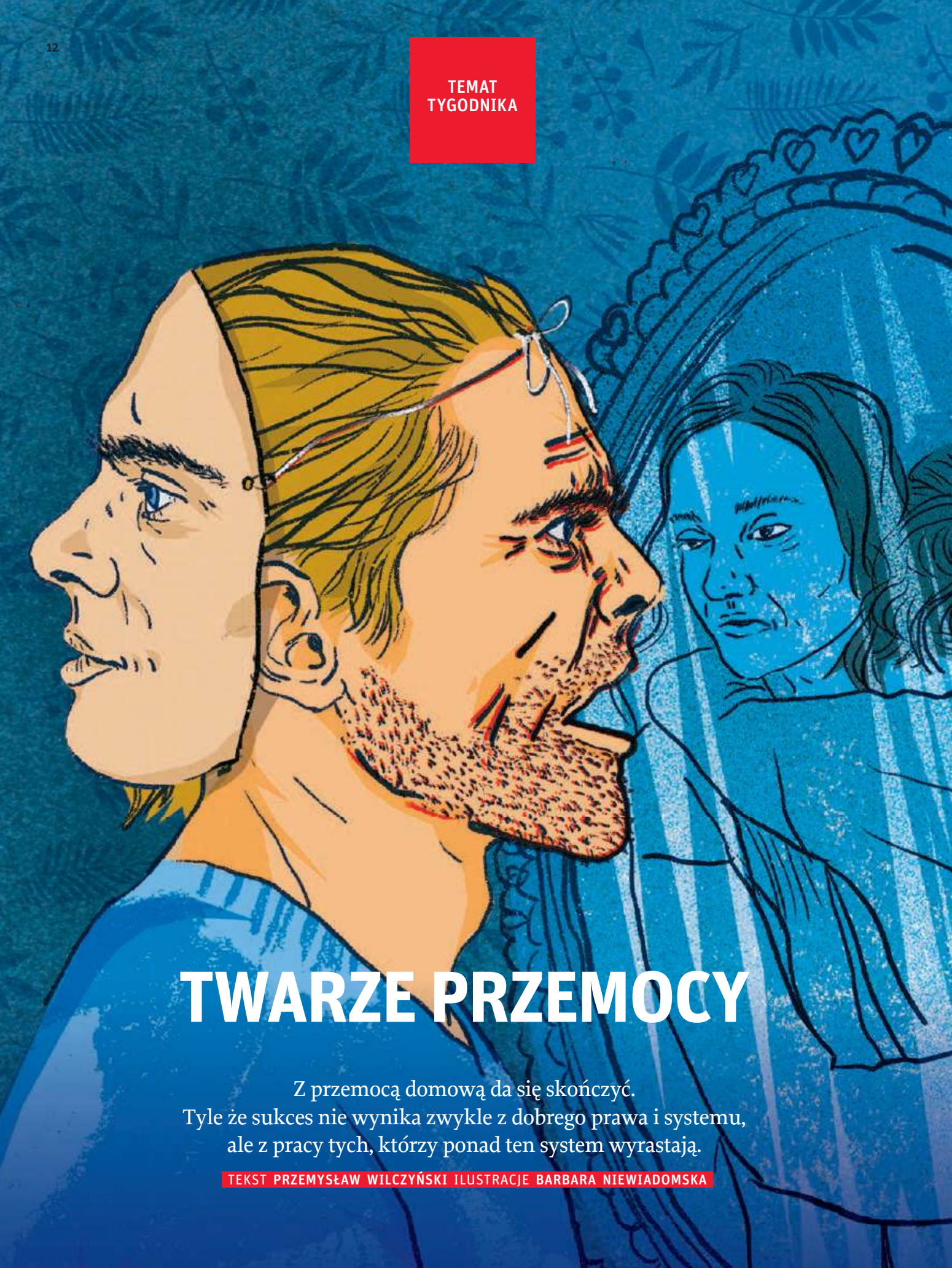

TWARZE PRZEMOCY

Z przemocą domową da się skończyć. Tyle że sukces nie wynika zwykle z dobrego prawa i systemu, ale z pracy tych, którzy ponad ten system wyrastają.

TEKST **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI** ILUSTRACJE **BARBARA NIEWIADOMSKA**

On przysiada na ławce pod blokami. Tymi samymi, między którymi zdarzało mu się biegać po pijaku, uciekając przed policją. Albo zdjąć spodnie w biały dzień, by unaocznić sąsiadom, gdzie ma ich interwencje.

Ona przyjmuje w swoim mieszkaniu – „w tym samym pokoju". Najważniejsze są ściany: jedna wychodzi na front bloku, druga na jego bok, trzecia graniczy z kuchnią, a czwarta z holem tego samego mieszkania...

On ma na imię Andrzej. Mieszka w Krakowie, jest po pięćdziesiątce. Piątka dzieci, żona, praca. Wysoki, krzepki, na pięści wytatuowane imię żeńskie.

Ona to Anna. Po czterdziestce, dwójka synów. Mieszka w mieście na północy.

Ich przeszłość wpisuje się w polski pejzaż przemocy domowej. Nie tylko dlatego, że od lat to mężczyzna zwykle bije, a kobieta jest bita.

Etap I: zanim ktokolwiek się dowie

ANDRZEJ: – Zaczęło się od picia i zazdrości. Miałem na osiedlu kolegę od kieliszka. Często do mnie przychodził, a ja zacząłem go podejrzewać o romans z moją partnerką. Na początku były drobne sprzeczki, potem awantury. Jak byłem pijany, krzyczałem: „Ty dziwko, ty szmato, ty suko". Zdarzało mi się ją zastraszać: „Zaraz poderżnę ci gardło". Fizyczna przemoc też była. Na przykład ją popychałem, aż upadała na ziemię albo na ścianę.

ANNA: – Zaczęło się kilka lat po ślubie. Gdy wracał z libacji, stawiał na baczność cały dom. Zaciągał mnie do tego pokoju, taki był sprytny. Bił, popychał, wykręcał ręce. Raz stanął nade mną z nożem, jak leżałam w łóżku, i powiedział, że zaraz mnie zadźga. Zabierał telefon. Szantażował, na przykład mówiąc, że mi zabierze dzieci. Wypychał na klatkę i zamykał drzwi, także wtedy, gdy młodszy syn miał roczek, a na zewnątrz było zimno...

ANDRZEJ: – Wszyscy się mnie bali. Potrafiłem stanąć między blokami, zdjąć spodnie i krzyczeć: „Mam was w dupie, konfidenci!", gdy ktoś próbował interweniować. Czułem się jak kozak, szef.

ANNA: – Izolował nas. Nie chciał w domu nawet kolegów syna. Sąsiedzi? Nie reagowali, poza jedną, zaprzyjaźnioną sąsiadką, która wiele lat później zgodziła się zeznawać. Pozostali mówili, że nie będą się mieszać. Inni, że nic nie słyszeli. Ktoś powiedział, że się boi, bo on będzie się mścił...

ANDRZEJ: – Zanim ktokolwiek spoza domu dowiedział się o przemocy, minęło ze dwa, trzy lata.

ANNA: – Długo nikt o niczym nie wiedział.

„Ciemna liczba" – tak w kryminologii określa się nieznaną część rzeczywistej przestępczości. To dolna strefa statystycznej piramidy zjawiska.

Prof. Beata Gruszczyńska z Katedry Kryminologii i Polityki Kryminalnej UW badała ponad dekadę temu skalę przemocy wobec kobiet w Polsce w ramach projektu międzynarodowego IVAWS. Wyniki wywiadów z reprezentatywną grupą Polek w wieku 18-70 lat pokazały, że ofiarą przemocy (nie tylko domowej) pada każdego roku około 6 proc. kobiet. To szacunkowo około 800 tys. Polek, z których niemal połowa była krzywdzona przez partnerów i mężów. Z kolei CBOS w 2012 r. podawał, że co trzecia Polka znała bite kobiety, co dziewiąty respondent żyjący w stałym związku doświadczył przemocy, a tyle samo przyznało, że zdarzyło im się być sprawcą.

– Jedno jest pewne: zjawisko jest wielokrotnie szersze, niż wynika to z oficjalnych statystyk, a nawet sondaży – komentuje prof. Gruszczyńska. – Pamiętam opowieść ankieterki, która zadała pewnej kobiecie pytania o wszystkie rodzaje przemocy, uzyskując przeczące odpowiedzi. Odprowadzając ankieterkę do drzwi, pani uderzyła się o framugę i przeraźliwie krzyknęła. Chyba pod wpływem tego zdarzenia odsłoniła rękaw, pod którym były przypalenia i okaleczenia. „To wszystko on mi zrobił" – powiedziała, i wówczas o wszystkim opowiedziała. Są na pewno i inne osoby, które zatajają przemoc. Są i takie, które ją wyparły lub nie mają świadomości, że to przestępstwo i że cierpią. Cierpią też ich dzieci, które są świadkami, a zdarza się to w Polsce, co pokazały badania, zdecydowanie częściej niż w innych krajach.

Ofiara: od paraliżu do wyzwolenia

Także dlatego, że pokrzywdzeni nie czują wsparcia. – Skrajną postać przybiera to na wsiach i w małych miejscowościach, gdzie wszyscy wszystkich znają. Np. kobieta ani myśli o zgłoszeniu, bo policjantem jest kuzyn jej męża – mówi Alicja Szczepańska, krakowska radna i społeczniczka pomagająca pokrzywdzonym, do niedawna policjantka.

Inny ekspolicjant opowiada historię z pobytu w jednym z krajów zachodniej Europy: – Byłem na kolacji ze znajomymi obcokrajowcami. Facet miał kuzynkę, która wyszła za przebywającego w tym kraju Polaka. Był potworem: bił, gwałcił przy dzieciach. Niczego nikomu nie zgłaszała, jej strach był silniejszy od wszystkiego. Była przekonana, że on wszystko słyszy i wszystko wie. Znajomi poprosili, bym porozmawiał z nią przez telefon. Była przerażona, drżał jej głos. Do niczego jej w pierwszej rozmowie nie namawiałem: wysłuchałem, opowiedziałem o innych przypadkach ofiar, które z tego wyszły, i powiedziałem, że jestem do jej dyspozycji 24 godziny na dobę. Zaczęła do mnie częściej dzwonić, a po kilku tygodniach zgłosiła sprawę. Historia skończyła się dobrze, a mnie uzmysłowiła, jak silną barierą jest strach ofiary i jej wiara w omnipotencję sprawcy.

Etap II: interwencja

ANDRZEJ: – Moja partnerka zaczęła wzywać policję. Słabo to pamiętam, bo zawsze byłem pijany. Mam mgliste wspomnienia: gonią mnie między blokami, ja uciekam, potem trafiam na izbę.

ANNA: – Przypominam sobie jedną z pierwszych interwencji. Pobił mnie pięściami. Udało mi się wezwać policję, zanim wyrwał mi ten telefon i wyrzucił. Przyjechali, spisali go, zabrali.

ANDRZEJ: – Informacja o przemocy trafiła do ośrodka pomocy społecznej. Założono „niebieską kartę". Poczułem, że to nie żarty: dzielnicowy powiedział mi, że mogę nawet trafić za kraty.

ANNA: – Założono „kartę", mąż dostał nadzór kuratorski, informacja poszła do MOPS-u. Co z tego, skoro po każdej wizycie funkcjonariuszy schemat się powtarzał. Wracał i bił. Pamiętam strach każdego wieczoru: dzieci śpią, ja czekam na jego powrót... Interwencji było w tamtym czasie pewnie kilkanaście. Ale nikt nie interesował się tym, jak mnie zabezpieczyć pomiędzy nimi. I nie zawsze podchodzono do tego, co się działo w moim domu, poważnie. Raz musiałam uciekać z dziećmi. Zawiozłam je do mamy, wróciłam sama, a zawiadomienie o pobiciu złożyłam kilka dni po zajściu. „Najpierw wyjeżdża na wakacje, a potem nadaje na męża" – usłyszałam od policjanta...

Pierwsza reakcja: to od niej często zależy przyszłość pokrzywdzonych. Jak powinna ↦

↦ wyglądać ta modelowa? Policjant sporządza notatkę z przebiegu zajścia. Jeśli zagrożone jest życie lub zdrowie, zatrzymuje domniemanego sprawcę. Punkt kolejny, kluczowy: służby wypełniają, po rozmowie z pokrzywdzonym i podejrzanym, formularz „niebieskiej karty". To nie jest sankcja: to procedura interwencyjna dokumentująca podejrzenie przemocy, a służąca dalszej strategii pomocy. Co ważne, wszczyna się ją niezależnie od tego, czy chce tego osoba pokrzywdzona.

Dzięki policyjnym sprawozdaniom z procedury „niebieskiej karty" dostajemy bardziej szczegółowy wgląd w zjawisko. „Kart" w 2017 r. wypełniono 75 tysięcy. Osób, które mogły paść ofiarą, było ponad 92 tysiące. 73 proc. stanowiły kobiety, pozostali to mężczyźni i dzieci.

Dlaczego tak niewiele w porównaniu z szacowanymi setkami tysięcy pokrzywdzonych? „Przedstawiciele organów ścigania, wymiaru sprawiedliwości, a także sami pokrzywdzeni i sprawcy zbyt często traktują jednorazowy akt przemocy jako społecznie dopuszczalny konflikt rodzinny" – pisał niedawno w liście do premiera Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich. List powstał już po skandalicznym – na szczęście wycofanym – projekcie nowelizacji ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. Z dokumentu, za który odpowiada kierownictwo Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, wynikało m.in., że jednorazowe pobicie to nie przemoc. Zaś wypełnianie „niebieskiej karty" projektodawca uzależniał od woli osoby pokrzywdzonej...

– Kobiety opowiadają często, że przyjeżdżający na interwencję policjant proponuje „pogodzenie się" – mówi Sylwia Spurek, do niedawna zastępczyni RPO. – To jasny sygnał dla sprawcy: „nic takiego się nie stało".

– Ofiary są zbywane, gdy nie mają wyraźnych obrażeń ciała – dodaje Alicja Szczepańska. – Np. wielu policjantów ma niewielką wiedzę na temat przemocy seksualnej. Bywa, że nie wiedzą, jakie zachowania można do niej zaliczyć. Są i tacy, którzy nie mają nawet świadomości, że w małżeństwach może dojść do gwałtu.

Polski system reagowania bywa dziurawy nie tylko na etapie pierwszej interwencji. „Poważnym problemem jest niewystarczająca i nieadekwatna do potrzeb liczba placówek specjalistycznych dla ofiar" – pisał RPO, przypominając, że w 2016 r. Najwyższa Izba Kontroli wykazała braki w poradnictwie prawnym, psychologicznym czy rodzinnym dla poszkodowanych.

Etap III: sprawiedliwość

ANNA: – Pierwsza rozprawa odbyła się 10 lat temu. Wyrok: niecały rok w zawieszeniu. Przez te miesiące mąż był jak anioł. Nie bił, nie pił. Wszyscy mówili: przerwij to teraz, bo przemoc wróci. A ja nie chciałam słuchać. Kochałam go. Wierzyłam, że się zmieni. Po jakimś czasie wszystko wróciło. Znowu rozprawa, znowu wyrok w zawieszeniu, znów przez jakiś czas spokój. A potem zaczął pić coraz więcej. Wtedy po raz pierwszy zrobił coś, na co nigdy wcześniej się nie poważył: podniósł rękę na mojego syna, który stanął w mojej obronie. Uderzył go w twarz. Tak się wtedy bałam, że spakowałam walizki, wzięłam dzieci i uciekłam do rodziców. Złożyłam doniesienie i wszystko ruszyło po raz trzeci. W sądzie zeznawał mój syn, pracownicy MOPS, kurator. Wyrok większy niż poprzednio: dwa lata. Ale znowu w zawieszeniu...

Około 11 tys. – tyle wyroków skazujących z art. 207 kodeksu karnego, mówiącego o znęcaniu się nad bliskimi, polskie sądy orzekały rocznie w latach 2016-17. Ta kolejna część piramidy pokazuje, jak niewielki odsetek udokumentowanych „niebieskimi kartami" przypadków znajduje finał w sądzie. Co więcej, w 2016 r. w aż 73 proc. przypadków sądy orzekały kary w zawieszeniu. W dodatku w trzech na cztery przypadkach chodziło o wyroki do roku, mimo iż za przestępstwo to grozi do lat 5.

„Każda sprawa w sądzie to konkretna sprawa rzeczywistej osoby, to pani Katarzyna, Bożena, Dominika... – pisały w komentarzu do tych statystyk Alina Kula i Anna Chęć, autorki wydanego w 2017 r. przez Fundację Pozytywnych Zmian raportu. – Wyrok sądu w ich sprawie to również wyrok na ich dalsze życie. Widzimy, jak oddychają z ulgą, gdy słyszą wyrok skazujący dla sprawcy (...) Również razem z nimi przeżywamy, gdy mimo wielu starań sprawca wychodzi z sali sądowej z podniesioną głową".

– Te kary są skandaliczne, i z punktu widzenia sygnału, jaki otrzymuje opinia publiczna, i poczucia sprawiedliwości osoby pokrzywdzonej. A sprawca może się czuć bezkarny – mówi prof. Gruszczyńska.

ANNA: – Przez te lata, mimo trzech wyroków, ani przez chwilę nie czułam się bezpieczna. Mieszkanie było i jest zapisane na mnie, ale to ja z dziećmi musiałam uciekać. Mąż przez rok, w najgorszym dla nas okresie, siedział tu sam, nie płacąc rachunków i dewastując, co się da. Na szczęście już wtedy byłam samodzielna: założyłam firmę, a na jej siedzibę wynajmowałam dom. Ale i tam przychodził. Wyzywał, bił, robił nam wstyd przed sąsiadami. To, że z panem rozmawiam, zawdzięczam złożeniu pozwu rozwodowego. Orzeczono winę męża i od tamtej pory mieszkamy tu bez przeszkód. A z nim nie mam od tamtej pory kontaktu.

6,85 proc. – to odsetek wyroków w zawieszeniu z art. 207, w przypadku których sąd zdecydował się dodatkowo nakazać sprawcy opuszczenie lokalu. Prokuratorzy i sędziowie mogą zresztą korzystać z tego narzędzia jeszcze w toku postępowania, jako środka zapobiegawczego.

– Nie zawsze przynosi to efekt, o czym przekonałam się, gdy zgłosiła się do mnie kobieta, matka dwóch córek – opowiada Alicja Szczepańska. – Mąż uzależniony od alkoholu, substancji psychoaktywnych. Bił ją i córkę. Doszło do takiej eskalacji, że zaczął wynosić z domu wszystko, co było pod ręką, nawet piecyk gazowy i ubrania. Zabrał też całe stypendium córki z klasy maturalnej. Zastosowano zakaz zbliżania, tyle że ten pan przychodził na klatkę albo do jej miejsca pracy, napadał na nią, zabierał portfel. Horror trwał kilka miesięcy.

Źle działa też zapisana w ustawie o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie instytucja cywilnego nakazu opuszczenia mieszkania, dająca pokrzywdzonym – przynajmniej teoretycznie – możliwość szybkiego (do miesiąca od złożenia wniosku) pozbycia się oprawcy. „Z analiz wynika, że średni czas oczekiwania na rozpatrzenie takiego wniosku to 153 dni" – pisał Adam Bodnar.

Sprawca: między siłą a słabością

ANNA: – Najbardziej mu przeszkadzało, gdy zaczynałam się usamodzielniać. Gdy skończyłam studia, otworzyłam firmę, zarabiałam na siebie i rodzinę. Wtedy najbardziej mnie upokarzał.

„By przerwać przemoc, trzeba wzmocnić sprawcę" – takie zdanie usłyszała podczas jednego ze szkoleń Małgorzata Smereka, terapeutka prowadząca programy korekcyjno-edukacyjne przy krakowskim MOPS.

– Na początku mnie ono zdziwiło – opowiada. – Potem zrozumiałam jego sens: bardzo często sprawcy są wewnętrznie bezradni, słabi, niepewni siebie, nie potrafią budować relacji. Mają wiele niezaspokojonych potrzeb, których nie potrafią realizować inaczej niż za pomocą agresji.

– Sprawcy nie różnią się zasadniczo od niesprawców – dodaje Luis Alarcon, psychoterapeuta, prezes Stowarzyszenia Niebieska Linia, współtwórca i wykładowca szkoły Studium Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie. – Gdy zapytać: „Po co ty to robisz?", wymieniają potrzeby, które ma każdy z nas. „Żeby mnie szanowano", „żeby mnie poważano" itd. Ale sprawca zna tylko jedną strategię osiągania tych celów.

W profil większości z nich wpisany jest też zestaw przekonań na temat roli kobiety. – Spełnia ona głównie dwie „funkcje" – mówi Alarcon. – W pierwszej kolejności jest obiektem seksualnym: „okrągła", „mięciutka", „pociągająca". W drugiej obiektem użytkowym: pracuje, sprząta, myje, wychowuje.

Etap IV: zmiana

ANDRZEJ: – Poczułem tylko jedno: strach. Że trafię za kratki, że stracę partnerkę, którą kocham, że nie będę widział dzieci. Jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy moja pani mecenas powiedziała: „Twoja jedyna szansa to przyznanie się do wszystkiego". Tak też zrobiłem. Dosłownie uklęknąłem na korytarzu przed panią prokurator z płaczem, obiecując, że to koniec z alkoholem i przemocą. 21 maja 2016 r., pamiętam tę datę do dziś. Od wtedy nie podniosłem ani ręki, ani głosu na moją partnerkę. Sąd wysłał mnie na program korekcyjno-edukacyjny. Równocześnie byłem sprawdzany: przez dzielnicowego, kuratorkę. Robiono wywiady z dziećmi, partnerką. Na program korekcyjny iść nie chciałem. „Co mi tu będą pieprzyć?" – myślałem. A potem zacząłem się wkręcać. Zobaczyłem ludzi z tym samym co ja problemem: dyrektorów, wykształconych, prostych. Była mowa o tym, jak załatwiać sprawy z ludźmi bez agresji. Przerabialiśmy scenki z życia: rozmowy z partnerką, dziećmi. Zobaczyłem, jak te ćwiczenia przekładają się na moje życie. Bo ja nie potrafiłem załatwiać niczego bez wybuchów. Facet wjeżdża na pasy, gdy ja chcę po nich przejść, a ja już gotów do wyzywania i bójki. Po miesiącach programu miałem podobny przypadek. Pan wyskoczył na mnie z rękoma, a ja do niego: „Sorry, jeśli pana uraziłem, ale proszę uważać". Poskutkowało. Bycie mężczyzną kojarzyło mi się zawsze z tym, że ktoś przeklina i potrafi dać w ryj. Na grupie było wielu, którzy mówili, że pobili żonę „tylko raz". To ściema. Ja mówiłem i mówię: byłem męską świnią. To nie znaczy, że teraz jestem aniołem. Wpadam w gniew tak samo, ale teraz w takich sytuacjach wychodzę na spacer albo na zakupy.

ANNA: – Mąż w ramach jednego z wyroków został wysłany na miesięczne, przymusowe leczenie odwykowe. I tyle. Nikt nigdy nie nakazał mu udziału w programie korekcyjnym.

> **LUIS ALARCON:**
> Państwo polskie jest jak słaby szeryf. Ten dobry powinien stanowczo i skutecznie zareagować na krzywdę, a później utorować drogę, aby krzywdzący mógł się zmienić. Niestety nie robi się dobrze ani jednego, ani drugiego.

819 – tylu sprawców przemocy domowej skazanych w 2016 r. z art. 207 polskie sądy skierowały na programy korekcyjno-edukacyjne. To mniej niż 10 proc.

Problemem jest nie tylko niechęć do stosowania tego narzędzia. „Nie wszystkie powiaty opracowują i realizują programy (...), co powoduje, że osoby, wobec których nałożono taki obowiązek, jak również te, które dobrowolnie chciałyby się poddać oddziaływaniom, mają trudności ze znalezieniem dla siebie oferty" – pisał RPO.

W Warszawie programy prowadzi Stowarzyszenie Niebieska Linia. To m.in. indywidualne spotkania diagnostyczne, grupy korekcyjno-edukacyjne, warsztaty umiejętności psychospołecznych.

– Przyjechał mężczyzna, wszedł do gabinetu – opowiada Luis Alarcon, poproszony o przykłady skutecznych działań. – Zdenerwowany, postawił przede mną krzesło i mówi: „Musisz mi pomóc. Żona uważa mnie za sprawcę przemocy i chce mnie podać do sądu. Tak, dałem jej ze dwa razy w łeb, ale wiesz, jak to jest z kobietami...". A potem dodał: „Problem w tym, że ja jestem nerwus, i zawsze taki byłem". „A jak cię policja zatrzyma i wlepia ci mandat, to też im w mordę dajesz?" – zapytałem, na co on odpowiedział, że oczywiście nie, „bo władza to władza". Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że on ma bardzo głęboko zakorzeniony nie tylko określony wizerunek kobiety, ale też mężczyzny. Prawdziwy facet to taki, który zawsze sobie poradzi, ale też jak trzeba, to da w mordę. „To co, ja mam udawać, że jestem inny?" – zapytał. Po dwóch tygodniach wrócił i mówi: „Wiesz co, dobre to udawanie. Kobita nawet zaczęła do mnie normalnie mówić"... To było początkiem procesu zmian jego postaw, przekonań i zachowań.

Programy korekcyjne ma też m.in. Kraków. Te prowadzone przez terapeutów Małgorzatę Smerekę i Arkadiusza Kusztykiewicza trwają niemal rok i składają się z 60 godzin rozłożonych na 40 spotkań.

– Nie można ich mylić z terapią, bo ich celem nie jest głęboka zmiana struktury osobowości – mówi Kusztykiewicz. – Z jednej strony przekazują wiedzę dotyczącą mechanizmów przemocy. Drugim komponentem jest korekta zachowań.

– Ważny jest w nich trening – dodaje Smereka. – Ćwiczymy np. asertywność albo reagowanie na konfliktowe sytuacje, na podstawie konkretnych scenek.

Krakowski program ukończył m.in. pan Andrzej. Według Smereki i Kusztykiewicza system zareagował w jego przypadku modelowo: – Nie było głaskania po głowie, nikt nie akceptował tego, co zrobił. A równocześnie traktowano go z szacunkiem jako człowieka i wskazano drogę zmiany – mówią terapeuci. – Oczywiście nie jesteśmy w stanie dziś powiedzieć, czy w sytuacji kryzysowej jego problemy nie wrócą, ale jedno jest pewne: wykonał ogromną pracę.

Luis Alarcon ocenia efektywność programów Stowarzyszenia Niebieska Linia na 65 proc. Bardziej reprezentatywne wyniki, zawarte w raporcie sporządzonym na zamówienie Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej, pokazały podobny odsetek: 67 proc.

– Nikt się nie rodzi „przemocowcem" – zaznacza Sylwia Spurek. – A skoro tak, to znaczy, że sprawcy można pomóc. Bywa to skuteczne pod jednym warunkiem: że programy korekcyjno-edukacyjne odbywają się wedle standardów. Problem ↦

↦ w tym, że nie mamy w przepisach jasnych wytycznych, jak powinny wyglądać. Były zapisane w Krajowym Programie Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie, ale od 2014 r. już nie są.

Efekt? Bałagan i dowolność. W doborze treści, fachowców i czasie trwania.

– W wielu miejscach nie mają dobrej marki, także wśród sędziów i prokuratorów – mówi Arkadiusz Kusztykiewicz. – I trudno się dziwić: obok tych profesjonalnych zdarzają się i takie, które powstają jako lokomotywy do wyciągania funduszy. Trwają za krótko, są prowadzone przez przypadkowych ludzi. Nawet uczestnicy są „z łapanki", byle tylko sformowała się grupa.

– Państwo polskie w stosunku do zjawiska przemocy w rodzinie jest jak słaby szeryf – ocenia Luis Alarcon. – Ten dobry powinien najpierw stanowczo i skutecznie zareagować na krzywdę, a później utorować drogę, aby krzywdzący mógł się zmienić. Niestety nie robi się dobrze ani jednego, ani drugiego.

Pokłosie

ANDRZEJ: – Czego najbardziej żałuję? Zmarnowanych lat. Tego, że moja partnerka żyła w strachu. Tego, że na wszystko musiały patrzeć dzieci. Do dzisiaj mają problemy z psychiką. Są nadpobudliwe, muszą chodzić do psychologa.

ANNA: – Młodszy syn zaczął o wszystkim opowiadać psychologowi dopiero niedawno. Że się bał, że ojciec go szantażował, zastraszał, mówił źle o mnie. Wspomina historię, gdy zabrał go z domu, kompletnie pijany. Wylądowali w jakimś sklepie, ktoś zaalarmował policję. Syn wrócił do domu radiowozem...

ANDRZEJ: – Pani kurator, pani prokurator, dzielnicowy: oni mnie uratowali, za co będę im zawsze wdzięczny. Prowadzę normalne życie. Całkiem niedawno wzięliśmy ślub, było piękne wesele w restauracji. Potem pojechaliśmy z dziećmi do Zakopanego. Kilka lat temu to by było niemożliwe.

ANNA: – Jeszcze wiele miesięcy po wszystkim byłam na lekach. Dzisiaj uczymy się z dziećmi funkcjonowania na nowo, docieramy się. Remontujemy mieszkanie. Żyjemy w spokoju.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Zmieniłem imiona bohaterów, a także niektóre – mniej istotne – szczegóły z ich życia.

W sieci strachu

BEATA ZADUMIŃSKA, PSYCHOLOG:

Rodzina przemocowa to rodzina ludzi nieśpiących, będących w ciągłej, maskowanej rozpaczy. Doprowadza to nierzadko do kompletnego wyczerpania – jak u ocaleńców z wojny.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Dlaczego polski system przeciwdziałania przemocy w rodzinie nie jest skuteczny?

BEATA ZADUMIŃSKA: W sądzie na tego rodzaju sprawy mówi się „znęty" – bo przeciążają sądy, prokuratury i policję. Jest ich tak dużo, że traktowane są fatalnie, marginalnie, po macoszemu.

W słowie „znęty" słychać wyłącznie pogardę.

To istota wtórnej wiktymizacji. Niektórzy myślą, że to „obyczajówka", że dwójka ludzi w ten sposób układa swoje relacje. Do tego dochodzi przekonanie, że „ona to lubi", czy bardziej elegancko: „chcącemu nie dzieje się krzywda". Niektórzy dodają nawet, że związki przemocowe to idealne pary sadomasochistyczne.

Unieważnia się cierpienie ofiary?

Podam przykład: pod koniec lat 90. razem z czterema prawniczkami założyłam nieformalną grupę, której celem było zbadanie sytuacji ofiar zgwałcenia w postępowaniu przygotowawczym. Jeździłyśmy po komisariatach, rozmawiałyśmy z policją i prokuraturą. Powstał raport obnażający proceduralną słabość w traktowaniu ofiar przemocy seksualnej; *de facto* nikt nic na ten temat nie wiedział, kierowano się intuicją. Ofiary słuchano, gdy była wiarygodna.

Czyli jaka?

Zamężna, trzeźwa, chodziła raczej do kina niż siedziała w barze, z nieposzlakowaną opinią. Słowem: moralnie „nieskalana".

A niewiarygodna?

To taka, która ma za sobą np. historię uzależnienia. Wtedy dla systemu stawała się niewidzialna. Ona i jej krzywda.

Co było w tym raporcie?

Zaproponowałyśmy wytyczne dotyczące traktowania ofiar – działania konieczne podczas pierwszego kontaktu ofiary z policją i prokuraturą. I ku naszemu zdumieniu udało nam się ten raport przeforsować: w 2001 r. podpisał go prokurator generalny Lech Kaczyński. Ale w 2006 r. jeszcze raz przeprowadziłyśmy wywiady dotyczące traktowania ofiar zgwałcenia w postępowaniu przygotowawczym. Okazało się, że wytyczne „zniknęły". Resort sprawiedliwości nie przeznaczył żadnych pieniędzy na ich wdrożenie.

Teraz regularnie, co kilka lat, dostaję zaproszenia na konferencje, podczas których nowe ekipy rządowe tryumfalnie, w błyskach fleszy, ogłaszają wprowadzenie – istniejących już od nieomal dwóch dekad – wytycznych z naszego raportu.

Najchętniej decydenci ogłaszają to tuż przed wyborami.

Mechanizm marginalizowania ustawy o przeciwdziałaniu przemocy pokazuje jej nowelizacja z roku 2010. Chodzi o to, że wszystkie procedury „niebieskiej karty" wcześniej prowadziła policja – w ciągu tygodnia musiała podjąć czynności. Nowelizacja ustawy doprowadziła do tego, że te czynności przejęła opieka społeczna.

To symboliczne.

Na początku lat 90., kiedy zaczęła się pierwsza kampania antyprzemocowa, wśród urzędników i służb panowało przekonanie o tym, że „niewiele wiemy, ale sprawą trzeba się zająć", bo to poważne zjawisko. To był czas, kiedy wierzyło się w wypracowane na Zachodzie modele wsparcia ofiar pokrzywdzenia. Uczyć się pracy w telefonie zaufania dla kobiet jeździłam do Niemiec.

Później rozpętała się burzliwa dyskusja przy okazji konwencji o przeciwdziałaniu przemocy z 2010 r., którą podpisał

pełniący wtedy obowiązki prezydenta Bronisław Komorowski.

Według tej ustawy stosowanie kar cielesnych wobec małoletniego dziecka może skutkować postępowaniem sądowym.

Bezwzględny zakaz bicia dzieci okazał się punktem zapalnym w zasadzie we wszystkich warstwach i grupach społecznych. Odczytano go jako podważanie władzy rodziców nad dziećmi. To, przyznaję, było dla mnie zaskoczeniem, o ile bowiem dorosłych-ofiary skrzywdzenia chętnie wikłamy we współwinę, a nierzadko nawet w sprawstwo, to krzywdzone dzieci uruchamiają raczej pokłady empatii i profesjonalizmu.

Konwencja o przeciwdziałaniu przemocy stanowiła obligatoryjny dla wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej dokument – odczytano go jako podważanie władzy rodziców nad dziećmi.

To na ile system przeciwdziałania przemocy rzeczywiście chroni ofiary?

Codzienna praktyka specjalnych interdyscyplinarnych zespołów organizowanych przez pomoc społeczną wygląda tak: to mozolna, biurokratyczna machina do gromadzenia kompletnej dokumentacji. Jak w świecie Kafki.

Są też proste triki sugerowane przez adwokatów reprezentujących sprawców – sprowadzające się np. do tego, by sprawca postarał się o obdukcję lekarską i wystąpił o status ofiary – blokujące całą procedurę.

Chce Pani powiedzieć, że adwokat sugeruje sprawcy przemocy, by zmistyfikował swoje pobicie?

Tak się zdarza. Same grupy robocze, tj. posiedzenia przedstawicieli różnych instytucji mających pomóc ofierze, stanowią często dla ofiar bolesne doświadczenie. Ofiara ma opowiedzieć o intymnych zdarzeniach ze swojego życia przed obcymi ludźmi, którzy często nawet nie zostali jej przedstawieni.

Znam kobietę w średnim wieku, wykładowczynię akademicką, która zdecydowała się założyć mężowi ↦

↦ **„niebieską kartę". Była poruszona tym, że komisji przewodniczył bardzo młody mężczyzna, który nie był w stanie spojrzeć jej w oczy, powtarzał wyuczone formułki i nie reagował na to, co ona mówi.**

W latach 90. system wydawał się bardziej ludzki: spotykało się doświadczonych pracowników, którzy chcieli i potrafili pomóc. Ale empatyczne relacje są dziś uznawane za nieprofesjonalne, procedur zaś nie ma.

Można liczyć na profesjonalizm komercyjnych usług – prywatne gabinety psychoterapeutyczne i adwokaci świadczą oczywiście dobre usługi zgodnie z literą prawa, tyle że trzeba mieć na nie środki. Brawura prawników i plastyczność prywatnych opinii psychologów-biegłych sądowych może zmienić rzeczywistość w taki sposób, że ofiara staje się sprawcą i odwrotnie.

Druzgocące.

Tak. I trzeba powtarzać, że przemoc jest bardzo poważnym przestępstwem, które doprowadza do erozji psychiki. To dotyczy wszystkich: ofiary, domowników i sprawcy. W tym przestępstwie jest coś hipnotycznego.

Bo?

Bo wielu ludzi traci ostrość widzenia i oceny faktów. Następuje tzw. obstrukcja nienawiści. Polega to na tym, że poziom lęku ofiary przed sprawcą jest na tyle wielki, że jedyne, co ofiara może uczynić, to spróbować się zbliżyć do niego na jego prawach.

To idealne przyleganie ma w zamyśle ukoić agresora, a paradoksalnie wzmacnia jego deprawację i brak wyrzutów sumienia.

To coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego?

Jakby jego chroniczna forma. Na początku 2000 r. przeprowadzałam badania rozmawiając w więzieniach z kobietami, które zabiły swojego męża. 98 proc. z nich to były osoby, które w rozpaczliwym akcie desperacji uczyniły coś, czego nie pamiętają. Mówiły o swojej winie, że popełniłyby samobójstwo, gdyby nie dzieci... Jakby były w szoku, nieświadome.

Pamiętam panią mieszkającą na wsi, ciężko pracującą na roli. Reprezentowała modelowy profil ofiary przemocy: pochodziła z rodziny wielodzietnej, doświadczała agresji w domu, była wykorzystywana jako siła robocza. W pewnym momencie pojawił się młody mężczyzna. W rozmowie ze mną powtarzała w zasadzie jeden romantyczny obraz z wczesnego narzeczeństwa: raz się ładnie ubrał i zaprosił ją do kawiarni w nieodległym mieście.

Jako mąż szybko okazał się agresorem. Na każdym poziomie: ekonomicznym, psychicznym, fizycznym i seksualnym. Bywało, że kobieta uciekała z dziećmi przez okno; pomagała jej sąsiadka lub matka. Potem, już po powrocie do męża, mówiła zawstydzona: „Wiesz co, jednak chyba wrócę do domu, coś próbuje tłumaczyć, może zrozumie". Po pewnym czasie już nikt z otoczenia nie był skłonny do udzielenia jej jakiejkolwiek pomocy. Ofiara utraciła wiarygodność...

To chyba częste, że ofiarę opuszcza otoczenie.

Albo inna historia: ona młodsza od niego o dwadzieścia parę lat, on – sadysta. Robił okropne rzeczy, m.in. sukcesywnie odcinał jej palec, kawałek po kawałku. Kobieta była wychowanką domu dziecka, pozbawiona wsparcia, nierozumiejąca rzeczywistości, więc bardzo podatna na jego opowieść. On od czasu do czasu namawiał ją do uległości, np. prosił, by zrobić mu herbatę. Te nieliczne gesty przychylności utrwaliły się w umyśle kobiety jako przekonanie, że mąż to dobry człowiek, że ona zachowuje się w sposób nie do przyjęcia...

Same drastyczne przykłady.

Każdy z nas mógłby się znaleźć w tej sytuacji. Naiwnością jest myślenie, że wykształcenie, doświadczenie życiowe, pochodzenie z tzw. dobrej rodziny czy ekonomiczna stabilność przed tym ochronią. Przemocą domową rządzą mechanizmy podobne do tych przy uzależnieniu psychologicznym.

Sprawcy nierzadko borykają się z pustką i niemożliwym do uświadomienia sobie lękiem. Sprowadza się to do postępującego braku dobrych wrażeń i uczuć. Ich miejsce wypełnia chroniczne, narastające napięcie. Zaczyna drażnić pies, który za głośno szczeka, i przysłowiowa zupa, która jest za słona. W domu tężeje atmosfera – cała rodzina, włącznie ze zwierzętami, wie, że coś się stanie. Dzieci siedzą cicho, kobieta stara się sprzątać, nie dać pretekstu... Ale to jest niemożliwe, to nie o to chodzi.

A o co?

O to, że sprawca musi wyzwolić się z rozczarowania sobą i światem. Wybuch, jako nagłe rozbicie tej wewnętrznej bolesnej bańki odrębności i przykrych uczuć, potrzebuje alibi. Gorsza ocena synka, zgubione kieszonkowe. Atak sprawca początkowo tłumaczy mniej czy bardziej racjonalnymi powodami. Najważniejszym jest jednak nałogowe regulowanie uczuć. Atak powoduje spadek napięcia, swoiste *katharsis*. Początkowo sprawca jest równie zszokowany jak ofiara; ma poczucie winy.

Winy?

Trudno im zrozumieć siebie, mówią i wierzą w to, że źle się stało, że „coś w nich wstąpiło". Sprawca przeprasza wtedy ofiarę, stara się naprawić krzywdy. I to jest moment krytyczny.

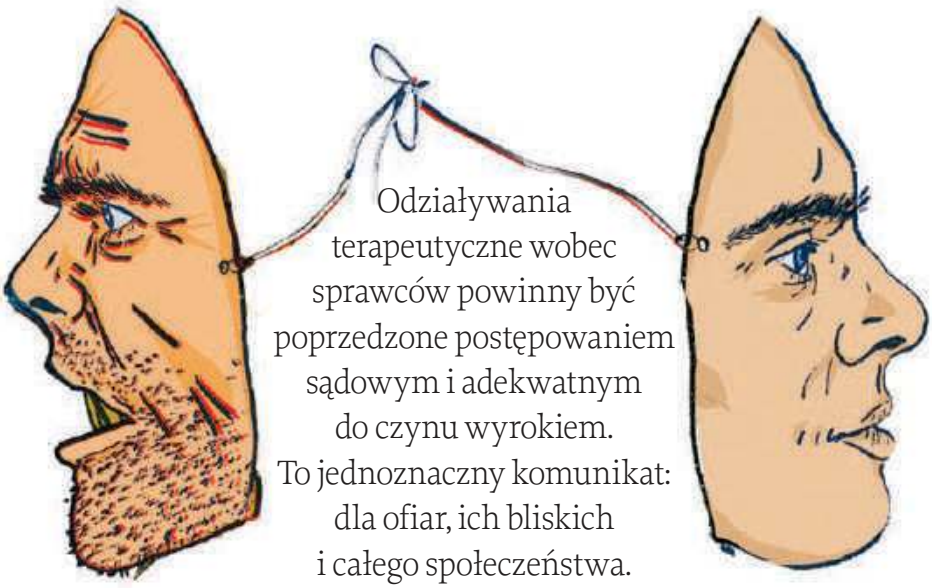

Zarówno dla ofiary, w przypadku, gdy mimo krzywd zdecyduje bez interwencji profesjonalistów stanąć po jego stronie – jak też dla samego sprawcy: w przypadku powtarzającej się agresji i idącej za tym bezkarności zatraca on empatię.

Czyli ludzkie gesty mogą czasem pociągnąć na samo dno?

Tak. Po epizodzie bestialskiej agresji następuje czas ukojenia. W tym okresie, nazywanym przez psychologów miesiącem miodowym, sprawca staje się przychylny, dostępny, wyrozumiały. Jednak z czasem napięcie ponownie rośnie, i dochodzi do wybuchu. Im więcej tych cykli, tym więcej jest brutalności i wyrachowania. Pogłębia się deprawacja sprawcy, potrzebuje on coraz większej amplitudy bodźców – taka jest właśnie natura uzależnienia.

Z kolei ofiara przemocy w kolejnych cyklach przeżywa narastający wstyd i osamotnienie; zaczyna wierzyć w to, że nikogo nie interesuje los jej i dzieci. Przestaje rozumieć siebie. Jej umysł koncentruje się już tylko na przetrwaniu. Do jutra. Do wypłaty. Do 15. urodzin starszego syna. Takie magiczne punkty, od których można będzie coś poważnego przedsięwziąć. Ale jeszcze nie teraz.

Czasem pewnie nigdy.

Ofiary precyzyjnie identyfikują stany psychiczne, zwyczaje, nawyki sprawców – np. to, jak on wchodzi po schodach, w jaki sposób otwiera drzwi, gdzie kładzie klucze. Chroniczny alert, hiperobecność. Rodzina przemocowa to rodzina ludzi nieśpiących, będących w ciągłej, maskowanej rozpaczy. Trwanie w takim świecie doprowadza nierzadko do kompletnego wyczerpania, często zresztą z takich powodów układ nerwowy jest tak wyeksploatowany, że efektem jest trudny do przezwyciężenia rodzaj otępienia. Ofiary są wyczerpane tak jak ocaleńcy z wojny.

Narastający wstyd, krzywda, osamotnienie powodują takie pomieszanie w umyśle, że nagle pozostanie ze sprawcą zaczyna się wydawać wyborem pragmatycznym. Tak działa ludzki umysł: musimy nadawać sens wszystkiemu, co robimy.

To nadawanie sensu krzywdzie.

Najsmutniejsze jest to, że ofiary przemocy przestają być traktowane po ludzku również przez otoczenie. Ono zaczyna je surowo rozliczać. „Dlaczego pani została ze sprawcą, kiedy to się wydarzyło? Dlaczego pani ryzykuje bezpieczeństwem swoich dzieci?". Na ofiarę spada cała odpowiedzialność i odium. Wśród przyjaciół, w rodzinie, na policji i w społecznych instytucjach.

A co się dzieje ze sprawcą?

Wszelkie oddziaływania korekcyjno-terapeutyczne wobec sprawców powinny być poprzedzone postępowaniem prokuratorsko-sądowym i adekwatnym do czynu wyrokiem. To jednoznaczny komunikat nie tylko dla ofiar, ich dzieci i bliskich, lecz w ogóle dla społeczeństwa.

Terapia sprawców przemocy daje szansę wyleczenia, ale wymaga uważnej selekcji. Dobór do grupy terapeutycznej zakłada m.in. identyfikację z problemem – badana jest zarówno świadomość bycia agresorem, jak i uznanie winy po swojej stronie. Zdolność sprawcy do rekonstrukcji faktów przemocy zawartych w akcie oskarżenia, jak i jego zgoda na wyrok jako formę odkupienia winy stanowią więc oś terapii.

Wciąż nie mogę pojąć istoty więzi ofiary ze sprawcą.

Przemocowy mężczyzna często kolonizuje kobietę. Pragnie zniesienia rozróżnienia pomiędzy „ja" i „ty". Optymalne byłoby „my" – ale na prawach „ja". Początkowo namawia ją, żeby opowiedziała całe życie: „Kochasz mnie, opowiedz mi wszystko". I np. ona mówi, że gospodarkę po rodzicach przejął jej ukochany brat, bo był do tego bardziej zdatny. A w pewnym momencie ten mężczyzna zaczyna wprowadzać swoją narrację: „Twój brat chyba zabrał cały majątek rodzinny".

Tak jego opowieść zatacza coraz szersze kręgi. Rodzina i koleżanki partnerki są jakby unieważnione, bo „opowiadają głupoty". Sprawca próbuje związać ofiarę ze sobą w symbiotycznej więzi i podważa jej relacje z resztą świata. Pokazuje, że tylko oni są dla siebie i jedynie z nim możliwe jest bezpieczeństwo. Ten rodzaj bliskości jest na początku fundamentem związku, ale z czasem zaczyna stanowić zagrożenie. Bo symbioza jest szalenie niebezpieczna – ona zabiera nam „ja". Zwykle sprawcy postrzegają kobiety jako mocniejsze i zdrowsze psychicznie. Przemoc domowa jest próbą samoleczenia sprawcy.

Czy przemoc domowa ewoluuje w nowe formy?

Przemoc otwarcie agresywna zmienia się w bardziej wyrafinowaną i ukrytą. Dziś ludzie są często zbyt kulturalni i mają za dużo autokontroli, by dokonywać otwartych ekscesów. Mamy do czynienia z pasywną formą agresji.

Oto przykład: nierozmawianie z kimś przez trzy tygodnie. Albo unieważnianie polegające na tym, że przychodzą goście, jest sympatycznie, a rozmawia się ze wszystkimi całkowicie pomijając przy tym żonę. Najtrudniejszy w tych sytuacjach jest moment, w którym żona tego nie wytrzymuje i chce sprawdzać, co się dzieje. Mówi: „Wiesz, ja się czuję jak zero, jak nikt". On: „Ależ kochanie, przecież nic się nie dzieje, wszystko jest w porządku". Czyli to, co ona czuje, pragnie, jak siebie przeżywa, jest anulowane lub odkształcane. Przy czym nikt nikomu złego słowa nie powiedział.

Tutaj wracamy do mechanizmu erozji umysłu. Zatracamy kontakt ze sobą – nie potrafimy określić, co jest prawdą, co zaś subiektywnym rojeniem. Łatwiej odejść od sprawcy jednoznacznie wrogiego czy impulsywnego. Najtrudniejsza bywa emocjonalna ambiwalencja i pustka ukryta w elegancji. Zawieszenie w sprzecznościach niszczy szacunek ofiar do siebie, wciąga w poszukiwanie winy w sobie. Czasem dzieje się to w gabinecie terapeutycznym. To ofiara poszukuje powodów przemocy, której doświadcza, w procesie analizy swojej osobowości. Tylko przytomność terapeuty może wtedy ustalić przyczynę i skutki przemocy.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

GRAŻYNA MAKARA

BEATA ZADUMIŃSKA jest psychologiem i psychoterapeutą, trenerem w Towarzystwie Interwencji Kryzysowej. Pracuje z osobami doświadczającymi traum, w tym zaburzeń na tle przemocy seksualnej. Posiada kwalifikacje biegłego sądowego i mediatora sądowego.

PAWEŁ

Śpiewak:
Tora bez granic

Ci, którzy wierzą, że można podać wiele odpowiedzi na kwestie halachiczne, nie twierdzą bynajmniej, że istnieje sprzeczność między prawami danymi na Synaju a tymi ustalanymi przez rabinów. Wprost przeciwnie. W Torze odnajdują wielki potencjał interpretacyjny. Tora jest czymś niesłychanie żywym i pojemnym. To, co otrzymał prorok na górze Synaj, oznacza – uczą midrasze – że Mojżesz poprosił Pana Wszechświata: „Objaśnij mi, czym jest halacha", a wtedy Pan odpowiedział: „Postępuj wedle zasady większości. Jeśli większość powiada »uniewinnij«, uniewinnij, jeśli większość mówi »ukarz«, wtedy ukarz. Tak czyń, bo Tora posiada 49 argumentów za czystością i 49 za niekoszernością". Każde pokolenie ma swoją większość. Kolejne nie jest zobowiązane przez wcześniejsze. Nowe sytuacje i nowe ludzkie życie tworzy potrzebę szukania właściwych odpowiedzi. Ta sytuacja wynika z naszych cech antropologicznych. Bóg przemawia przez wiele typów ludzi. Mówi wieloma głosami i bogactwem ludzkich istnień. Tora jest z natury inkluzywna, tak iżby każdy w niej odkrywał inny, właściwy sobie wymiar.

Tora nie jest w niebie. Jest tu na ziemi. Oznacza to czasem, że sędziowie podejmują być może decyzje niezgodne z intencjami Boga. Jego wolą było jednak, by im udzielić prawa do orzekania i by o zasadach decydowała większość uczonych w Piśmie.

Rabin Eliezer ze szkoły Szamaja powiadał: „Nie ucz niczego, co by nie pochodziło z wiedzy tradycyjnej. Nie wygłaszaj praw, które nie byłyby już zapisane w dawnych księgach". Z kolei rabin Mosze Feinstein – największy autorytet w dziedzinie halachy XX wieku – pytał: „Czy jest jakiś kres i granica Tory? Boże broń! Jeżeli byśmy podejmowali decyzje tylko w oparciu o to, co zostało zapisane w księgach, co mielibyśmy uczynić, gdyby pojawiły się pytania, na które nie znajdujemy w tradycji odpowiedzi. (...) Z pewnością nawet w dzisiejszych czasach Tora może rosnąć i dojrzewać. Nawet jeśli decydujemy wedle wskazówek już zapisanych, nie możemy tak czynić, bo tak zostało niegdyś postanowione, ale dlatego, że nakazuje nam to wzgląd na naszą racjonalność".

Rozumność i wolność są podstawowymi atrybutami ludzi danymi przez Wiekuistego. Musimy z nich korzystać w czytaniu Tory. Objawienie w niej zawarte Bóg przekazuje korzystając z ludzkiej inteligencji. Mądrość – jak dobrze wiemy choćby z Księgi Hioba – jest darem największym. Nakazuje nam, by bez końca szukać prawdy i bez końca się uczyć. Przed wojną malował studiujących Żydów Artur Markowicz, wspaniały malarz z Krakowa. Dzisiaj z całym oddaniem i czułością opowiada o tym serial „Shtisel". Tam przy stole kuchennym, po długim dniu pracy w Talmud Tora, ojciec rodu, drapiąc się i gładząc po brodzie, mamroce coś do siebie, czytając linijka po linijce grube księgi. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Przemienienie w Abu Zabi

Łukasz Ewangelista tak opisuje końcówkę wydarzenia, które zwykło się nazywać Przemienieniem Pańskim, choć tak na dobrą sprawę to nie Jezus doznał odmiany, ale apostołowie. Gdy Mojżesz i Eliasz opuszczali Jezusa, „Piotr, nie wiedząc, co mówi, odezwał się do Jezusa: »Mistrzu, dobrze, że tu jesteśmy. Postawimy trzy namioty: jeden dla Ciebie, drugi dla Mojżesza, a trzeci dla Eliasza«. Gdy jeszcze to mówił, pojawił się obłok i osłonił ich. Kiedy wchodzili w obłok, ogarnął ich lęk. A z obłoku rozległ się głos: »On jest moim Synem wybranym, Jego słuchajcie«".

Apostołowie zrozumieli, że ich Mistrz jest tym, którego przyjście zapowiadali prorocy. Piotr chce ten moment jakoś utrwalić, stąd pomysł na budowę namiotów. Nie o to jednak chodziło Jezusowi. Jego misją było i jest dotarcie do każdego człowieka i upewnienie go, że jest wybrany, niepowtarzalny w swoim pięknie, ale i w brzydocie, jest dzieckiem Boga, którym On się nigdy nie brzydzi. I że mieszkaniem Boga nie jest tylko jakieś określone miejsce, namiot, świątynia, obrzędy – ale cały świat. Tym samym Bóg nie jest tylko Ojcem jednego narodu, ale wszystkich. Po latach Piotr, uczestnik wydarzenia na górze, powie: „Teraz naprawdę rozumiem, że Bóg jednakowo traktuje wszystkich ludzi. W każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje uczciwie".

W lutym tego roku podobne przemienienie miało miejsce w Abu Zabi. Po wiekach, bywało, krwawego konfliktu papież Franciszek i wielki imam Ahmed el-Tayeb wydali deklarację zaczynającą się słowami: „W imię Boga, który stworzył wszystkich ludzi równymi (...), aby żyli razem jako bracia i siostry". Następnie stwierdza: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie. Ta boska Mądrość jest źródłem, z którego wywodzi się prawo do wolności wiary i wolności do bycia różnymi. Dlatego odrzuca się wszelkie próby zmuszania ludzi do przyjmowania określonej religii oraz kultury, podobnie jak narzucenie jednego modelu cywilizacji, którego inni nie akceptują".

Powtórzmy: „Pluralizm i różnorodność religii (...) są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie". Ta deklaracja chrześcijanina i muzułmanina jest na miarę cudu, a więc najwyraźniejszego ukazania się prawdy dla niektórych trudnej do przyjęcia. Ale mamy przecież Wielki Post, to znaczy szansę na wielkie przemienienie. Zachęca do tego Paweł Apostoł: „Proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście składali wasze ciała na ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu jako doskonały wyraz waszego kultu. Nie upodabniajcie się do tego świata, ale przemieniajcie się poprzez odnowę myślenia, aby rozeznać, jaka jest wola Boża, co szlachetne, co miłe, co doskonałe". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Myślenie sekciarskie

Mówi Jezus: „Bądźcie przechodzącymi obok”.

EWANGELIA TOMASZA

Człowiek, który pożąda albo chce uniknąć rzeczy niezależnych od siebie, z konieczności staje się igraszką bezustannej zmienności i przemijania.

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

Dziś prawdziwy „okruszek” (co do rozmiarów, ale nie co do znaczenia), wzięty tym razem ze Starego Testamentu. Chodzi o zakończenie trzeciej mowy Mojżesza zapisanej w Księdze Powtórzonego Prawa (Pwt 30, 15-20). Mojżesz wypowiada ją na progu Kanaanu. Izrael ma właśnie wejść do Ziemi Obiecanej, po długiej wędrówce z ziemi niewoli – Egiptu. W nowej Ziemi – w Ziemi płynącej mlekiem i miodem, w Ziemi obietnic Boga – nie czeka go jednak „automatyczne” szczęście i bezwarunkowe bezpieczeństwo... Mojżesz mówi: „Kładę dziś przed Tobą życie i szczęście, śmierć i nieszczęście. Ja dziś nakazuję ci miłować Pana, Boga twego (...), abyś żył i mnożył się, a Pan, Bóg twój, będzie ci błogosławił. Ale jeśli serce swe odwrócisz, nie usłuchasz, zbłądzisz, i będziesz oddawał pokłon cudzym bogom, służąc im – oświadczam wam dzisiaj, że na pewno zginiecie (...). Wybierajcie więc życie, abyście żyli wy i wasze potomstwo (...), bo tu jest twoje życie i długie trwanie twego pobytu na ziemi, którą Pan poprzysiągł dać przodkom twoim: Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi”.

Czy „Ziemia Święta” może okazać się dla człowieka przekleństwem? Czy w Ziemi Boga można się okazać bałwochwalcą? Mojżesz przestrzega, że można. Co więcej, nie wszystkie z tych form bałwochwalstwa są równie łatwo uchwytne. Widać to szczególnie w ostatnim zdaniu. W naszym przekładzie brzmi ono: „bo TU jest twoje życie i długie trwanie twego pobytu na ziemi, którą Pan poprzysiągł dać przodkom twoim”. Najnowszy Żydowski przekład Tory (Tora Pardes Lauder) czyta tutaj: „bo ON [tzn. Pan] jest twoim życiem i długim trwaniem twego pobytu na ziemi, którą Pan poprzysiągł dać przodkom twoim”. Tak samo tłumaczy np. angielska King’s James Version.

Można być „tu” – i nie być w komunii z Nim. A to On, nie jakiekolwiek „miejsce”, jest źródłem i trwaniem naszego życia. Szukanie gwarancji bezpieczeństwa na poziomie bycia „tu”, a nie „w Nim”, kryje w sobie wszystkie mechanizmy myślenia sekciarskiego (gwarancja zbawienia z racji na samą przynależność) i bałwochwalczego: pierwszeństwo rzeczy (nawet „świętych”) przed osobowym Bogiem. Czy to możliwe i dziś?

Słyszałem ostatnio na jednym z wykładów z socjologii religii o obserwowanym obecnie w naszym społeczeństwie odwróceniu postawy opisywanej 20 lat temu zdaniem: „Chrystus – tak; Kościół – nie”. Wykładowczyni mówiła o wcale nie marginalnej dziś postawie: „Kościół – tak; Chrystus – nie”.

To znaczy: przynależność (formalna i deklaratywna) do Kościoła – tak! Powoływanie się na nią w różnych celach, nierzadko również politycznych; forsowanie wielu własnych idei (albo zwalczanie przeciwnych) „w imię” obrony Kościoła, jego pozycji, praw etc. – tak! Ale myślenie kategoriami Jezusowymi? Ale przyjęcie Ewangelii z całym jej radykalizmem? Bez łagodzących albo wręcz obezwładniających Ją komentarzy? Ale komunia z Panem – w Słowie, w Sakramencie i w Kościele? Ale wybór ubogich i wybór ubóstwa? Ale – choćby w ostatnich kontekstach – troska najpierw o ofiary, a nie o bezpieczeństwo „instytucji”?

Jezus jest źródłem i trwaniem życia. Również naszego życia i trwania w Kościele. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 III)

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 15, 5-12. 17-18; Ps 27; Flp 3, 17 – 4, 1; Łk 9, 28b-36;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 36-38;
Wtorek, Uroczystość św. Józefa: 2 Sm 7, 4-5a. 12-14a. 16; Ps 89; Rz 4, 13. 16-18. 22; Mt 1, 16. 18-21. 24a;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;
Czwartek: Jr 17, 5-10; Ps 1; Łk 16, 19-31;
Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 17b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Sobota: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 103; Łk 15, 1-3. 11-32;
3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 3, 1-8a. 13-15; Ps 103; 1 Kor 10, 1-6. 10-12; Łk 13, 1-9.

NIE STRASZCIE NAS POPULISTAMI

Jeśli coś sparaliżuje Unię po majowych wyborach, będą to rozbieżności między rządami państw członkowskich. Ani PiS, ani jego polityczni krewni z Węgier i innych krajów nie są w stanie tego dokonać.

KLAUS BACHMANN

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Czas na europejski renesans – głosi Emmanuel Macron w apelu opublikowanym w prasie w minionym tygodniu. Utrzymanie swobód, większa ochrona, postęp – w tych obszarach francuski prezydent przedstawia postulaty, dla realizacji których zakłada nawet możliwość rewizji traktatów.

Nie wydaje się, by poza rytualnymi streszczeniami w mediach jego tezy znalazły odbicie w świecie polskich polityków, gorączkowo zajętych tasowaniem kandydatów do Parlamentu Europejskiego. Skomplikowane układanie puzzli jedynek, dwójek i trójek na listach – zwłaszcza w bardzo niejednorodnej Koalicji Europejskiej, gdzie na spory wewnątrz Platformy nakładają się przetargi między dopiero co zebranymi pod jednym dachem partnerami – może potrwać jeszcze miesiąc. Będzie to czas stracony dla refleksji, czy i jak decyzje polskich wyborców mogą wpłynąć na układ sił w Brukseli i dalsze skutki naszego członkostwa w Unii.

Tymczasem na skalę unijną zachodzą ważne procesy i przewartościowania – tyle że nie da się ich przełożyć na realia polskie w tak prosty sposób, żeby to niepokoiło naszych liderów. PiS śpi spokojnie, w pewności, że ani nowy parlament, ani wyłoniona przezeń Komisja nie zagrozi jego władzy bardziej niż w dotychczasowy – niezbyt efektywny – sposób. Dla Platformy pewność uczestnictwa w największej chadeckiej grupie politycznej stanowi gwarancję takiej samej pozycji i wpływów na decyzje oraz obsady stanowisk. Dlatego też oba obozy mogą poprzestać na prostej mobilizacji wyborców. Z tym że nikt nawet nie próbuje odnieść się do wizji, choćby takich jak ta wyłożona przez Macrona. Wszyscy imają się innego sprawdzonego sposobu: ostrzegania przed śmiertelnym zagrożeniem.

Na prawicy ostrzegają przed imigracją, islamem, terroryzmem i to tym głośniej, im mniej dany kraj jest faktycznie zagrożony. Na lewicy i wśród liberałów biją na alarm przed wzmagającą się falą populizmu, który zagraża demokracji, praworządności, wartościom europejskim. Straszą również paraliżem Unii na skutek rozdrobnienia partii i rozpadu wielkich frakcji.

Każda z tych strategii ma te same wady i zalety: śmiałymi wizjami i ponurymi ostrzeżeniami można mobilizować własny elektorat, ale mogą one równie skutecznie poderwać przeciwników do boju. Tak czy owak frekwencja w ten sposób rośnie, co samo w sobie jest pozytywne, bo przysporzy wyborom, UE i Parlamentowi Europejskiemu silniejszej legitymizacji. Nie zmienia to jednak faktu, że z mamy do czynienia z próbami daleko idącej manipulacji.

Viktor Orbán i Mateusz Morawiecki, Warszawa, maj 2018 r.

Już to przerabialiśmy

Każde z tych zagrożeń ma realne tło. Imigracja ekonomiczna z Afryki i z krajów arabskich do UE długookresowo raczej się zwiększy, ale zmieni to islam i obyczaje imigrantów przynajmniej tak samo, jak oni zmienią nasze społeczeństwa. Dzieje się to zresztą już od mniej więcej dwóch pokoleń w Europie. Partie populistyczne, które wykorzystują ten lęk przed napływem „obcych", zawdzięczają swoje istnienie innym zjawiskom niż imigracji, mimo że ich politycy i wyborcy twierdzą coś przeciwnego.

Ale partie i ruchy populistyczne wcale nie są aż takie groźne, jak malują je ich obecni przeciwnicy. Powstały w Europie już w latach 80. i w wielu krajach współrządziły z tradycyjnymi partiami prawicy. Nigdzie to jednak nie doprowadziło do zniesienia demokracji, dyktatury albo do wybuchu wojny domowej. Nie sparaliżowało też instytucji państwa. Jeśli na moment przyjmiemy chłodniejszą perspektywę i spróbujemy sprawdzić, gdzie w przeszłości partie i ruchy populistyczne doprowadziły do niedemokratycznych zmian w ładzie konstytucyjnym danego kraju albo pomagały innym (niepopulistycznym) partiom w dokonywaniu takich zmian, to w Europie znajdziemy kilka przykładów: tak się stało w Rosji (za Putina), na Białorusi (za Łukaszenki), na Ukrainie (za Kuczmy i Janukowycza), w Turcji (za Erdoğana), na Węgrzech (za Orbána) ↦

↦ i w Polsce (od 2015 r.). We wszystkich pozostałych przypadkach partie podobne do tureckiej AKP, liberałów Żyrynowskiego, PiS albo Fideszu nie zdołały na trwałe zmienić porządku konstytucyjnego w swoich krajach. Nie stało się tak ani w Austrii, kiedy rządziła (i rządzi) tam FPOe, ani we Włoszech Berlusconiego, ani w Holandii, kiedy współrządziła tam Lista Pima Fortuyna.

Kraje te zawdzięczają to stabilności instytucji swoich państw, zaufaniu obywateli do tych instytucji, żywotności społeczeństwa obywatelskiego i wolności mediów. W krajach, gdzie populiści mogli wprowadzić trwałe zmiany, instytucje, zaufanie do nich, wpływ sektora pozarządowego i niezależność mediów były słabsze.

Partie populistyczne i partie skrajnej prawicy mogą zagrozić instytucjom poszczególnych państw, ale nie mają zbyt dużo szans, aby doprowadzić do tego samego na szczeblu UE, gdzie zmiany w systemach partyjnych państw członkowskich kompensują się wzajemnie. Jeśli wziąć za podstawę ostatnie prognozy i symulacje wyniku wyborów do Parlamentu Europejskiego i na tej podstawie obliczyć podział mandatów pośród największych „rodzin partyjnych" (lewica, prawica, liberałowie, nacjonaliści, populiści, skrajna lewica), to okazuje się, że w przyszłym parlamencie zmieni się niewiele. Wielka koalicja Europejskiej Partii Ludowej (chadecja) i socjalistów, która dotąd zapewniała PE stabilność, straci większość bezwzględną, ale i tak bez problemu może razem z liberałami (ALDE) tworzyć konieczne większości do uchwalenia prawa, do wyboru nowej Komisji Europejskiej, a nawet do tego, aby przeprowadzić wszystkie procedury związane z art. 7 traktatu lizbońskiego tam, gdzie PE ma do tego kompetencje.

Pozbyć się Orbána

Nawet wyrzucenie Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej, stworzenie większego bloku populistycznego z udziałem włoskiego Ruchu Pięciu Gwiazd albo (mało prawdopodobne) połączenie dwóch większych bloków eurosceptycznych w jeden tego nie zmieni. Wynika to m.in. z tego, że ruch Emmanuela Macrona zasili albo chadeków, albo liberałów, a nie blok, w którym znajdują się takie partie jak PiS, Fidesz, Jobbik i francuskie Zjednoczenie Narodowe. Takie sojusze tworzą się bowiem nie tylko według afiliacji ideologicznych poszczególnych ugrupowań w Brukseli, ale też według tego, jak oddziałują na politykę w kraju, skąd dane ugrupowanie pochodzi. Być może w sprawach europejskich PiS jest bliski Alternatywie dla Niemiec albo ugrupowaniu Marine Le Pen, ale sojusz z tymi partiami dałby potężne argumenty opozycji w kraju, która może głośno piętnować ludzi Jarosława Kaczyńskiego za wchodzenie w alianse z miłośnikami Kremla. Podobne problemy z zawarciem sojuszy mają też partie z innych krajów.

Ewentualna zmiana władzy w Warszawie na jesieni zdejmie z Rady UE blokadę, którą tam założyły rządy Polski i Węgier, gwarantując sobie nawzajem weto w sprawie sankcji.

To sprzężenie zwrotne z polityką wewnętrzną odpowiada za obecne zamieszanie wokół obecności Orbána w EPL. Oto w ciągu ostatnich dwóch tygodni kierownictwo tej grupy politycznej zaczęło być znacznie bardziej wrażliwe na formułowane od dawna apele, aby pozbyć się Fideszu, ponieważ jego rządy na Węgrzech zbyt jawnie gwałcą demokratyczne standardy. . Dotychczas przeważała interpretacja, że swego rodzaju bezkarność Orbána w chadeckiej rodzinie wynika z czystej arytmetyki: jego posłowie mieliby być jakoby niezbędni do zachowania większości w PE. Owszem, Fidesz może znów wygrać wybory na Węgrzech, ale ponieważ Węgry to mały kraj, to i tak wyśle na tyle małą liczbę posłów do Parlamentu Europejskiego, że jeśli nie zasilą oni znów szeregów EPL, to dla tej grupy politycznej jest to bez znaczenia. Kilka mandatów chadeckich więcej w innych krajach zrekompensuje to z nawiązką.

Przyczyna nagłego wzmożenia wokół węgierskiej czarnej owcy ma ścisły związek z szansami Manfreda Webera, czołowego kandydata EPL w tych wyborach na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Jego widoki będą marne, jeśli EPL nie usunie Fideszu przed tym, zanim instytucje unijne po wyborach zaczną procedurę wyboru następcy Jean-Claude'a Junckera. Wtedy bowiem – wobec utraty absolutnej większości ze strony socjalistów i EPL – może powstać chwilowy sojusz lewicy z liberałami, który zablokuje jego kandydaturę. Patrząc na traktatową procedurę wyłonienia szefa Komisji, wystarczy nawet przeciągnąć głosowanie nad kandydaturą Webera, aby skłonić Radę UE do przedstawienia kompromisowego kandydata. Nie wiemy, czy w tej Radzie jest albo będzie większość czterech piątych, aby stwierdzić „poważne zagrożenie dla praworządności" w Polsce lub na Węgrzech, ale prawdopodobnie istnieje tam ukryta, lecz wystarczająco duża mniejszość, która mogłaby zablokować kandydaturę Webera, jeśli EPL wcześniej nie usunie ze swoich szeregów Fideszu. Aby ukarać Polskę lub Węgry art. 7, potrzeba 80 proc. głosów, z kolei aby ukarać Węgry pośrednio, czyli zablokować kandydaturę Webera, co zmusi ostatecznie EPL do pozbycia się Fideszu, potrzebnych byłoby tylko trochę więcej niż 38 proc. głosów w Radzie UE.

Nawet gdyby Weberowi udało się przebrnąć przez tę rafę w Radzie UE, to i tak EPL potrzebowałaby potem absolutnej większości dla swojej nominacji w Parlamencie Europejskim. A ta będzie osiągalna tylko za pomocą socjalistów i liberałów, którzy znów mogą postawić Weberowi ten sam warunek: wyrzuć Fidesz.

Zbyt rozbieżne interesy

Podobna dynamika będzie miała zresztą wpływ na to, czy PiS po wyborach może wejść do EPL. Co jakiś czas pojawiają się spekulacje o takim transferze – wskutek brexitu obecna „rodzina", do której należy PiS, straci całkowicie na znaczeniu. Silny desant pierwszoplanowych polityków tej partii do Brukseli – z Joachimem Brudzińskim na czele – może świadczyć o takich marzeniach, ale to nie zmienia faktu, że ich liczba nawet w razie dobrego wyniku w Polsce będzie zbyt mała, aby coś istotnego zmienić w układzie władzy w najważniejszych unijnych instytucjach. Reputacja obecnego obozu władzy w kluczowych krajach UE jest tak zła, że przyjęcie PiS do EPL wiązałoby się z podobnymi kosztami dla EPL jak zatrzymanie w niej Fideszu.

Kalkulacje przy ustalaniu nowego podziału wpływów w PE i Radzie UE będą miały mniejsze znaczenie niż wewnętrzna polityka poszczególnych państw przy odpowiedzi na pytanie, czy Unia nie zostanie

sparaliżowana z powodu napływu większej liczby posłów z ugrupowań zwanych populistycznymi. Być może taki paraliż nastąpi z innych powodów, ale to się będzie raczej działo na poziomie Rady UE i Rady Europejskiej, a powodem będą zbyt duże rozbieżności między interesami poszczególnych rządów. Już teraz takie zjawisko ma miejsce w polityce migracyjnej, ochronie granic, relokacji i integracji uchodźców oraz w kilku innych kwestiach. Nie trzeba nikim straszyć, choć z punktu widzenia rządów krajów członkowskich jest to propagandowo o wiele lepszy zabieg niż przyznanie, że Unii grozi blokada decyzyjna z powodu ich nieustępliwości i uporu.

Kiedy wszystko zależy od Polski

Nowe instytucje UE po wyborach nie będą ani lepsze, ani gorsze niż dotąd. W świetle tych danych również presja na polski rząd w sprawie zagrożeń dla praworządności i reformy sądownictwa będzie taka jak dotąd – i też tak samo mało skuteczna. Wobec silniejszej pozycji liberałów (którzy staną się języczkiem u wagi) jest nawet jeszcze mniej prawdopodobne niż dotąd, że w Komisji Europejskiej przejdzie przychylny dla Warszawy czy Budapesztu komisarz odpowiedzialny za rządy prawa i kartę praw podstawowych – czyli ktoś na miejsce znienawidzonego przez media przychylne władzy Fransa Timmermansa. Ale nadal skargi do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości będą skuteczniejsze niż procedura według art. 7 i zapytania prejudycjalne. Z Trybunałem nie sposób negocjować, a jego wyroki muszą być respektowane przez wszystkie instytucje kraju, a nie tylko (jak w przypadku zapytań prejudycjalnych) uwzględnione przez sądy krajowe w ich decyzjach.

Ten splot okoliczności może się jednak dramatycznie zmienić – i to z reperkusjami dla całej UE – w wyniku wyborów parlamentarnych jesienią w Polsce. One mogą (choć nie muszą) mieć większy wpływ na UE niż majowe wybory do Parlamentu Europejskiego. Stanie się tak, jeśli PiS utraci absolutną większość w Sejmie i będzie musiał zawrzeć koalicję z partią, która dotąd była w opozycji, albo zostanie nawet odsunięte od władzy. To bowiem zdejmie z Rady UE blokadę, którą tam założyły rządy Polski i Węgier. Dzięki wzajemnej gwarancji weta zarówno Warszawa, jak i Budapeszt mogą być pewne, że nie grożą im sankcje przewidziane w art. 7. W razie zmiany władzy w Polsce wystarczy, że nowy rząd ogłosi, iż wstrzyma się od głosu przy decyzji Rady UE o przeprowadzeniu procedury z art. 7 wobec Węgier. EPL nie ma wtedy już powodu, aby chronić Fidesz (bo Fidesz będzie tak samo poza EPL jak PiS), a Orbán stanie przed dylematem, czy pójść na kompromis z Komisją, czy stracić prawo głosu w Radzie.

Trzeba sobie jednak zdać sprawę, że to są problemy ważne z punktu widzenia Polski i Węgier, tymczasem dla Unii, dla jej najważniejszych państw i instytucji mają drugo- jeśli nie trzeciorzędne znaczenie. O wiele większe niż wydarzenia w Polsce i na Węgrzech wyzwania to brexit, stosunki amerykańsko-chińskie i transatlantyckie, rozwój sytuacji we Włoszech, a nawet współpraca z państwami afrykańskimi przy ograniczaniu migracji do UE.

© KLAUS BACHMANN

REKLAMA

Żeby Polska była siecią

PIOTR KOZANECKI

Deglomeracja, o której zaczynają przebąkiwać niektórzy politycy z obozu władzy, nie może polegać tylko na mechanicznej przeprowadzce paru urzędów.

Zakład Ubezpieczeń Społecznych do Częstochowy, Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad do Łodzi, Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa do Lublina? A może Ministerstwo Środowiska do Białegostoku, a gospodarki do Poznania? Czy pomysł przenoszenia instytucji poza Warszawę mógłby pomóc w zrównoważonym rozwoju kraju?

Wśród naukowców i aktywistów ten temat jest omawiany już od kilku dobrych lat. Kongres Ruchów Miejskich regularnie odbywa się w różnych miejscach i kiedy w 2015 r. zawitał do Gorzowa Wielkopolskiego, to organizatorzy pół żartem, pół serio przekonywali, że warto tam być choćby po to, żeby się przekonać, jak trudno do tego miasta się dostać czymkolwiek innym niż własne auto. O deglomeracji często wspominał jako prezydent Słupska Robert Biedroń, na sztandarach ma ją też partia Razem.

W styczniu za sprawą Jarosława Gowina temat deglomeracji z niszowych miejskich i akademickich dyskusji trafił na chwilę na szczebel ogólnopolskiej polityki. Na pierwszej konwencji Porozumienia, nowego ugrupowania wicepremiera, Gowin deklarował chęć realizacji tej idei, a wystąpienie jej poświęcone miał Jakub Banaszek, prezydent Chełma. Rozmówcy z partii wicepremiera optymistycznie uważają, że pierwsze oznaki tego złożonego procesu zobaczymy już na początku przyszłego roku. Eksperci tonują te nastroje, a znawcy meandrów polskiej polityki uważają, że w obecnym rozdaniu realnych szans na deglomerację w ogóle nie ma. Gdyby jednak do niej doszło, to warto wiedzieć, czym ona jest i jakie może dać nam korzyści. I jakie wiążą się z nią zagrożenia.

System osadniczy to nasz skarb

– Deglomeracja to proces przenoszenia instytucji publicznych z miejsc, gdzie jest zbyt dużo funkcji, do mniejszych ośrodków, gdzie występuje ich niedobór – tłumaczy dr Łukasz Zaborowski z Instytutu Sobieskiego. – Chodzi o to, żeby funkcje były rozmieszczone równomiernie, dopasowane do potencjału ludnościowego, a przede wszystkim dyskontujące nasz wielki skarb, jakim jest wciąż niedoceniany policentryczny system osadniczy Polski – dodaje prof. Przemysław Śleszyński z Polskiej Akademii Nauk.

Po co mielibyśmy to robić? – Każda instytucja publiczna jest dobrem publicznym. Świadczy pewne usługi, działa na rzecz jakiejś sprawy. Ale oprócz, w danym miejscu daje korzyści dodatkowe. Można się tam zatrudnić, pracownicy są siłą nabywczą i twórczą warstwą społeczną, bo pracują tam wykwalifikowane kadry. Przydają się nie tylko instytucji, ale też przyczyniają się do rozwoju danego miasta – tłumaczy Zaborowski.

Prościej rzecz ujmując, chodzi o to, żeby Polska poza Warszawą mogła rozwijać się szybciej i lepiej, zamiast się wyludniać. – Najbardziej poszkodowany jest zbiór miast średnich, szczególnie największych z tej kategorii, które utraciły status miasta wojewódzkiego po reformie administracyjnej z 1999 r. – tłumaczy prof. Śleszyński.

W Warszawie brak specjalistów

Wszystkie specjalistyczne urzędy, agencje rządowe i instytucje publiczne mają swoje siedziby w Warszawie. Jest ich około stu: od Trybunału Konstytucyjnego i Najwyższej Izby Kontroli przez Główny Urząd Statystyczny, Zakład Ubezpieczeń Społecznych na Głównym Urzędzie Miar kończąc. Nawet jeśli luźno założymy, że średnio każda z tych instytucji zatrudnia sto osób, to mamy 10 tys. ludzi. Razem z rodzinami – spokojnie 30 tys. A przecież znaczna część tych instytucji zatrudnia znacznie więcej niż sto osób. Zazwyczaj dobrze wykształconych specjalistów. W wypełnionej i tak administracją rządową i przede wszystkim prywatnymi firmami Warszawie nie robią jako grupa wielkiej różnicy. Wysłani w Polskę taką różnicę już zrobić by mogli. Tym bardziej że przeniesiony poza Warszawę urząd działałby w sensie społecznym jak prywatna firma – ktoś tych ludzi musiałby żywić, strzyc, wozić, obsłużyć prawnie, wynająć im mieszkania, zapewnić udział w życiu kulturalnym.

Dla miejscowości, do których miałyby być przenoszone instytucje, zalety są więc dość jasne. Wad z tego punktu widzenia właściwie nie ma, w najgorszym przypadku może się okazać, że efekt był mniejszy od oczekiwanego. Ale minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz zwraca uwagę, że także samym instytucjom taka zmiana mogłaby się przysłużyć. – W Warszawie pozyskanie specjalisty do administracji jest bardzo trudne. Od kilku miesięcy ogłaszamy rekrutacje nie tylko na stronie internetowej, ale także na ogólnodostępnych portalach dla szukających pracy czy na serwisach społecznościowych. Chętnych jest bardzo mało, bo nie jesteśmy w stanie konkurować z korporacjami. Mniejsze miasta mają mniejszy rynek prywatnych firm i pozyskanie specjalisty może być tam łatwiejsze, a pensja oferowana przez administrację bardziej atrakcyjna niż w mającej wysokie koszty życia stolicy. Bo przyzwolenia społecznego na wyższe koszty administracji nie ma – tłumaczy.

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Centrum Warszawy, kwiecień 2013 r.

Deglomeracja mogłaby więc ograniczyć odpływ zdolnych i wykształconych ludzi z mniejszych miejscowości i poprawić sprawność działania administracji. Sprawić, że stalibyśmy się mentalnie mniej warszawocentryczni.

Polska jest stworzona do równomiernego rozłożenia ważnych funkcji na całym jej terytorium. Mamy dość regularną siatkę dużych miast, pomiędzy nimi mniejsze ośrodki. Poznań, Wrocław, Kraków, Gdańsk – każde z powodzeniem mogłoby pełnić funkcję stolicy. Do tego praktycznie żadnych naturalnych przeszkód, które utrudniałyby budowanie połączeń transportowych – jak chociażby w podobnej rozmiarami Rumunii, przeciętej w środku potężnym grzbietem Karpat. Idealny jest nawet kształt kraju, wpisany w ścięty nieco na Dolnym Śląsku kwadrat, a nie wąski i wydłużony prostokąt jak np. Szwecja. Geografia i rozkład miast działają na naszą korzyść. Nic, tylko deglomerować. Tylko jak się do tego zabrać?

Na skalę regionu

– Zacząć od siebie – mówi Jadwiga Emilewicz. – Prezydent podpisał już ustawę o Platformie Przemysłu Przyszłości, która powołuje fundację mającą wspierać przedsiębiorców w obszarze transformacji cyfrowej w zakresie procesów, produktów i modeli biznesu. Ta fundacja w ciągu najbliższych dziesięciu lat ma zarządzać budżetem przekraczającym 200 mln zł i jej siedzibą nie będzie Warszawa – przekonuje minister i dodaje, że ostatnie szczegóły dotyczące lokalizacji są właśnie uzgadniane. – Mamy też laboratoria Głównego Urzędu Miar, które jeszcze od przedwojnia były na Miodowej w Warszawie, ale tam nie spełniały już żadnych norm i trzeba było wybrać nowe miejsce. Prezesowi bardzo zależało na otulinie Warszawy, ale to są bardzo drogie grunty. Ofertę złożyły Kielce i jest bardzo duża szansa, że laboratoria przeniosą się właśnie tam – uzupełnia minister.

To jednak dopiero dwie jaskółki. – Do końca lutego razem z Instytutem Rozwoju Miast chcemy przygotować listę instytucji, które bez uszczerbku na jakości świadczenia usług mogą być przenoszone z Warszawy – deklaruje Emilewicz. Rzut oka na kalendarz wystarczy, żeby zorientować się, że do końca kadencji parlamentu żadna instytucja nigdzie się nie przeniesie. Za to będzie można zgrabnie i ostrożnie grać tematem podczas kampanii wyborczej. Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki wiedzieli, że z deglomeracji element swojego programu chce zrobić Jarosław Gowin. I bez problemu się na to zgodzili. Jeśli w trakcie kampanii pomysł chwyci, będą mogli się pod niego podpiąć. Jeśli nie, sprawa szybko ucichnie. Bo deglomeracja nie jest przecież politycznie przezroczysta. Teoretycznie mogą ją poprzeć wszystkie partie polityczne, ale w praktyce siły jej przeciwne są potężne.

– Przeprowadzenie tego procesu będzie bardzo trudne. Warszawska kasta polityczno-urzędnicza będzie pokątnie przeszkadzać, bo to ich własne interesy, stanowiska pracy ich lub ich kolegów – uważa dr Zaborowski.

Trzeba też w całej układance brać pod uwagę komfort tysięcy pracowników zatrudnionych w potencjalnie przenoszonych instytucjach. Wiadomo, że rząd nie chce przenoszenia ministerstw, chce natomiast nakłaniać samorządy do deglomeracji w ramach regionów. – Tutaj symboliczny pierwszy krok dokonał się dość dawno, kiedy Dolnośląski Urząd Pracy trafił do Wałbrzycha, bo tam było rekordowe bezrobocie, a nie do Wrocławia. W Krakowie teraz Urząd Pracy szuka lokalizacji, a przecież jest w tym mieście niepotrzebny. Może to jest dobry moment, żeby przenieść go na przykład do Tarnowa. To samo można zrobić z innymi instytucjami wojewódzkimi, jak np. Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska – uważa Emilewicz.

Strategia Ogólnikowego Rozwoju

Zdaniem ekspertów rozpoczęcie procesu deglomeracji od tworzenia listy instytucji możliwych do przeniesienia to działanie bezrefleksyjne.

– Najpierw musimy sobie opisać, jaką sieć miejską mamy i jaką chcemy mieć. Trzeba przyporządkować poszczególnym ośrodkom, przypisać pewne funkcje. I jak już to będziemy mieli, wtedy skonfrontujemy z rzeczywistością i ocenimy, gdzie rzeczywistość nie odpowiada naszym oczekiwaniom. I dopiero wtedy tę rzeczywistość zaczynamy zmieniać – tłumaczy krok po kroku Zaborowski.

Ale nie jest przecież tak, że nie mamy żadnych planów ani koncepcji rozwoju kraju. – Oczywiście, plany są, jak choćby Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju czy Koncepcja Przestrzennego Zagospodarowania Kraju. Ale wadą planowania w Polsce jest powierzchowność zapisów, wysoki poziom ogólności. Nie mówię, że to jest robione celowo, ale na podstawie polskich dokumentów planistycznych da się podjąć praktycznie każdą decyzję. Przykład? Mamy w Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wpisane wsparcie miast średnich, szczególnie tych tracących swoje funkcje. ↦

↦ Tylko że tych średnich mamy tam 255, a wśród nich tych tracących funkcje 122. Od 200-tysięcznej Częstochowy do Kozienic czy Końskich. W takim układzie nie ma mowy o spójnej polityce, która je wszystkie wspomoże – tłumaczy Zaborowski.

Sprawa robi się jeszcze bardziej złożona, kiedy dołączymy głos profesora Przemysława Śleszyńskiego, który dla Klubu Jagiellońskiego przygotował raport „Polska średnich miast. Założenia i koncepcja deglomeracji w Polsce". – Deglomeracja obejmuje nie tylko potrzebę przenoszenia części urzędów centralnych poza stolicę, bo to z pewnością nie wystarczy, aby przełamać polaryzacyjny rozwój kraju. Potrzebne są działania w obszarze polityki przemysłowej, transportowej, finansów publicznych czy nawet migracyjnej. Z deglomeracją musi iść w parze zwłaszcza reforma administracyjna, bo obecny system nie jest efektywny i sprzyja narastaniu dysfunkcji, na przykład powstawaniu tzw. peryferii wewnętrznych – obszarów na pograniczu zbyt dużych województw.

Województwa od nowa

Śleszyński proponuje dwie opcje. – Po pierwsze, robimy mniej województw, jakieś 8-12, i do tego około setki powiatów, silniejszych pod względem kompetencji, zamiast obecnych ponad trzystu. Przecież ta powiatowa siatka to dziedzictwo czasów średniowiecznych, kiedy miasto miało być w takiej odległości od wsi, żeby dało się jednego dnia obrócić wozem z koniem w obie strony – wytyka profesor. – Albo druga opcja: robimy więcej województw, ponad 20, może nawet 30. Ale powiaty likwidujemy i mamy system dwuszczeblowy.

Śleszyński mocno podkreśla jeszcze, aby idei deglomeracji w żadnym razie nie sprowadzać jedynie do przeprowadzki urzędów, ale traktować ją jako nową wizję rozwoju, opartą na różnego rodzaju niedocenianych dźwigniach, tkwiących w zasobach wewnętrznych Polski. Jest to zwłaszcza system osadniczy, należący do wyjątków nie tylko w Europie, ale i na świecie.

Rząd planów na reformę administracyjną jednak nie ma, nawet jeśli jego przedstawiciele nieoficjalnie się z diagnozą Śleszyńskiego zgadzają. Samo przenoszenie urzędów, jeśli w ogóle do niego dojdzie, byłoby i tak wojenką podjazdową na dziesiątkach frontów. Reforma administracyjna to już walka o „mojsze i najmojsze" na całego.

Proces jednak nie jest niemożliwy do przeprowadzenia, co pokazuje często przywoływany przykład Niemiec. Federalny Trybunał Konstytucyjny mieści się w Karlsruhe, Naczelny Sąd Administracyjny w Lipsku, Federalny Sąd Pracy w Erfurcie, siedziba kontrwywiadu w Kolonii, a Federalnego Urzędu Pracy w Norymberdze. Nawet niektóre ministerstwa są poza Berlinem, a siedziby państwowych telewizji ARD i ZDF w Monachium i Moguncji.

– Polska ma tak samo policentryczną sieć osadniczą, ale Niemcy zaplanowali sobie zrównoważony rozwój kraju i konsekwentnie go realizują – wyjaśnia Zaborowski. – Ich deglomeracja nie wynika z jakichś niesterowalnych, długofalowych procesów historycznych, ale z konkretnych decyzji podejmowanych na szczeblu centralnym w ostatnich dziesięcioleciach. Nie rozwiązała oczywiście wszystkich problemów, bo mniejsze miejscowości i tak cierpią ze względu na starzenie się społeczeństwa. Ale mądrze rozplanowana na kilka albo nawet kilkanaście lat deglomeracja mogłaby złagodzić jego skutki.

© PIOTR KOZANECKI

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, w Wydziale I Cywilnym, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 801/18 o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Koryga, zm. 2 lutego 2016 r. w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

O wózku ani słowa

KRZYSZTOF STORY

Pierwsze kilometry zawsze są miłe. Siedzisz w pociągu, samochodzie i się uśmiechasz – Michał Woroch tak ma. Dla niego początek podróży zawsze oznacza lekkość.

Do tego konkretnego wyjazdu wprzygotowywali się dwa lata. Obaj po trzydziestce, obaj na wózkach inwalidzkich. Pierwszy z zanikiem mięśni, drugi po nieudanej operacji wycięcia nowotworu. Od ponad 10 lat żaden z nich nie postawił kroku. Uparli się, że przejadą samochodem przez obie Ameryki. 9 listopada 2016 r. ruszyli z Ushuaia – najdalej wysuniętej na południe osady w Ameryce Południowej. Prawie dwa lata później dotarli na północny kraniec Alaski. Przejechali dziesiątki tysięcy kilometrów. Przez bezdroża, przez góry, przez amerykańskie autostrady. Spływali Amazonką, byli na pustyni Atacama, uczestniczyli w ceremoniach ayahuaski.

Gdy Michał opowiada o tej podróży, pokazuje dużo zdjęć, relacjonuje kolejne przygody. Ale najchętniej pokazałby tylko jeden film. Na nagraniu widać, jak wsiadają do samochodu. Najpierw Michał przesiada się z wózka na windę, która podnosi go na siedzenie pasażera. Maciej bierze jego wózek, jedzie na tył samochodu. Odczepia koła, wrzuca je do auta, ramę osobno. Podjeżdża do drzwi kierowcy. Maciej ma więcej siły, więc łapie się ramy i sam wciąga na siedzenie. Schyla się po wózek. Rozmontowuje go i układa za sobą. Najpierw rama, potem jedno koło, drugie i już można jechać.

Film trwa 30 minut.

Pamiętasz, kiedy dotarliście na Alaskę?

Nie.

We wrześniu 2018 r. Aż dziwne, że nie pamiętasz.

MICHAŁ WOROCH; MACIEJ KAMIŃSKI

Michał Woroch i Maciej Kamiński w trasie

Wszystkie miejsca, daty były w tej podróży nieistotne. Chodziło o bycie w drodze, o sprawdzenie się.

Ale na pewno były momenty, które zapamiętałeś szczególnie.

Mam jeden. Na półwyspie Valdés w Argentynie, zaraz na początku trasy. Wieczorem zaparkowaliśmy samochód, wysiedliśmy, podjechałem do krawędzi. To jest piękne miejsce, pod stopami widzisz ocean. I wtedy poczułem, że się udało. Że w końcu jesteśmy w drodze. Wydarłem się na cały głos. Z emocji.

Do podróży przygotowywaliście się ponad dwa lata.

Amerykę wymyśliłem po studiach [Michał skończył grafikę na poznańskiej ASP – red.]. Wcześniej już podróżowałem, na jednym wyjeździe byłem razem z Maciejem.

Zapytałem go, czy pojedzie – pierwotnie myślałem tylko o Południowej. Chciałem nakręcić film dokumentalny o tym, jak razem jedziemy do dżungli, i w ten sposób zarobić na wyjazd. Jedna stacja telewizyjna była zainteresowana, miała na to duże pieniądze. Ale Maciej nie chciał być kręcony, źle by się z tym czuł.

Co zrobiłeś?

Przekierowałem energię na co innego – budowę samochodu. Kupiłem starego land rovera defendera. Dla przyjaciół po prostu „Def". Według sprzedawcy pochodził z gospodarstwa w Holandii. Tak naprawdę przez 18 lat jeździł w kopalni odkrywkowej. Mechanicy płakali na jego widok.

Zacząłem go przystosowywać do naszych potrzeb. Poza tym pracowałem, zbierałem pieniądze. By mieć spokój, przestrzeń, zamieszkałem u Macieja.

Na wyspie?

Dosłownie. Maciej w 2013 r. zaczął się opiekować domem. Drewniana chałupa otoczona rzeczką Tążyną, nieopodal Torunia. Obok stary młyn, obora. Na posesję trzeba przejechać przez most. To jest magiczne miejsce. Gdy się tam wprowadziłem, nie było nawet porządnego podjazdu, Maciej wciągał mnie do domu na linie. Z czasem dostosowałem to miejsce, znalazłem tam swój azyl. Mogłem pracować.

Mówisz „mogłem", a nie „mogliśmy". Dlaczego?

Bo tak się umówiliśmy. Z Maciejem znamy się od dawna, ze szpitala. Miałem może 18 lat, niedługo później usiadłem na wózek. On jeszcze rok wcześniej był najlepszym sportowcem w szkole. Upadł podczas gry w nogę, lekarze wykryli guz na rdzeniu kręgowym. Po operacji Maciej obudził się bez czucia w nogach. Poznaliśmy się w najgorszym momencie życia, jakoś się zakumplowaliśmy, ale przez lata widywaliśmy się prawie tylko w szpitalu.

W 2011 r. zapytałem, czy nie pojedzie ze mną w podróż po Europie. Zgodził się, ale od razu powiedział, że większość pracy spadnie na mnie. Maciej ma więcej siły fizycznej, ale energii do takich przygotowań mu brakuje. Nie przeszkadzało mi to. Wystarczyło, jeśli mnie czasem gdzieś zawiózł, popchnął wózek, podniósł jakąś część. I wtedy, i przed podróżą przez Ameryki to ja kupiłem samochód. W Europę ruszyliśmy volkswagenem transporterem w 2012 r., dojechaliśmy aż na południe. We Włoszech podjeżdżaliśmy blisko plaży i patrzyliśmy, jak ludzie biegną do morza. My nie mogliśmy, więc otwieraliśmy wino przy samochodzie. Ze złości piliśmy.

Podróże były dla Ciebie ucieczką?

Na początku to była wyłącznie ucieczka. Mój pierwszy naprawdę daleki wyjazd to Mongolia w 2008 r. Mieliśmy kręcić film o Caatanach – nomadach żyjących z hodowli reniferów. Wyobraź sobie młodego chłopaka, który nie do końca lubi siebie na wózku i jedzie w taką podróż. Podróż, gdzie trzeba trzy dni z Ułan Bator jechać konno. Wszyscy mówią, że to niemożliwe, ale ty oczywiście wiesz lepiej. Zbudowałem sobie uprząż z pasa strażackiego. Według własnego projektu. I dałem radę. Po Mongolii po raz pierwszy poczułem, że zrobiłem coś trudnego. Później były kolejne wyjazdy – Indie, Norwegia...

Na czym ta ucieczka polegała? Przecież w podróży dalej jesteś na wózku. I jest jeszcze trudniej.

Tylko że w podróży ten trud jest wpisany w całą wyprawę. Jest jej sensem. Skupiasz się tylko na tym, jak rozwiązać kolejny problem. To cudownie zaprząta umysł. W domu muszę myśleć o tysiącu innych spraw. O pracy, o mieszkaniu, o rodzinie. A i tak co chwilę natykam się na jakiś Everest, w stylu dwóch schodków przed drzwiami do knajpy.

Dobrze, ucieknijmy więc. Kim jest Michał Woroch bez wózka?

Nie pamiętam. Urodziłem się w Janowcu Wielkopolskim. Od zawsze byłem słabszy od innych. Zawsze musiałem dużo lepiej przemyśleć, jak wejść na drzewo. O tym, że mam zanik mięśni, dowiedziałem się w wieku 16 lat. Wyobraź sobie mnie jako nastolatka. Codziennie idę z przystanku do szkoły. Na początku pierwszej klasy robię dwa postoje, pod koniec – siedem. To jest ciężkie dla umysłu. Masz 17 lat i nie umiesz wejść po schodach. A jak idziesz po prostym, to musisz się trzymać za kieszenie. To nie są żadne głębokie przemyślenia o tym, że tracisz kontrolę nad ciałem. Po prostu jej nie masz. Idziesz i nagle się wywalasz. ↦

↦ **Pamiętasz ostatnie dni bez wózka?**

Tragedia. Każdy krawężnik był przeszkodą. Szedłem i cały czas musiałem patrzeć pod nogi. Ja się cieszyłem z wózka. Bo nagle usiadłem i mogłem podnieść wzrok. Na ludzi spojrzeć.

Skąd w tym świecie miejsce na podróże?

Od dziecka lubiłem nowe miejsca. Lubiłem wejść na wieżę, zobaczyć widok. Tato w pracy dużo czasu spędzał w drodze. Jechałem z nim czasem 600 kilometrów zawieźć jedną paczkę i wrócić. Albo brałem rower i lądowałem w sąsiedniej wsi. Nie zwiedzałem, nie robiłem nic szczególnego. Zwykle po prostu siadałem na krawężniku i piłem oranżadę. Aż do dzisiaj w podróżach chyba o to chodzi – żeby wypić oranżadę w nowym miejscu.

Jak smakuje oranżada w drodze przez Ameryki?

Projektowałem tę podróż tak, żeby była trudna. Żeby się sprawdzić. Przejeżdżaliśmy przez wysokie góry, pustynie, raz nawet załadowaliśmy Defa na prom i spłynęliśmy Amazonką. W górach Boliwii dostałem choroby wysokościowej, przez moment myślałem, że umieram. Marzliśmy też. Ty możesz poskakać, pobiegać, rozgrzać się – my nie. Gdy ciebie złapie burza przy samochodzie, wskakujesz do środka w sekundę. Mnie zajmie to kilkanaście minut. Wszyscy pytali: po co wy to robicie? A dla mnie im więcej trudu, tym było łatwiej.

Wiele rzeczy w tej podróży było poza naszym zasięgiem. Większość cudów świata, obowiązkowych atrakcji turystycznych. Nie widziałem Machu Picchu, choć przejechaliśmy pięć kilometrów od niego. Musieliśmy czerpać z czego innego i nauczyliśmy się tego. Często nie mieliśmy sił szukać ładnych miejsc, prosić o pomoc. W Meksyku skończyliśmy na wielkim parkingu dla ciężarówek. Było ciepło. Siedzieliśmy na murku i patrzyliśmy na jadące samochody. Tylko oranżadę zamieniłem na małe piwo.

Opowiedz o defenderze. Przez wiele miesięcy był waszym domem.

Def? On był pełnoprawnym członkiem wyprawy. Dla mnie przedłużeniem możliwości życia. Na dachu zamontowaliśmy namiot, w którym spał Maciej. Z tyłu zrobiłem kuchnię, z przodu uchwyty na deski toaletowe. Do tego pięć wind. Winda do samochodu, winda na dach, winda dla wózka i dla rowerka, winda awaryjna. Wszystkie na wyciągarkach od quada. Tylko ja ich potrzebowałem. Maciej ma więcej siły w rękach niż większość zdrowych ludzi. Nawet maskę dałby radę podnieść sam. Ze mną jest trudniej. Większość rzeczy projektowałem sam, tak jak ten rowerek. To dodatkowe koło, które podczepiam z przodu do wózka. Pełna bateria daje mi nawet sto kilometrów zasięgu. 30 na godzinę mogę jechać na takim trójkołowcu.

Z Defem mieliście dużo problemów.

W Los Angeles strzelił nam rozrząd. Zapożyczyliśmy się, naprawiliśmy, jedziemy dalej. Za 70 kilometrów – znowu to samo. Jesteśmy uparci, ale wtedy nie było rady. Musieliśmy przerwać wyprawę. Na dziewięć miesięcy wróciliśmy do kraju. Ja pracowałem jako grafik, prowadziłem prelekcje. Kupiłem silnik na zmianę, przywieźliśmy go z Polski.

Jak ta przerwa wpłynęła na waszą podróż?

Dla mnie takim odcięciem nie był powrót do Polski, tylko granica Stanów Zjednoczonych.

Poniżej była trudna logistycznie, ale lepsza podróż. Powyżej musisz być w systemie. Weźmy chodzenie na plażę. W Stanach niby wszystko dostosowane, ale samochodem na plażę nie wjedziesz. A w Meksyku zapinasz terenowe biegi i tylko twoja jazda wyznacza to, jak blisko morza podjedziesz.

Wy wróciliście we wrześniu. Od tego czasu opowiadasz, prowadzisz prelekcje, teraz wydajesz książkę. Czemu?

Książka jest po to, żeby wszystko z siebie wyrzucić. Nie tylko podróż. Nie tylko trudy. Nie lubię pisać o tym, jak było trudno. Piszę o tym, co przeszliśmy i jak. Stąd tytuł: „Krok po kroku". A prelekcje? Trzy aspekty: praca, poznawanie ludzi i misja, żeby opowiadać. Chociaż ta „misja" to kiepskie słowo.

Masz lepsze?

Kiedy przestawałem chodzić, poznałem dziewczynę, która przejechała rowerem z Polski do Madrytu. Spacerowaliśmy z Agatą po Poznaniu, a ona opowiadała w taki sposób, że moje podróże do dziś są wypadkową tamtej rozmowy. Skoro mi dano coś takiego, to może i w mojej opowieści ktoś znajdzie zachętę.

Będziesz dalej podróżował?

Mam pewien plan. Na razie sprawdzam, czy to w ogóle możliwe. Ale wiem, że nie mogę tego robić wiecznie. Przed wyjazdem do Ameryki byłem w stanie wejść na wózek z ziemi. Dzisiaj już tego nie zrobię.

Ile Ci zostało?

Nie wiem. Kiedyś lekarze mówili mi, że będzie problem z dożyciem dwudziestki. A tu zobacz – stary chłop [Michał ma 35 lat – red.].

Od tego roku refundowany jest lek, który hamuje postęp choroby.

Nie wiem jeszcze, czy kwalifikuję się do terapii. Długo zwlekałem z informacjami na ten temat. To trudne. 16 lat godziłem się z własną niepełnosprawnością. Ciężko jest zacząć od nowa walczyć.

Jesteś szczęśliwy?

Tak. Dla mnie szczęście oznacza spokój. Zawsze podziwiałem starszych ludzi. Lubię ich obserwować. To widać po oczach, że tam się trochę życia przerobiło. Też chciałbym taki być. W podróży, w życiu. Chciałbym być jak starzec, który spokojnie idzie przez życie. Krok po kroku. Ręce założył za plecami i uważnie obserwuje wszystko dookoła. Chciałbym jeszcze zbudować dom. Azyl, który będzie dostosowany do mnie. Koniecznie z dużymi oknami.

Czym jest dla Ciebie pogodzenie się z niepełnosprawnością?

Ja najpierw walczyłem. Ćwiczyłem tak mocno, że lekarze powiedzieli, że się zajadę. Potem wykorzystywałem wózek jako formę nacisku. Uważałem, że więcej mi wolno. Później drwiłem z niepełnosprawności. Dzisiaj uważam, że dystans do wózka nie polega na śmiesznych żarcikach. Polega na tym, że ja go teraz nie widzę. Zapominam. Budzę się rano i nie widzę problemu. Widzę codzienność. Gdybym miał pisać pamiętnik z dzisiaj, zapisałbym obiad, koncert, rozmowę z tobą. Ty nie napisałbyś w pamiętniku, że masz nogi, prawda? Ja o wózku też nie.

© KRZYSZTOF STORY

W marcu 2019 r. ukazała się książka Michała Worocha „Krok po kroku". Jest dostępna na www.wheelchairtrip.com

ANNA

Dziewit-Meller:
Lenin wiecznie żywy

W związku z tym, że moja bańka informacyjna zalana została licznymi tekstami o skądinąd interesującej Alexandrii Ocasio-Cortez – lewicowej deputowanej z Nowego Jorku, która nie tylko jest najmłodszą kobietą w historii, która kiedykolwiek zasiadała w Izbie Reprezentantów, ale w dodatku jest wyszczekana, radykalna i piękna oraz bynajmniej się tego nie wstydzi, ja postanowiłam przedstawić państwu kogoś na zupełnie drugą nóżkę. Niechaj się nam równoważy!

Do dzisiejszej bohaterki zaprowadziła mnie kręta ścieżka, idąca do Ameryki zaskakująco, bo przez Serbię. Otóż może nie wszyscy wiedzą, że od 2017 r. premierką tego kraju, niebędącego wszak bastionem tolerancji ani lewicowego snu o postępie i równości, jest nominowana przez wywodzącego się z nacjonalistycznego i konserwatywnego środowiska prezydenta Vučicia niejaka Ana Brnabić. Ponieważ – mimo wszystko – żyjemy w XXI wieku, nie byłoby w tej nominacji rzecz jasna nic tak strasznie szokującego, gdyby nie fakt, że Brnabić jest lesbijką, nie tylko publicznie mówiącą o swej orientacji, ale także żyjącą w związku z kobietą, z którą razem wychowują dziecko. Bum!

Powiecie państwo – ale jak to? – jako i ja mruczałam pod nosem czytając o tej nominacji na szefową kraju, gdzie jak mówią sondaże: '68 proc. obywateli uważa, że homoseksualizm jest chorobą i wymagałby leczenia. Gdzie zatem leży ten pies pogrzebany? Jaka tkwi w tej nominacji tajemnica? – głowiłam się. Nie trzeba było na szczęście długo czekać na to, by – *excusez le mot* – wyszło szydło z worka i się okazało, że szczwany lis Aleksandar Vučić, lawirując sprytnie między odwiecznie naturalnym swym partnerem, czyli Rosją, a Zachodem, do którego jednak w Serbii się aspiruje, wykonał ruch iście makiaweliczny. Nominowana na premierkę Brnabić okazała się tęczowym listkiem figowym serbskiego konserwatyzmu, będąc w gruncie rzeczy figurantką, nad głową której rozgrywa się prawdziwa polityka. Osoba pani premier umożliwiła zaś markowanie postępu i liberalizacji tam, gdzie się tego wymaga, czyli wobec Unii Europejskiej. Uradowane z początku wyborem serbskie środowiska LGBT pod koniec 2018 r. oficjalnie zaprotestowały przeciwko udziałowi pani premier w paradzie równości. Ich zdaniem jej obecność ma przykryć „prawdziwe" oblicze Serbii. „Macie premierkę lesbijkę? To się cieszcie i spadajcie, i nie zawracajcie nam głowy, *s bogom!*". Premierka lesbijka powiada im zaś: „Wybaczcie kochani, ale są ważniejsze sprawy niż stosunek do LGBT i mniejszości, *žao mi je*".

No a skoro to mówi lesbijka... No ona chyba dobrze wie, co mówi? Prezydencie Vučić – myślę, że nasi rządzący powinni panu wysłać kosz słodkości i gratulacje. Tak się załatwia niewygodne sprawy w białych rękawiczkach!

Tymczasem serbski szlak kieruje nas do Ameryki, gdzie nie tak dawno objawiła się nowa postać i przyznam: czuję, że otwiera się przed nią wielka szansa, by stać się nie tylko Alexandrią Ocasio-Cortez prawicy, ale kto wie, może Aną Brnabić Ameryki? Pani nazywa się Candace Owens, ma 29 lat, jest Afroamerykanką z Connecticut i jest wyszczekaną, piękną i radykalną twarzą ruchu Turning Point USA – młodzieżowej alt-prawicowej organizacji zajmującej się m.in. walką z „lewicową, marksistowską propagandą" na uniwersytetach. O Candace Owens zaczęło być głośno, gdy ta pilna uczennica takich tuzów prawicy jak Ann Coulter czy Milo Yiannopoulos, do 2017 r. deklarująca się jako zwolenniczka liberałów, zaczęła głosić tezy o tym, że Donald Trump jest „wybawicielem Ameryki", rasizm jest konceptem wymyślonym przez tych, którzy z bycia tą urojoną dyskryminowaną mniejszością mają liczne korzyści, a ruch Black Lives Matter złożony jest z niedojrzałych smarkaczy, chcących po prostu odrobiny atencji. Czyż Trump mógłby sobie wymarzyć kogoś fajniejszego niż Candace?

Owens w swojej wizji świata jest zdecydowana – Antifę ocenia jako zagrożenie znacznie większe od Ku Klux Klanu, globalne ocieplenie uważa za kolejny cwany sposób na to, by wydoić Amerykę z kasy, nienawidzi feministek, a ruch #MeToo uważa za strasznie głupi. To jej świat zawdzięcza popularyzację hasztagu #blexit, będącego próbą zachęcenia Afroamerykanów do masowego opuszczania szeregów Partii Demokratycznej. (Swoją drogą – jak podał portal Daily Beast – 16 proc. wszystkich wpisów z tym hasztagiem miało powiązania z rosyjskimi trollami siejącymi dezinformację w sieci). Jest Candace członkinią Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego (NRA) i rzecz jasna wspiera prawo do posiadania broni.

Jedno z ostatnich wystąpień przyniosło jej sławę – przemawiając w grudniu 2018 r. na wiecu Turning Point USA, powiedziała, że Adolf Hitler chciał po prostu, aby Niemcy były wielkie, a to jest przecież okej. Problemem było to jej zdaniem, że zapragnął globalizacji. No tak.

Nikomu chyba nie trzeba przypominać leninowskiej koncepcji „pożytecznych idiotów". Stalin z kolei mawiał: „Fizyczna walka z Zachodem nie jest celowa, Zachód sam się unicestwi, wystarczy mu podsuwać odpowiednie środki". Co prawda Związek Radziecki upadł, nim się Zachód unicestwił, ale te bolszewickie bon moty brzmią niepokojąco aktualnie. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim zawiadamia, że pod sygn. I Ns 702/18 toczy się postępowanie z wniosku Marii Kaniewskiej o zasiedzenie nieruchomości – działki nr 78, oznaczonej w ewidencji gruntów jako tereny mieszkaniowe, położonej w Sulejówku przy ul. Orlej 10.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

Z ARCHIWUM „W”

Papież udostępnia kolejną część tajnego archiwum: dokumenty o tym, jak Watykan patrzył na III Rzeszę, Holokaust, komunizm. A także na Polskę. Czy to przełom w debacie, która od kilku dekad toczy się wokół Piusa XII?

EDWARD AUGUSTYN

Ojciec Pierre Blet miał 38 lat, gdy przyszedł tam po raz pierwszy. Francuski duchowny księdzem został już w sile wieku, po trzydziestce. Z powodu wojny musiał przerwać naukę w seminarium jezuitów w Laval, w zachodniej Francji. Wyświęcony w 1950 r., osiem lat później obronił na Sorbonie doktorat z historii Kościoła i niemal od razu dostał propozycję pracy na Uniwersytecie Gregorianum w Rzymie.

Blet badał dzieje papieskiej dyplomacji, a w tajnym archiwum watykańskim znalazł wszystko, co potrzeba. Przychodził tam codziennie przez kolejnych 50 lat. Długo należał do grona nielicznych historyków, którzy mieli do niego dostęp.

Secretum Vaticanum

Watykańskie archiwum (jego łacińska nazwa to Archivium Secretum Vaticanum) jest tajne tylko w potocznym znaczeniu. W średniowiecznej łacinie słowo *secretum* oznaczało nie tajemnicę, lecz prywatność: gromadzone akta służyły papieżowi i kurii rzymskiej w zarządzaniu Kościołem i własnym państwem.

Wprawdzie akta gromadzono już od IV w., ale najstarszy z zachowanych dziś dokumentów liczy niespełna 1200 lat: to „Liber Diurnus Romanorum Pontificium” z VIII-IX w., zapisany karolińską minuskułą formularz z papieskiej kancelarii. Rarytas, bo dokumenty sprzed pontyfikatu Innocentego III (1198–1216) w znacznej części zaginęły. Za to późniejsze – wśród nich list króla Anglii Henryka VIII z prośbą o rozwód z Katarzyną Aragońską czy rękopisy Michała Anioła – zachowały się niemal w komplecie, choć nieraz zmieniały miejsce pobytu. Archiwum przemieszczało się wraz z papieżem i jego dworem, do Lyonu, Perugii czy Paryża. Najdłużej zabawiło w Awinionie – jego przeprowadzka do Watykanu zakończyła się dopiero pod koniec XVIII w.

„Tajność” archiwum skończyła się w 1881 r., gdy Leon XIII, orędownik otwarcia Kościoła na naukę, udostępnił zbiory wszystkim zainteresowanym badaczom. „Nie mów niczego, co nie jest prawdą, nie ukrywaj niczego, co nią jest” – powtarzał. Nawet jeśli ta prawda miałaby być niewygodna dla Kościoła i papieża.

85 kilometrów regałów

Początkowo archiwum zajmowało kilka sal w Pałacu Apostolskim, potem dzieliło miejsce z Biblioteką Watykańską. W latach 60. ubiegłego wieku Paweł VI nakazał wybudować podziemne bunkry pod Dziedzińcem Pinii, tuż za wejściem do Muzeów Watykańskich. Regały z dokumentami utworzyły labirynt o łącznej długości 85 km.

Za to czytelnia, w której można przeglądać zbiory, pozostała do dziś niewielka: może pomieścić jednocześnie tylko 60 osób. Aby się wśród nich znaleźć, należy mieć ukończone studia na poziomie magisterskim (o kierunku związanym z tematyką prowadzonych badań) i przedstawić list polecający od instytucji lub osoby, dla której pracujemy. Księża muszą legitymować się tytułem licencjata (w kościelnym systemie edukacyjnym to stopień wyższy od magistra) lub doktora. Prawo wstępu otrzymuje się na trzy miesiące, po tym czasie procedurę należy powtórzyć.

Zwyczajowo zbiory udostępnia się po upływie 70 lat. Ze względów praktycznych przyjęto, jeszcze na początku XX w., że granicznymi datami będzie zmiana pontyfikatu.

W minionym tygodniu papież Franciszek zapowiedział, że za rok, z początkiem marca 2020 r., udostępnione zostaną dla badaczy zasoby archiwalne z lat 1939-58. To czas pontyfikatu Piusa XII – papieża oskarżanego o bezczynność, a co najmniej o milczenie wobec tego, co działo się po roku 1939. Zwłaszcza wobec masowego mordu na europejskich Żydach.

Teczki, zeszyty, karty

– Nie spodziewam się żadnych sensacji – mówi „Tygodnikowi” ks. prof. Francesco Castelli, wykładowca historii Kościoła i dyrektor Instytutu Nauk Religijnych we włoskim Taranto.

Prof. Castelli bada watykańskie archiwa od lat. Zajmował się historią Świętego Oficjum (spadkobiercy Inkwizycji, podczas Soboru Watykańskiego II przemianowanego na Kongregację Nauki Wiary), opublikował m.in. dwa zbiory akt ze śledztw, jakie kongregacja prowadziła przeciw ojcu Pio. Mówi, że bez zgody papieża do

ERIC GAILLARD / REUTERS / FORUM

Płyta z herbem papieskim Piusa XII na posadzce bazyliki św. Piotra, Watykan, 2013 r.

zamkniętej części archiwów nikt nie ma dostępu – ani historycy, ani biskupi, ani nawet postulatorzy procesów beatyfikacyjnych. W przypadku ojca Pio wglądu w akta odmówiono nawet prefektowi Kongregacji ds. Kanonizacyjnych. Dostał jedynie streszczenie i listę zarzutów, jakie na podstawie zgromadzonych dokumentów stawiano słynnemu stygmatykowi. Proces beatyfikacyjny długo nie mógł ruszyć – trzykrotnie go blokowano używając lakonicznej formuły „*pro nunc obstare*" („na chwilę obecną są przeszkody"), i nie podając szczegółowych wyjaśnień.

O planach udostępnienia kolejnych zasobów wiedziano od ponad dekady. W 2006 r. Benedykt XVI otworzył archiwa z czasów Piusa XI (urzędował w latach 1922-39) oraz zapowiedział udostępnienie dokumentów z czasów pontyfikatu Piusa XII.

Aby tak się stało, konieczna była ich wcześniejsza inwentaryzacja. Zajęło się tym 20 etatowych archiwistów, wspomaganych przez absolwentów watykańskiej Szkoły Paleografii, Dyplomacji i Archiwistyki, założonej – a jakże – przez Leona XIII. Optymistycznie liczono, że prace zakończą się w latach 2014-15. Gdy nie udało się dotrzymać tego terminu, mówiono o marcu 2019 r., czyli 80. rocznicy objęcia urzędu przez Piusa XII. Teraz Franciszek przesunął tę datę na marzec 2020 r.

Niemiecka agencja KNA podała, że archiwum z pontyfikatu Piusa XII liczy aż 16 mln stron (archiwiści mówią: kart). Z kolei wielkość poszczególnych zespołów, wchodzących w skład otwieranego zbioru, podawana jest w różnych jednostkach: o archiwum Sekretariatu Stanu wiemy, że liczy 151 tys. pozycji (każda składa się z kilkunastu lub kilkudziesięciu kart). Pozostałe archiwa (np. nuncjatur, Kongregacji Nauki Wiary, Kongregacji Kościołów Wschodnich, sądów, instytucji dobroczynnych) podają dane w teczkach albo zeszytach.

Lista kolejkowa?

Andrea Tornielli, odpowiedzialny za politykę informacyjną Stolicy Apostolskiej, mówi „Tygodnikowi", że materiały będą udostępniane tradycyjnie, tj. w postaci ↦

↦ papierowych oryginałów. Samych dokumentów nie skanowano. Jedynie baza danych – indeksy i zestawienia, liczące setki tysięcy rekordów – będzie dostępna w postaci cyfrowej, co ułatwi wyszukiwanie tematyczne czy według nazwisk.

Tradycyjny dostęp jest wciąż praktykowany w archiwach kościelnych. Jednak standardem obowiązującym w wielkich archiwach są dziś wersje elektroniczne (w postaci skanów): są bezpieczniejsze (dla papierów i ludzi), a przede wszystkim umożliwiają pracę nad tym samym dokumentem – np. korespondencją między Watykanem a Kancelarią III Rzeszy albo między Watykanem a Kremlem (można sądzić, że takie akta wzbudzą największe zainteresowanie) – wielu badaczom jednocześnie. Nawet wszystkim sześćdziesięciu.

Można więc sobie wyobrazić, że za rok, w marcu 2020 r., ustawi się kolejka historyków chętnych do zapoznania się z kluczowymi zasobami. Przy zastosowaniu tradycyjnej procedury będzie mógł je przeglądać tylko jeden historyk. Łatwo o zarzut, że otwartość to tylko teoria, a udostępnianie akt ma charakter uznaniowy.

„Niczego nie ukryliśmy"

W 1964 r. ojciec Pierre Blet otrzymał od Pawła VI specjalne zadanie: miał zbadać i opisać dokumenty z czasów II wojny światowej. Była to odpowiedź papieża na zarzuty stawiane Piusowi XII. Rok wcześniej w teatrze w Berlinie Wschodnim, stolicy komunistycznej NRD, wystawiono sztukę „Der Stellvertreter" („Namiestnik") Rolfa Hochhutha, oskarżającą papieża Pacellego o milczenie wobec Holokaustu i sprzyjanie III Rzeszy.

Blet, wraz z trzema innymi jezuitami, przez 16 lat badał zasoby tajnego wtedy archiwum. Efektem było 12-tomowe dzieło pokazujące II wojnę światową z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej, jej działalność charytatywną, korespondencję papieża z biskupami niemieckimi, sytuację okupowanej Polski i krajów bałtyckich. Po kolejnych 16 latach Blet wydał syntezę zebranych akt („Pius XII i druga wojna światowa w tajnych archiwach watykańskich", wyd. 1997), polemizując z zarzutami wobec Piusa XII. „Czytajcie Bleta" – mówił Jan Paweł II do dziennikarzy, gdy pytali o milczenie Watykanu w sprawie Holokaustu.

DR BARTŁOMIEJ NOSZCZAK, HISTORYK:

Miejmy nadzieję, że za przykładem Watykanu także instytucje kościelne w Polsce ułatwią dostęp do swoich dokumentów.

„O planach eksterminacji Żydów nie wiedział ani papież, ani organizacje żydowskie, ani alianci" – mówił w 1998 r. ojciec Blet miesięcznikowi „30giorni". Tłumaczył, że doniesień o komorach gazowych długo nikt nie potrafił potwierdzić. Sekretariat Stanu USA miał powiadomić Watykan, że nie tylko nie ma na to dowodów, ale wręcz przeciwnie – że bardziej wiarygodne są głosy mówiące, iż to nieprawda. Historyk opisał też dyplomatyczną ofensywę Stolicy Apostolskiej w przeddzień wojny. Postawę Piusa XII tłumaczył realizmem. Gdy ambasador Francji domagał się interwencji w sprawie Polski, papież miał odpowiedzieć: „Nie można zapominać, że w Rzeszy jest czterdzieści milionów katolików. Na co ich narazilibyśmy takim aktem Stolicy Apostolskiej?".

„Pius XII interweniował jedynie wtedy, gdy jego działanie mogło przynieść konkretne efekty" – twierdził Blet w ostatnim wywiadzie (w 2009 r., dla „Avvenire"). Nad ostre słowa papież przedkładał dyplomację i działalność charytatywną. „Wydawał osobisty majątek, by ratować Żydów. W Słowacji czy na Węgrzech dzięki jego interwencji udało się zatrzymać deportację" – wyliczał. Ze spokojem podchodził też do spodziewanego otwarcia archiwów: „Będzie tam to, co opublikowaliśmy w 12 tomach. Każdy się przekona, że niczego nie ukryliśmy".

Nie wszyscy historycy są zgodni z taką interpretacją. Milczenie papieża biorą za przejaw co najmniej kunktatorstwa. Podkreślają, że od początku wojny papież otrzymywał wystarczająco dużo wiarygodnych informacji o zbrodniach – czy to na Żydach, czy na Polakach – by zareagować bardziej stanowczo i porzucić błędną w tej sytuacji koncepcję neutralności Stolicy Apostolskiej. Michael Phayer, autor wyważonej, ale krytycznej analizy („Kościół katolicki wobec Holokaustu"), twierdzi, że był to wynik nie tylko sympatii papieża do Niemców (co nie oznaczało sympatii do Hitlera), ale też swoistego symetryzmu (Watykan uważał komunizm za równie wielkie jak nazizm zagrożenie dla świata, a zdecydowanie większe dla Kościoła).

Dla rzetelnej dyskusji i uczciwego formułowania ocen konieczna jest równość w dostępie historyków do źródeł, które tylko wtedy staną się weryfikowalne. Otwarcie kolejnej partii watykańskich archiwów taką szansę daje.

Watykan a sprawa polska

W dyskusji o Piusie XII uwaga koncentruje się dziś na Holokauście. Tymczasem osobnym tematem jest postawa papieża wobec terroru niemieckiego w okupowanej Polsce nie tylko wobec Żydów, lecz i Polaków. Po 1945 r. dominowała u nas opinia, że papież – nie zabierając w tej kwestii publicznie głosu – zawiódł.

Dr Bartłomiej Noszczak, historyk z IPN, który bada m.in. relacje państwo–Kościół w PRL (prócz książek opublikował także szereg tekstów w „Tygodniku"), rozumie ekscytację decyzją papieża Franciszka, choć nie spodziewa się żadnych rewelacji, jeśli chodzi o osobę Piusa XII. Noszczak dostrzega logikę w sekwencji zdarzeń: decyzji o otwarciu archiwów i rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego papieża Pacellego. – Zakładam, że Watykan jest pewny, iż żadnych sensacyjnych materiałów, które postawiłyby Piusa XII w złym świetle, tam nie ma – mówi „Tygodnikowi". – Zapewne wszystko zostało już wcześniej pod tym kątem sprawdzone.

Dr Noszczak zauważa natomiast ogromne znaczenie watykańskich materiałów dla historyków badających lata powojenne: – Aktywność Kościoła po 1945 r., przemeblowanie porządku świata, zmiany mentalności, ekspansja komunizmu, stosunek Stolicy Apostolskiej do działalności Kościołów lokalnych za żelazną kurtyną – w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech – to tematy, które dzięki otwarciu tajnego archiwum będzie można dokładniej zbadać i zweryfikować dotychczasowe hipotezy – mówi historyk.

RDC POLSKIE RADIO

EDWARD AUGUSTYN będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 13 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

W historii interakcji Kościoła w Polsce ze Stolicą Apostolską po 1945 r. jest jeszcze wiele spraw do dokładniejszego wyjaśnienia: papieskie pełnomocnictwa dla prymasa Hlonda, instalacja administratorów kościelnych na tzw. ziemiach odzyskanych, „porozumienie" prymasa Wyszyńskiego z komunistami, aktywność „księży patriotów" i ruchu „postępowego" laikatu, sytuacja Kościoła po aresztowaniu prymasa w 1953 r. – by wymienić pierwsze z brzegu. Informacje z watykańskich tajnych zasobów będą dla badaczy (i nie tylko) prawdziwym skarbem i na tym polu należałoby szukać rewelacji.

– Miejmy nadzieję – mówi Bartłomiej Noszczak – że przykład Watykanu zadziała i także instytucje kościelne w Polsce ułatwią badaczom dostęp do swoich dokumentów, bo – mimo pozytywnych zmian – wciąż jest z tym pewien problem.

Teczki na cały świat

„Kościół nie boi się historii – mówił w minionym tygodniu papież Franciszek, ogłaszając otwarcie zbiorów. – Z podobną, jak moich poprzedników, nadzieją powierzam to dziedzictwo badaczom".

Bo pomysł Pawła VI, aby – otwierając archiwa nawet wcześniej, niż przewiduje zwyczaj – uciąć spekulacje i dojść do prawdy, był kilkakrotnie powtarzany. W 2002 r. Jan Paweł II polecił udostępnić akta z okresu międzywojennego z nuncjatur w Monachium i Berlinie, a także materiały na temat potępienia przez Stolicę Apostolską komunizmu i nazizmu. Dwa lata później otworzył zbiór na temat więźniów wojennych z lat 1939-47: ponad 2 mln nazwisk żołnierzy i cywilów, do dziś źródło informacji dla historyków i rodzin zaginionych. Od 2000 r. dostępne jest też archiwum Soboru Watykańskiego II, choć prace nad jego indeksacją wciąż trwają.

Ks. prof. Castelli trochę się dziwi, że na zapowiadane otwarcie patrzy się tylko przez pryzmat Holokaustu. On również, podobnie jak dr Noszczak, spodziewa się w udostępnionych za rok zasobach znaleźć także mnóstwo innych, nie mniej ciekawych informacji.

Archiwum Watykanu to z pewnością największa pod względem zakresu geograficznego baza danych na świecie. Są tu materiały ze wszystkich przedstawicielstw dyplomatycznych Watykanu: relacje z wydarzeń, korespondencja nuncjuszy, akta personalne kandydatów na biskupów itd.

– Dyplomacja watykańska z tego czasu w dużej mierze opierała się na osobie kard. Domenica Tardiniego, pełniącego nieformalnie funkcję sekretarza stanu. Był on postacią o mocno wyrobionych poglądach – mówi prof. Castelli. – Ciekawie będzie poznać wszystkie reakcje Sekretariatu Stanu na ekspansję komunizmu. Dla was, Polaków, na pewno interesujące będą dokumenty dotyczące relacji państwo–Kościół w czasach stalinowskich, a z kolei dla Włochów materiały mówiące o wpływie Kościoła na treść naszej konstytucji z 1948 r. i jego rolę w powstawaniu Włoskiej Republiki.

– Historycy już dziś powinni rezerwować sobie miejsca w watykańskiej czytelni – dodaje ksiądz profesor.

Miejsce pod oknem

Ojciec Blet wpisał się po raz pierwszy do rejestru użytkowników watykańskiego archiwum 19 listopada 1956 r . Ostatnią obecność odnotował 19 października 2006 r. Biskup Sergio Pagano, prefekt archiwum, zapamiętał, że tamtego dnia Blet jak zawsze zajął swoje ulubione miejsce pod oknem. Miał już problemy z poruszaniem się, podpierał się laską, ale przyszedł samodzielnie. Po skończonej pracy poprosił prefekta o rozmowę.

Trzy miesiące wcześniej papież Benedykt otworzył archiwa z lat 1922-39 i Blet pytał szefa archiwum, czy wielu badaczy interesuje się nowo udostępnionym zbiorem. Zapytał też, czy nie znaleziono czegoś, co przeczyłoby jego ustaleniom na temat następnego pontyfikatu.

„W jego głosie wyczułem lęk – wspominał bp Pagano. – Biorąc pod uwagę rozległość prowadzonych przez o. Bleta i jego współbraci badań, to całkiem zrozumiałe. Nie bał się o to, że ktoś zarzuci mu nierzetelność. To był lęk, że znajdzie się przypadkowo jakaś kartka, jakiś nieznany, nawet drugorzędny dokument, który rzuci cień na osobę Piusa XII. Całe życie go bronił... A gdy odprowadzałem go do drzwi, powiedział jeszcze: »Bo ja, proszę księdza, nie dam już rady przyjść do archiwum«".

Zmarł trzy lata później, w listopadzie 2009 r., w Szpitalu św. Ducha niedaleko Watykanu, w wieku 91 lat.

©℗ EDWARD AUGUSTYN
Współpraca WOJCIECH PIĘCIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Odruchy plemienne

KS. JACEK PRUSAK SJ

Badania pokazują, że przypominanie ludziom o ich religijnej tożsamości paradoksalnie wzmaga ksenofobię. Jaki pomysł na kryzys znajdziemy w Ewangelii?

Młodzież Wszechpolska na Jasnej Górze, kwiecień 2017 r.

W czasach kryzysu i reformy Kościoła nie bez znaczenia jest to, jak rozumiemy i znosimy napięcia jako wspólnota uczniów Jezusa. Oczekiwalibyśmy, że chrześcijanie, którym będzie się przypominać o ich religijnej tożsamości, będą się kierować przykazaniem miłości bliźniego. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona i mniej optymistyczna.

Badania pokazują, że zwykłe przypominanie ludziom o ich chrześcijańskiej tożsamości poprzez odnoszenie ich do takich pojęć jak „Biblia", „kazanie", „niebo" czy „Mesjasz" wzmacnia u nich zachowania prospołeczne, ale tylko w stosunku do członków własnej grupy religijnej. Stają się wtedy bardziej uczynni, wspaniałomyślni, gotowi do współpracy i mniej oceniający.

Szybciej od chrztu

Druga strona tego medalu ma jednak swój cień. Takie religijne bodźcowanie zwiększa bowiem agresję w stosunku do tych, którzy do tych grup (Kościołów czy wspólnot) nie należą – i gotowość do zastosowania wobec nich przemocy. Taka postawa sprawia, że mentalność religijna staje się mentalnością plemienną, a nie kościelną, bo im bardziej przypominamy chrześcijanom o ich tożsamości, tym częściej zaczynają obdarzać miłością „swoich" i nienawidzić tych, których traktują jako „innych", a więc obcych i złych – nawet jeśli nic ich między sobą nie różni kulturowo i nominalnie przynależą do tego samego Kościoła.

Wyniki tych badań mogą nas szokować i gorszyć, ale są spójne z procesami grupowymi obserwowanymi w innych kontekstach. Ludzie w naturalny sposób tworzą kategorie grupowe pozwalające im na odróżnianie siebie (my) od innych (oni). Taki podział jest konieczny dla utworzenia grupy, ponieważ wzmacnia jej tożsamość i spójność, ale jeśli staje się sposobem budowania Kościoła, niesie ze sobą znacznie więcej problemów, niż sugeruje rozwiązań. Prosty podział na my-oni w przypadku bycia członkiem Kościoła sprowadza się wtedy do bycia „jednym z nas", a ponieważ polski Kościół jest w zdecydowanej mierze homogeniczny kulturowo, automatycznie zaczynamy dzielić katolików na „dobrych" i „złych", „prawdziwych" i „fałszywych" Polaków (obywateli, patriotów), tworząc z Kościoła „swoją rodzinę", a nie ciało Chrystusa, „polską wiarę" przeciwstawiamy zaś „zepsutemu światu", obojętnie, czy zaczyna się za naszym progiem, czy granicą naszego kraju. Plemienność jest w naszym DNA, zanim chrzest może cokolwiek z tym zrobić.

Odpowiedź Jezusa

Nie ma wspólnoty bez napięć i reformy bez kryzysów. Są bolesne i zostawiają po sobie ślady, ale jedną z rzeczy, do których Jezus zaprasza nas jako swoich naśladowców, jest „gładzenie grzechów świata", obecnych także w Kościele. Ewangelie pokazują nam, że Jezus nie czynił tego za pomocą jakiejś magicznej siły, lecz biorąc na siebie, niosąc w sobie, oczyszczając i przeobrażając napięcia. Brał więc na siebie zgorzknienie, gniew, zazdrość, nienawiść, oszczerstwa i inne formy negatywizmu, obecne w ludziach i wspólnotach, i nie odpłacał tym samym. Nie przekazywał ich dalej, tylko przyjmował i przemieniał. Aby to jednak osiągnąć, musiał „pocić się krwią".

Znoszenie napięć w Kościele to nie wolontariat ani powołanie do masochizmu, nie uda się jednak tego zrobić bez zaangażowania najpierw w osobiste nawrócenie. Znoszenie napięć to bowiem wypełnianie nimi siebie, a jak pokazują doświadczenia osób „rozczarowanych Kościołem", te napięcia mogą być nie do zniesienia, co nie znaczy, że nie są do udźwignięcia.

Ponieważ nie mamy „siły Boga" i nie jesteśmy ze stali, musimy wiedzieć, co zrobić z własnymi napięciami, próbując brać na siebie napięcia innych, jak je znosić, nie popadając w urazę i zgorzknienie; jak nosić krzyże innych, nie wystawiając im za to rachunku – choćby najbardziej dyskretnie.

W skórze ucznia

Współczesny znawca duchowości chrześcijańskiej i popularny pisarz religijny o. Ronald Rolheiser OMI, szukając odpowiedzi na te dylematy („Zmagania z Bogiem. Wiara w czasach niepokoju", 2019), wskazuje na kilka „prostych" reguł. Pierwsza podkreśla, że branie na siebie i noszenie w sobie napięć nie oznacza, że mamy znosić nadużycia, wykorzystywanie i nie przeciwstawiać się patologicznym dysfunkcjom. Druga przypomina, że musimy znaleźć zdrowe ujście dla naszych

TOMASZ KUDAŁA / REPORTER

własnych napięć. Nigdy jednak nie wolno nam wyładowywać ich na tych samych ludziach, których napięcia staramy się brać na siebie. Trzecia, podążając za wcześniejszymi, dopowiada, że żeby poradzić sobie z rosnącą frustracją, kumulującą się w nas z powodu napięć innych, powinniśmy chwycić się kogoś lub czegoś poza nami i poza sytuacją, w której jesteśmy. Mówiąc prościej – znaleźć sobie „odskocznię", ale nie uciec „z pola bitwy".

Jeśli odpowiedzią na napięcia i grzech w Kościele będzie postawa „wewnętrznej migracji" lub „wypisanie się" z Kościoła poprzez przystąpienie do „moralnej większości", to czy nam się to podoba, czy nie, kierujemy się nadal myśleniem plemiennym, tylko pod nowymi sztandarami czy hasłem. Jak podkreśla teolog Miroslav Volf, pokochanie, zrozumienie i przyjęcie „złych chrześcijan", a więc takich, którzy do nas nie pasują, jest jedyną właściwą odpowiedzią ucznia Jezusa. „Kiedy Bóg decyduje się na przyjęcie swojego wroga, rezultatem jest krzyż... Będąc przygarniętym przez Boga musimy stworzyć w sobie przestrzeń dla innych i ich do niej zaprosić – nawet jeśli to są nasi wrogowie. Bierzemy w tym udział, kiedy sprawujemy Eucharystię. Otrzymując przelaną za nas krew i wydane za nas ciało Chrystusa, w pewnym sensie dostajemy w komunii wszystkich tych, których Chrystus przyjął przez swoje cierpienie".

Jak pokazują jednak reakcje na rozczarowanie Kościołem, bardzo często sprawowanie Eucharystii sprowadzamy do tego, jakie będzie kazanie, a nie zważamy na to, że to jedyny „okrągły stół", przy którym możemy sobie uświadomić, iż skoro „my" to Ciało Chrystusa, to nasze plemienne podziały brane za ustanowione i sankcjonowane przez Niego są jedynie naszymi uzurpacjami. Różnica miedzy nami a Nim jest znacznie większa niż różnice, jakie dostrzegamy bądź tworzymy między sobą, a jednak odpowiedzią Jezusa na nasze plemienne postawy jest Kościół jako „jedno ciało", a nie „plemienne kościoły".

Gdybyśmy przeżywali Eucharystię nie jako dodatek do naszej religijności albo urozmaicenie tygodnia czy „usługę" oferowaną przez instytucję, tylko centrum naszej wiary, to zarówno napięcia i rany, jak i nasze zróżnicowanie jako uczniów Jezusa przeżywalibyśmy jako bogactwo Kościoła. Nie oznacza to bycia ślepym na zło, grzech i ludzką słabość ani zachowania „stoickiego spokoju". Badania psychologów społecznych pokazują jednak, że zróżnicowane grupy to lepsze grupy – są bardziej kreatywne i efektywne niż grupy homogeniczne, szybciej i głębiej uczą się na swoich błędach i ograniczeniach, bo posiadają również więcej zasobów.

Odpowiedź Ewangelii

Problem jednak w tym, że za naszymi kościelnymi wyborami stoi częściej myślenie grupowe niż myślenie Ewangelią. Bolesnym przykładem tego jest problem pedofilii w Kościele. To nie tylko sprawcy przestępstw seksualnych zranili cały Kościół, zranili Go również ci, którzy ich chronili myśląc, że chronią Kościół. Znosić ich ignorancję w tej kwestii nie jest łatwo, kiedy wykorzystują władzę powierzonego im w Kościele urzędu jako okazję do wybielania siebie czy uciekania przed odpowiedzialnością.

Musimy jednak pamiętać, że im większa władza, tym większa pokusa, żeby przestać myśleć Ewangelią. Historia Kościoła pokazuje, że wśród kanonizowanych świętych znajdziemy niewielu „purpuratów". Wprowadzenie jednak podziału na „my" (świeccy, księża, osoby zakonne) *versus* „oni" (purpuraci w różnych szatkach i tytułach) po to, aby „ich" teraz upokorzyć i samemu poczuć się lepiej, to kolejna wersja myślenia plemiennego. „Kościół w układzie dwubiegunowym", jak to trafnie ujął ks. Grzegorz Strzelczyk, „gdzie po jednej stronie są duchowni, pośrodku zieje pustka, a po drugiej stronie, w oddali, widać świeckich" („Kościół. Niełatwa miłość", 2019), za pontyfikatu papieża Franciszka przeżywa swoje konwulsje. Niektórzy już z tego powodu wpadli w eklezjalną histerię, obnażony został bowiem klerykalizm, jaki rozkładał Kościół od środka. Tylko wspólnota eucharystyczna ma obietnicę wyjścia z tego kryzysu, i tylko ona jest dla niego remedium.

Aby tak się stało, należy pamiętać, że podział na prezbitera i wiernych nie oznacza, że ksiądz za ołtarzem jest Bogiem, a świecki tylko przychodzi do kościoła i pozostaje „konsumentem". Powtórzę za ks. Strzelczykiem: „razem jesteśmy Kościołem. Tylko razem" – i dorzucę, że każda inna opcja to herezja. „W końcu wszystko będzie dobrze. Jeśli nie jest dobrze, to znaczy, że to jeszcze nie koniec". To *adagium* Oscara Wilde'a nie tylko wyraża chrześcijańską nadzieję, ale zachęca nas do tego, żeby w międzyczasie nie ulec zniechęceniu, kiedy będziemy się „pocić", a nawet „krwawić".

„Prosta" rada na koniec jest taka, żeby przychodzić na Eucharystię także wtedy, a w niektórych sytuacjach – zwłaszcza wtedy – kiedy nie ma kazania, i podziękować Bogu za to, że ksiądz nie wyświadcza nam wątpliwej przysługi, próbując zaprezentować siebie. Trzeba jednak najpierw nauczyć się słuchać Słowa, a nie utożsamiać Go ze słowami księdza, aby poradzić sobie z napięciem, kiedy on swoje słowa traktuje tak, jakby do wiernych przemawiał sam Chrystus. Narcyzm istnieje w różnych odsłonach, ale Eucharystii uczymy się przez całe życie – nawet jeśli wciąż powtarzamy te same słowa i gesty. Eucharystia ma nas bowiem uczyć, jak nie wykluczać, a my jej na to z trudem pozwalamy, bo takie jest nasze ludzkie DNA po grzechu. ©℗

TP

Kluby „TP" zapraszają

KOSZALIN
■ **czwartek, 14 marca, godz. 18.00**
Spotkanie „Nowa szata koszalińskiej katedry". Gościem będzie Krystyna Bastowska, konserwator zabytków. Miejsce: koszalińska katedra (ul. Bolesława Chrobrego 7).

LIPSK
■ **czwartek, 21 marca, godz. 16.30**
Spotkanie połączone ze zwiedzaniem muzeum Jana Sebastiana Bacha. Miejsce: Muzeum J.S. Bacha (Thomaskirchhof 15/16).

POZNAŃ
■ **23-26 marca**
10-lecie Klubu.
Więcej informacji o spotkaniach na: www.klubtygodnika.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wygumkować, wyciąć, zakazać

PIOTR LITKA

Po śmierci Popiełuszki władza usuwała wszelkie informacje na jego temat. Dziś teczka z ingerencjami cenzorskimi to wymowne świadectwo rodzącego się kultu męczennika.

Usuwano nie tylko teksty dotyczące śmierci i pogrzebu warszawskiego kapłana, ale też np. ostatnie słowa rozważań różańcowych poprowadzonych przez Popiełuszkę na kilka godzin przed jego porwaniem 19 października 1984 r. w kościele w Bydgoszczy.

Do jednej z pierwszych ingerencji doszło w tekście przygotowywanym do publikacji na łamach „Tygodnika Powszechnego". Był to apel Seweryna Jaworskiego z 21 października 1984 r., w którym informowano o całodobowym czuwaniu modlitewnym w intencji uprowadzonego kapłana w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu, gdzie Popiełuszko pracował od maja 1980 r. „Udział w czuwaniach, modlitwie i mszy św. – pisano w tekście wyciętym przez cenzora – jest wyrazem nie tylko troski o los naszego duszpasterza, ale również sprzeciwem wobec terroru i gwałtu – obcych chrześcijaństwu i nauczaniu ks. Jerzego".

Dochodziło też do sytuacji absurdalnych. Ingerencja cenzorska nie ominęła popularnego wówczas radiowego serialu „W Jezioranach" nadawanego do dziś w Programie 1 Polskiego Radia. Z listy dialogowej odcinka, który miał być wyemitowany już po pogrzebie księdza, wycięto fragment rozmowy bohaterów na temat zdjęć księdza Popiełuszki, które dla jednej z bohaterek miały być „najświętszą pamiątką...".

Od samego początku tej ofensywy w ingerencjach cenzorskich starano się przede wszystkim pomijać aspekt męczeństwa księdza. Sam generał Wojciech Jaruzelski (ówczesny premier) podczas tajnej narady w listopadzie 1984 r. powiedział o księdzu Popiełuszce, że „on jest męczennikiem nie za wiarę, ale za politykę, za sianie nienawiści".

Początki kultu

Jednym z pierwszych kapłanów, którzy publicznie mówili o potrzebie beatyfikacji Popiełuszki, był ks. Stanisław Suchowolec – wówczas wikary w rodzinnej parafii ks. Jerzego, Suchowoli. W dniu pogrzebu Popiełuszki – w sobotę 3 listopada 1984 r. – ks. Suchowolec złożył w Warszawie oświadczenie przed kamerą Niezależnej Telewizji Mistrzejowice (NTV): „Rodzice księdza Jerzego – mówił – mimo rozpaczy, są bardzo dumni ze swojego syna. Mama powiedziała, że ona to rozumie, że trzeba, żeby syn oddał swoje życie, aby w Polsce było dobrze. Ja z kolei ze swojej strony obiecuję, że dołożę wszelkich starań, żeby zapewnić im opiekę. Bo potrzeba im opieki kogoś, kto tak jak ich syn nosił sutannę, tak jak ich syn chciał po prostu dobrze".

Dwa dni po pogrzebie ks. Popiełuszki do prymasa Józefa Glempa trafiła podpisana przez 178 osób (pracowników jednego z warszawskich szpitali) oficjalna prośba o to, by Kościół rozpoczął starania o beatyfikację męczennika. 19 listopada 1984 r. podobną prośbę do prymasa skierowali kapłani archidiecezji warszawskiej wraz z biskupem pomocniczym Zbigniewem Kraszewskim. Blisko pięciuset studentów KUL wysłało w tym samym czasie do prymasa petycję w sprawie beatyfikacji zamordowanego kapłana. Do warszawskiej kurii oraz do stołecznej parafii św. Stanisława Kostki pisali coraz częściej ludzie z całej Polski, nawróceni i uzdrowieni za przyczyną ks. Jerzego.

Cenzorskie nożyce

Pogrzeb kapłana-męczennika nie zmienił postawy komunistycznych mediów i cenzorów. Dalej konsekwentnie wycinano z planowanych tekstów prasowych wszelkie informacje dotyczące śmierci i kultu Popiełuszki. Usuwano teksty homilii (obok publikujemy zatrzymane wówczas kazanie ks. Tischnera), ale też wspomnień. Jednym z nich był tekst ks. Adama Bonieckiego, który miał się ukazać w 46. numerze „Niedzieli". „Nie był politykiem – wspominał – był księdzem. Msze św. były zgromadzeniami modlitewnymi, nigdy manifestacją polityczną. Mogą potwierdzić to wszyscy, którzy w tych mszach św. uczestniczyli. Uczył ludzi przebaczenia, miłości, ale także odwagi w dawaniu świadectwa prawdzie. Wiedział, że za to świadectwo trzeba płacić wysoką cenę".

Papież u grobu męczennika

Przełomem w lokalnym kulcie księdza (który poprzedza decyzję o rozpoczęciu procesu beatyfikacyjnego) stała się wizyta Jana Pawła II przy jego grobie. Doszło do niej podczas trzeciej pielgrzymki do ojczyzny: 14 czerwca 1987 r. (w niedzielę) papież za zgodą komunistycznych władz odwiedził parafię św. Stanisława Kostki i modlił się przy grobie ks. Popiełuszki. W programie wizyta ta miała charakter nieoficjalny i zaplanowano ją na kwadrans. Ostatecznie papież był na Żoliborzu prawie 40 minut. Nie wygłosił żadnego przemówienia. Modlił się w milczeniu, ucałował też grób męczennika. Później spotkał się m.in. z rodzicami zamordowanego kapłana. Papież powiedział wówczas do Marianny Popiełuszko: „Matko, dałaś nam wielkiego syna". I usłyszał: „Ojcze Święty, nie ja dałam, ale Bóg dał przeze mnie światu!".

Dziesięć lat później otwarto etap diecezjalny procesu beatyfikacyjnego ks. Jerzego Popiełuszki. W 2010 r. został błogosławionym. Obecnie trwa etap rzymski jego procesu kanonizacyjnego. ©

Podczas pisania tekstu korzystałem z materiałów archiwalnych przechowywanych w Archiwum Akt Nowych i książki M. Kindziuk „Popiełuszko. Biografia", Kraków 2018.

Obok publikujemy kazanie ks. Józefa Tischnera, które zostało wygłoszone 5 listopada 1984 r. w Nowym Targu podczas Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej na Podhalu. Cenzura usunęła je z 47. numeru „Tygodnika" w listopadzie 1984 r. Jego kopię odnalazłem w Archiwum Akt Nowych w dokumentach Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, sygn. 3842, k. 59-60.

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

Ks. Jerzy Popiełuszko obok Barbary Sadowskiej na pogrzebie jej syna, Grzegorza Przemyka, skatowanego przez milicję, Powązki, 19 maja 1983 r.

Niepublikowana homilia poświęcona śmierci ks. Popiełuszki

Mamy w żywej pamięci wydarzenia minionych dni – męczeńską śmierć księdza Jerzego i jego wielki, wstrząsający sumieniami pogrzeb. Cisną się nam dziś na usta dwa pytania: co się właściwie stało i co z tego, co się stało, wynika dla nas, dla naszego życia i naszej pracy?

Zanim jednak spróbuję dać odpowiedź na te pytania, chcę na jedno zwrócić uwagę. Nie wiem, czy wy to tak odczuwaliście, ale ja czułem tak jakoś: dlaczego właściwie on, a nie ja? Przecież tam, gdzie zasadą i źródłem czynu jest bezprawie, każdy może być zabity. Mógł być zabity każdy ksiądz tutejszej parafii, mogłeś być zabity ty – ty, który stoisz w tym kościele, i ty, który znajdujesz się poza kościołem. Sytuacja bezprawia zagraża wszystkim. Dziś on, jutro ty, twój brat, a nawet – powiedzmy to jasno – twój towarzysz. Wszyscy są podejrzani, wszyscy mogą być obwinieni, wszyscy mogą być zabici. A więc, dlaczego on, a nie ty, nie ja? Jestem głęboko przekonany, że nie ma w tej chwili w tym kościele człowieka, który by nie czuł, że takie zagrożenie wokół nas wzbiera, i który by sobie nie mógł takiego pytania postawić. Ile razy zdarzy się wśród nas przypadek bezprawia, tyle razy ciśnie się na usta to pytanie: dlaczego właściwie on, a nie ja? Bezprawie dopuszcza wszystko przeciw wszystkim. Każdy jest wtedy winny. Jeśli tak, to – proszę bardzo – utopcie w Wiśle cały naród.

Po tej refleksji postawmy kluczowe pytanie: co się właściwie stało? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba sięgnąć do języka religii, ponieważ zwykły język ludzki tu nie wystarczy. Religia zna słowo innym językom nieznane – słowo: c u d. Tak, istotnie, stał się cud. Bo cóż to jest cud? Prawdziwy cud polega na tym, że na zło, które zostało zamierzone, nie powstaje zło, ale wielkie niezamierzone dobro. Oto nagle, gdy zniszczenie ma dojść do szczytu i przemienić się w katastrofę, dzieje się coś niezwykłego i zamiast katastrofy mamy coś wręcz przeciwnego – narodziny, tworzenie. Krew męczenników staje się posiewem wyznawców. I tak się właśnie stało. Przebudził się naród. Stał się naród. Znów czystym dźwiękiem zagrało nad naszymi uszami słowo: Ojczyzna. Niby wszystko to już kiedyś było, a przecież jakby nie było. Stało się to, co naprawdę jest. Polska – wielki zbiorowy obowiązek. I to właśnie jest ten cud.

Wrzucono do Wisły księdza i Polaka. Ale Wisła jest jak matka. Wisła zwróciła nam męczennika, urodziła męczennika. A on zasiał w naszych duszach nowe ziarno Ojczyzny.

Teraz jeszcze ostatnie pytanie: co z tego wszystkiego wynika dla nas, dla naszego życia i dla naszej pracy? Stało się męczeństwo. Skoro Bóg je dopuścił, widać, było dla nas potrzebne. Bośmy może spali, może się ociągali, może stracili ducha. Trzeba nam było twardego budzenia ze snu. Zarazem jednak trzeba nam było wskazówki: tak pracować, by nie było już potrzeba nowych męczeństw.

Ks. Józef Tischner

GETTY IMAGES

Marco Basaiti, Powołanie synów Zebedeusza, 1510 r. (fragment)

Ryzyko nowego

MONIKA I MARCIN GAJDOWIE

Balansujemy pomiędzy poczuciem bezpieczeństwa dawanym poprzez to, co znane, a wezwaniem Ducha, który wybija nas ze stagnacji.

Drogi Czytelniku, przez najbliższe pięć tygodni Wielkiego Postu będziemy rozważać fragment Ewangelii św. Jana. Po każdej części zaproponujemy praktykę – działanie, które, mamy nadzieję, pomoże Ci pogłębić spotkanie z tym pięknym tekstem. Pogrubioną czcionką zaznaczamy zdanie, nad którym dzisiaj chcemy się skupić.

„DWAJ UCZNIOWIE (...) POSZLI ZA JEZUSEM. Jezus zaś odwróciwszy się i ujrzawszy, że oni idą za Nim, rzekł do nich: »Czego szukacie?«. Oni powiedzieli do Niego: »Rabbi! – to znaczy: Nauczycielu – gdzie mieszkasz?«. Odpowiedział im: »Chodźcie, a zobaczycie«. Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego" (J 1, 37-39).

Musiało być coś niezwykłego w tym spotkaniu... Dotychczasowy mistrz, św. Jan Chrzciciel, na widok przechodzącego Jezusa mówi do swych uczniów: „Oto Baranek Boży" i dwóch mężczyzn, bez chwili wahania, decyduje się wyruszyć w drogę za rabbim z Nazaretu. Jakie pragnienie musiało nimi powodować? Jaki musiał być Jezus, którego ujrzeli? Co ich pociągnęło ku Niemu? Jakie mieli oczekiwania?

Sława Jana Chrzciciela, pustelnika i ascety, sięgała daleko poza granice Judei. Jan, już za życia uznawany za proroka, zgromadził wokół siebie uczniów. Dwaj z nich, ukazani w Ewangelii, byli niewątpliwie zaangażowani religijnie i prowadzili aktywne życie duchowe. I być może właśnie to pozwoliło im ujrzeć piękno Jezusa i opuścić dotychczasowego nauczyciela. Pozostawili utarte ścieżki swojej religijności i wyruszyli w nieznane. Choć św. Jan, ich rabbi, był postacią nietuzinkową, zdecydowali się jednak dokonać zmiany.

Gest Jana świadczy o jego wielkości. Prawdziwy mistrz duchowy nie wiąże uczniów ze sobą i nie chce zostać niczyim guru. Nie karmi swojego ego ludzkim uznaniem i szacunkiem. Nie skupia uwagi uczniów na samym sobie, ani nie narzuca nikomu, co kto ma czynić. Raczej wskazuje poza siebie, a gdy potrzeba, zachęca do zmian w życiu duchowym. Dobry nauczyciel wie, że młode wino wlewa się do nowych bukłaków.

Ludzka natura sprawia, że wolimy być wierni raczej bukłakowi znanej struktury niż winu Ducha Świętego. Jak łatwo jest pomylić przedmiot naszej wierności! Możemy skupić się na własnym przyzwyczajeniu, formie czy strukturze, zapominając o tym, czemu mają służyć. To sprawia czasem, że nasze życie duchowe zastyga. Balansujemy pomiędzy poczuciem bezpieczeństwa dawanym poprzez to, co znane, a wezwaniem Ducha, który wybija nas ze stagnacji ku czemuś nowemu.

Gdyby dwaj uczniowie byli bardziej wierni temu, co znajome, nie rozwinęliby się. Czasem trzeba pozostawić utarte ścieżki, nawet jeśli dotychczas dobrze nam służyły i się sprawdzały, by wyruszyć za tajemniczym wezwaniem. Jeśli nie otworzymy się na zmiany w życiu duchowym i chwycimy się kurczowo tego, co już znamy, będziemy najwyżej porządni, podczas gdy mamy szansę stać się świętymi.

Rozwój duchowy nie odbywa się samoczynnie, bez naszego zaangażowania. Sam fakt bycia ochrzczonym nie gwarantuje życia duchowego. Można być działaczem chrześcijańskim i nie rozwijać się duchowo. Każda reguła modlitewna może skostnieć i się zrytualizować. To, co się dawniej sprawdzało, obecnie może stracić nośność, a nawet zatrzymywać w rozwoju. Życie duchowe nie znosi stagnacji, nieustannie zaprasza, byśmy szli wyżej, szerzej, dalej i głębiej. Na każdym etapie rozwoju możemy zrobić kolejny krok. Trzeba tylko usłyszeć wezwanie: oto Baranek Boży. I mieć gotowość zaryzykować nowe.

Dzisiaj chcemy Cię zachęcić, Czytelniku, do zrobienia sobie pewnego skrutynium. Zachęcamy do odpowiedzi na pytania w formie pisemnej – doświadczenie pokazuje, że gdy piszemy, odpowiadamy konkretniej, a to, co pozostanie na kartce, wyraźniej do nas przemawia. Zatem, jeśli zechcesz, pobądź chwilę z cytowanym wyżej fragmentem Ewangelii. A następnie:

1.) Wypisz podejmowane obecnie przez Ciebie praktyki religijne, np. zwyczaje modlitewne, posty, rekolekcje, środowisko religijne (wspólnota, parafia, kierownik duchowy, spowiednik), twoje zaangażowania itp. Czy wnoszą one rozwój i dynamizm w twoje życie duchowe? Czym to się konkretnie przejawia?

2.) W świetle powyższych odpowiedzi zastanów się, czy nie jesteś wezwany do podjęcia jakichś zmian lub nowych kierunków? Zapisz swoje intuicje. ©

MONIKA I DIAKON MARCIN GAJDOWIE
są małżonkami od 28 lat, rodzicami czworga dzieci, terapeutami i rekolekcjonistami.

SZYMON

Hołownia:
Ziemia się trzęsie

Nasi biskupi jeszcze nie zrozumieli, że tu nie chodzi o liczbę pedofilskich zbrodni, bo nikt nie ma podstaw sądzić, że dopuszczała się ich większość albo nawet znaczna część duchownych. Nie pojęli istoty – że akurat w tej materii nie można powiedzieć: „to jednostkowe przypadki". Bo tu każdy przypadek krzyczy tak głośno, że wystarczy to w zupełności, by poruszyć niebo, rozwalić Kościół, zabić wiarę w rzeszach ludzi.

Chowanie się za komunikatami rzeczników, pełnymi kościelnej nowomowy oświadczeniami, to nieustanne „wyrażanie troski" i składanie wzniosłych deklaracji, że „stanowczo potępiamy", że „spotkaliśmy się i wysłuchaliśmy z uwagą", za którymi nie idzie konkret (bo znów jakaś katolicka kanapa zarzuci nam, że klękamy przed atakiem liberalnych wrogów)...

Boże mój, jak bardzo brakuje w tym kraju kościelnego przywódcy, który bez chowanego z tyłu głowy lęku o to, jak zareagują na to jego podwładni z korporacji, wyszedłby po prostu i – jak człowiek do ludzi – powiedział: „Słuchajcie, to naprawdę jest przerażające. To się nie mieści w głowie. Staniemy na głowie, żeby to się nie powtórzyło, będziemy to wypalać żywym ogniem, bo doskonale wiemy, że jeśli tego nie zrobimy, to nie będziemy mieli moralnego prawa oczekiwać od was, że przyjdziecie jutro z dziećmi do kościoła. Że nie wyjdziecie, gdy będziemy wam mówić z ambon o prawdzie, o odwadze, o czystości. Nie mamy nic do ukrycia, to nie jest w końcu nasz prywatny folwark, chcemy położyć wszystkie karty na stole. Doprosiliśmy świeckich: z Kościoła i spoza Kościoła, specjalistów od identyfikowania i karania sprawców, od wspierania ofiar, bo nie znamy się na wszystkim, a to musi być zrobione dobrze. Działamy. Pomóżcie nam, wspólnie oczyśćmy to bagno". Jaki cud musi się stać, by ktoś z „czerwonych beretów" przemówił do nas w ten sposób?

Nader trafną analizę opublikował ostatnio na łamach „Rzeczpospolitej" Michał Szułdrzyński, wskazując, jak nasz instytucjonalny Kościół wciąż nie rozumie, dlaczego nie może być tak, jak było kiedyś. Wciąż nie mogąc uwierzyć, że tak jak kiedyś nigdy już, niestety, nie będzie. 5 milionów Polaków (i w zdecydowanej większości katolików) z radością idzie na antyklerykalny „Kler". To właśnie teraz, za władzy PiS pozującego (gdy mu wygodnie) na polityczną bojówkę Episkopatu, która wdroży (po dobroci lub siłą) ludowi „chrześcijańskie wartości", ów lud wypina się na nie jak nigdy dotąd: liczba zwolenników aborcji, legalizacji związków homoseksualnych, radykalnego rozdziału Kościoła od państwa jest istotnie wyższa niż za rządów PO. I rośnie.

Część biskupów, na co zwraca uwagę Szułdrzyński, a co potwierdzają moje prywatne obserwacje, zorientowała się już, że na tym dealu z władzą można tylko przegrać. Wciąż nie słychać jednak ich wyraźnego głosu, bo – jak to trafnie wyraził w prywatnej rozmowie ze znajomym księdzem jeden z nich – godzą się na bycie zakładnikami fałszywie pojętej jedności.

Urządzają nam więc historyczne pogadanki o żołnierzach wyklętych oraz odwiedzają z zaplanowanymi wizytami maryjne sanktuaria, podczas gdy tysiące katolickich rodziców coraz poważniej zastanawiają się nad tym, czy jutro posłać na ministrancką zbiórkę lub wycieczkę z księdzem syna albo córkę. Nie dlatego, że sądzą, iż każdy ksiądz to zboczeniec. Ale dlatego, że widzą, iż jeśli zdarzy się ten statystycznie mało prawdopodobny, ale jednak nie niemożliwy wypadek, przełożeni przestępcy uznają za bardziej pilne dzielenie się ze społeczeństwem refleksją na temat karty LGBT+ albo katastrofy smoleńskiej, zamiast rzucić wszystko w kąt i ratować przed zbrodniarzem ich dziecko.

Nie da się ufać komuś, kogo nie stać na odpowiedzialność. A to o nią przecież tu chodzi. Nie tylko o odpowiedzialność za czyny sprawców, którzy służbowo podlegali (oraz są naszymi – chcemy czy nie – braćmi), ale przede wszystkim za tych braci, których tamci upodlili, za ofiary. To z jednej strony dowód kryzysu, w jakim znalazło się kościelne przywództwo, z drugiej – źródło nadziei (płynącej z odkrywania, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za wspólnotę), że to świeccy uczą dziś swoich pasterzy, co to znaczy otoczyć opieką człowieka skrzywdzonego w Kościele. W ubiegłym tygodniu warszawski KIK wraz z Laboratorium „Więzi" i Fundacją Pomocy Psychologicznej „Pracownia Dialogu" uruchomili telefon zaufania dla ofiar przestępstw seksualnych dokonanych w Kościele. Dyżurujący przy telefonie (800 280 900) specjaliści wysłuchają, pokierują, wskażą dalsze kroki. Przede wszystkim zareagują tak, jak zareagować powinien każdy z nas słysząc, że w naszym domu okradziono człowieka: natychmiast stając po jego stronie, w jego obronie. Zamiast niuansować albo – to naprawdę hańbiące dla zgromadzenia chrystusowców – składać kasacje od prawomocnych wyroków nakazujących wypłacenie odszkodowania i dożywotniej renty dla kobiety gwałconej w dzieciństwie przez księdza pedofila.

Koledzy z KIK-u, „Więzi" i Fundacji zrobili więc robotę, którą już parę lat temu powinien zrobić Episkopat. Wydać na nią pieniądze. Rozbudować do poziomu ośrodka (ośrodków) wsparcia. To dobrze, że w kościołach urządzane są (odgórnie zadane) nabożeństwa wynagradzające za te straszne grzechy. Nikt przytomny nie będzie chyba jednak twierdził, że wystarczy modlić się za tych, którym trzeba realnie pomóc odzyskać własne życie.

Instytucje naszego Kościoła tkwią mentalnie wciąż mniej więcej w latach 60. XX w. Butwieją, a „kryzys pedofilski" będzie pierwszym trzęsieniem ziemi, które w radykalny sposób przetestuje ich konstrukcję. Przetrwa wyłącznie to, co będzie ewangelicznym radykalizmem, wszystko, co jest władzą, socjotechniką, narodową czy historyczną ideologią, korporacyjnym strachem – spali się po drodze jak słoma. Czy ktoś ma wątpliwości, co zrobiłby Chrystus, gdyby doniesiono mu, że któryś z jego uczniów gwałci jakieś dziecko? Wydawałby oświadczenia *via* rzecznik prasowy? Przez swojego prawnika pouczał o domniemaniu niewinności? Zalecałby nabożeństwo pokutne? Po co komu Kościół, który nie ma odwagi radykalnie stanąć po stronie najsłabszych? Kto mu uwierzy?

Skończę tym, czym zacząłem. 98 proc. księży (jak przypuszczam) nigdy nie popełniło takiej zbrodni. Ale od reakcji na czyny tych dwu procent zależy dziś dużo więcej, niż wielu z tych 98 procent się wydaje. Naprawdę chcecie, macie czas i siłę na to, by szukać bluźnierstw u artystów i tropić ideowe nieprawomyślności polityków, podczas gdy w naszym własnym domu, pod naszym nosem, ktoś bezkarnie pluje w twarz samemu Bogu? ©

JEZUS, PRYMAS, FILOZOF I PIERWSZY SEKRETARZ

Spotkali się raz. Rozmawiali kilka godzin. Kołakowskiemu wydał się Wyszyński człowiekiem „z mentalności dość obcym".

ZBIGNIEW MENTZEL

W napadach niepohamowanej złości przydarzających mu się coraz częściej I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Władysław Gomułka, raz po raz unosił nad głowę zaciśniętą pięść. Wywijał nią w powietrzu i gwałtownie opuszczał, jakby jednym ciosem miażdżył kogoś, kto ośmielił mu się sprzeciwić.

Na początku kwietnia 1963 r. zaciśnięta gniewnie pięść Gomułki mierzyła w Leszka Kołakowskiego. Wiadomość, że spotkał się on z prymasem Polski, kardynałem Stefanem Wyszyńskim, i o tym spotkaniu filozof zawczasu nie powiadomił kierownictwa Partii, której ciągle pozostawał członkiem, rozjuszyła towarzysza Wiesława do żywego.

Spotkanie w Laskach

Ważną okolicznością sprawy było, że od kilku miesięcy obradował w Rzymie Sobór Watykański II. Powzięte na nim postanowienia w oczywisty sposób wpłynąć mogły na sytuację w Polsce, gdzie trwający latami konflikt między Partią a Kościołem gwałtownie się zaostrzał.

W przerwie obrad soborowych, na krótko przed śmiercią papieża Jana XXIII, kardynał Wyszyński przyjechał do Lasek pod Warszawą, gdzie chętnie spędzał czas na wypoczynku, modlitwie i medytacjach. Długoletni administrator tamtejszego Zakładu Dla Niewidomych, Antoni Marylski, uznał, że nadarza się sposobność, aby o nadziejach związanych z Soborem nieoficjalnie porozmawiał z prymasem ktoś, kto zaliczany jest do ideowych oponentów Kościoła – najlepiej: wysoko ceniony intelektualista związany z kołami partyjnymi.

Pomysł swój Marylski przedstawił Janowi Strzeleckiemu, który od kilku tygodni pracował w Laskach nad doktoratem. Obaj doszli zrazu do wniosku, że właściwym rozmówcą kardynała mógłby być współpracujący z Gomułką socjolog Władysław Bieńkowski, który w roku 1956 prowadził mediacje w sprawie uwolnienia prymasa z internowania. Bieńkowski miał jednakże skrupuły; swój udział w rozmowie koniecznie uzgodnić chciał z władzami Partii, co nie wydawało się realne. Ostatecznie, w mieszkaniu Marylskiego, z kardynałem spotkali się Jan Strzelecki i Leszek Kołakowski. Rozmowa trwała kilka godzin.

W jaki sposób dowiedział się o niej Gomułka – nie jest do końca jasne. Zdaniem Kołakowskiego o spotkaniu wspomniał I sekretarzowi sam Wyszyński, bo, być może, w aktualnej rozgrywce z przeciwnikiem wydawało mu się to sprytnym posunięciem. Prymas jednak stanowczo temu zaprzeczył, utrzymując, że źródło informacji znajdowało się najpewniej wśród agentów Służby Bezpieczeństwa: „Żadne nazwiska nie padają w rozmowie mojej z tow. Wł. Gomułką – odnotował w „Pro Memoria" 31 sierpnia 1963 r. – Widocznie więc na terenie Lasek ktoś obserwował, że niektórzy panowie tu przyjeżdżają i rozmawiają z katolikami".

Jakkolwiek było, zaciśnięta pięść Gomułki poszła w ruch.

Pewna ilość skarg

Gotowy na każde skinienie towarzysza Wiesława członek Biura Politycznego KC Zenon Kliszko – po Gomułce numer drugi w państwie – wezwał Kołakowskiego do siebie, ordynarnie go obrugał, wypytał o charakter i przebieg spotkania, po czym zażądał wyjaśnień na piśmie. Zachowaną notatkę, jaką Kołakowski w związku z tym sporządził, przytaczamy w całości:

Tow. Zenon Kliszko
Sekretariat KC PZPR

Szanowny Towarzyszu!

Zgodnie z Waszym poleceniem przekazuję Wam wiadomość dotyczącą mojej rozmowy z kard. Wyszyńskim. Nie potrafiłem, niestety, mimo usiłowań ustalić dokładnej daty tej rozmowy, która miała miejsce wczesną wiosną bieżącego roku.

Byłem w Laskach, gdzie odwiedzałem mojego przyjaciela, tow. Jana Strzeleckiego, który spędzał tam dwa miesiące na pracy, korzystając z pokoju należącego do Joanny Munkowej i znajdującego się blisko zakładu.

Kierownik zakładu w Laskach powiedział nam, że w tym czasie przebywa tam kard. Wyszyński, i zaproponował, żebyśmy z nim porozmawiali. (Przypuszczam, że intencją kierownika było przekonanie, że byłoby pożyteczne, gdyby Wyszyński, do którego polityki i postawy odnosi się, jak mi się zdaje, krytycznie, zetknął się z ludźmi o skrajnie odmiennych przekonaniach). Zgodziliśmy się na to, licząc – bezzasadnie, jak się następnie okazało – że będziemy mogli dowiedzieć się czegoś godnego uwagi o soborze (nie o jego zamkniętych sprawach, rzecz jasna, ale o katolickich konfliktowych prądach intelektualnych, które na soborze doszły do głosu), zresztą sposobność do poznania Wyszyńskiego uważaliśmy za interesującą.

Rozmawialiśmy z Wyszyńskim w zakładzie w Laskach, wypytując go o sobór. Kard. Wyszyński opowiadał dość długo i szczegółowo, jednakże tylko o sprawach trzeciorzędnych, jak reformy liturgiczne projektowane przez sobór, sposób prowadzenia obrad soborowych, kwestie teologiczne dotyczące stosunku Kościoła do innych wyznań chrześcijańskich itp. Kwestii podstawowych z naszego punktu widzenia, a więc dotyczących rozbieżności intelektualnych, jakie doszły do głosu w związku z soborem, oraz stosunku Kościoła do fundamentalnych spraw współczesności, wyraźnie unikał. Przy sposobności usłyszeliśmy pewną ilość skarg na szykany władz państwowych wobec Kościoła – te same rzeczy, które Wyszyński, o ile wiem, powtarza często w swoich publicznych wystąpieniach.

Poza krótką częścią rozmowy, w której my z kolei, w odpowiedzi na skargi Wyszyńskiego na władzę państwową, wypowiedzieliśmy własne poglądy na kościelną nietolerancję i fanatyzm, ograniczaliśmy się raczej do zadawania pytań, na które dostawaliśmy odpowiedzi rozwlekłe wprawdzie, lecz mało znaczące.

Wrażenie ogólne, jakie wyniosłem z tej rozmowy, było takie, że jest to człowiek ograniczony i mierny, którego obchodzą niemal wyłącznie interesy instytucji kościelnej, niewrażliwy zupełnie na istotną problematykę współczesności, która skądinąd znajduje zrozumienie w bardziej otwartych kołach katolickich; potwierdziło to zresztą obraz kard. Wyszyńskiego, jaki wyrobiłem sobie uprzednio na podstawie wiadomości o jego wystąpieniach i działalności. Nie uważałem za potrzebne przekazywanie z tej rozmowy informacji, ponieważ pożytek z niej był właściwie żaden, tj. żadnych wartościowych ani interesujących wiadomości nie zdołaliśmy z niej uzyskać, jeśli nie liczyć spostrzeżeń dotyczących samej osoby kardynała. Rozmowa toczyła się wprawdzie w tonie dość grzecznym, lecz w sumie była jałowa.

Mogę, oczywiście, jeśli uważacie to za potrzebne, spisać wszystkie szczegóły z tej rozmowy, jakie zdołałem zachować w pamięci, nie wydaje mi się to jednak istotne (opowiadanie Wyszyńskiego zawierało detaliczne wiadomości o takich sprawach, jak sposób prowadzenia mszy przez biskupów afrykańskich albo poglądy teologów na sukcesję apostolską Kościoła anglikańskiego itp.).

Proszę przyjąć, towarzyszu, wyrazy szacunku i pozdrowienia

Leszek Kołakowski
31.5.1963 r.

DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

Leszek Kołakowski na zjeździe Związku Literatów Polskich, grudzień 1965 r.

Oczywiście ani Kliszki, ani – zwłaszcza! – Gomułki notatka Kołakowskiego nie zadowoliła. Rozwścieczeni dygnitarze nie przestali go oskarżać o nielojalność, nadużycie zaufania, „knucie za plecami Partii", potajemne spiskowanie z wrogim reakcjonistą...

Sprawę skierowano do Komisji Kontroli Partyjnej, która zażądała kolejnych wyjaśnień na piśmie. Kołakowski udzielił ich z wyraźnym już lekceważeniem, powtarzając z grubsza to, co wcześniej napisał Kliszce; rozmowę z Wyszyńskim w ogólności więc bagatelizował, tym razem nie sugerując nawet, ↦

↦ że skarżącemu się na władzę państwową kardynałowi dawał ze Strzeleckim odpór (sam Wyszyński w swych zapiskach z satysfakcją odnotował, iż obaj jego rozmówcy „wyraźnie odcinali się od metod Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, stosowanych wobec Kościoła”).

Daleko od siebie, daleko

Bez mała 20 lat później, do swojego jedynego spotkania z kardynałem Kołakowski powrócił w rozmowie z Wojciechem Karpińskim. Potwierdził wówczas, że „styl rozumowania i ogólne nastawienie prymasa” nie zrobiły na nim w Laskach „budującego wrażenia”. Kardynał reprezentujący „konserwatywną i twardą część polskiego katolicyzmu (...) bardzo instytucjonalnie zorientowaną” wydał mu się człowiekiem „z mentalności dosyć obcym”.

Kołakowski przyznał jednak, iż w ocenie Wyszyńskiego nie miał racji, bo dopiero znacznie później zdał sobie sprawę z tego, „ile my mu wszyscy zawdzięczamy, bez względu na to, jak by można jego poszczególne posunięcia krytykować, bez względu na to, jaki by się miało stosunek do tej szczególnej formacji katolicyzmu, którą on reprezentował”. Kościół – mówił Karpińskiemu – z jakim Wyszyński bywa zwykle utożsamiany: Kościół sztywny, nieustępliwy, pozbawiony giętkości; Kościół „nierozdzierany żadnymi wątpliwościami, kłopotami religijnymi, prosty, mało czuły intelektualnie, dość prymitywny – był „absolutnie niezastąpioną i fundamentalną siłą”, dzięki której Polska mogła się opierać sowietyzacji tak, jak dawniej opierała się naciskowi zaborców.

Kiedy wczesną wiosną 1963 r. Kołakowski siedział w Laskach naprzeciwko Wyszyńskiego, roli opatrznościowego męża odgrywanej przez prymasa w historii Polski nie potrafił jeszcze ani zauważyć, ani, tym bardziej, docenić. „Jakże daleko są od siebie, jakże daleko!” – odnotował w dzienniku Janusz Zabłocki, polityk i działacz katolicki, który u Kołakowskiego zaczynał właśnie doktorat o personalizmie Emmanuela Mouniera. Któż potrafiłby przewidzieć, że już całkiem niedługo nadarzy się okazja, aby dwaj wybitni Polacy, tak dalecy jeden od drugiego, mimo wszystko mogli się do siebie przybliżyć...

Co mu się stało?

22 października 1965 r., w przeddzień swych 38. urodzin, Leszek Kołakowski w ramach cyklu odczytów publicznych „Przemiany religii” w warszawskim Empiku wygłosił prelekcję „Jezus Chrystus – prorok i reformator”. Obecny wśród 300-osobowej publiczności tajny współpracownik bezpieki odnotował w notatce służbowej, iż dyskusja była ożywiona, a jeden z obecnych na sali „Żydów” miał do prelegenta pretensję, że „skrzywdził religię żydowską”. Ktoś inny, kogo narodowość nie została już odnotowana, miał z kolei podarować Kołakowskiemu książkę kardynała Wyszyńskiego i gorąco go poprosić, aby przestał „występować pod sztandarami antychrysta”. Najprawdopodobniej była to aluzja do organu prasowego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli – tygodnika „Argumenty”, z którym Kołakowski stale współpracował i w którym jego esej o Chrystusie wkrótce się ukazał.

LESZEK KOŁAKOWSKI:

Jeżeli świat chrześcijański okaże się zdolny do istotnej naprawy i przemiany, „siły samonaprawcze będzie czerpał tylko z własnego źródła”.

Tekst wywołał prawdziwą sensację. Chociaż autor wyraźnie zaznaczał, że zamierza streścić to, „co może dostrzec w postaci i nauce Jezusa człowiek świecki, który nie przyznaje się do wiary chrześcijańskiej w żadnej odmianie, do żadnych dogmatów i żadnej wspólnoty kościelnej, ale przyznaje się do tradycji, której chrześcijaństwo jest częścią niezbywalną, tej samej tradycji, której składnikami są Budda i Sokrates, Kant i Marks” – pośród wielu swoich czytelników wzbudził graniczące z niedowierzaniem zdumienie. Kołakowski pisze o Jezusie Chrystusie? Nie godzi się na jego „unieważnienie”? Podziwia za „autentyzm radykalny, w którym dopiero każdy osobnik ludzki może własnym wartościom prawdziwie nadawać życie”? Co się z Kołakowskim stało? Czyżby przeżył konwersję? Czyżby, mimo wszystko, uwierzył?

„Kręgi »Argumentów« były poruszone – wspominał po latach Andrzej Walicki. – Sympatyzowały z wewnątrzkościelnym *aggiornamento*, referowały więc różne idee modernizmów chrześcijańskich i bardziej im zależało na wewnętrznej przemianie katolicyzmu niż na propagowaniu klasycznego ateizmu. Dlatego »Argumenty« nie miały debitu w ZSRR. Esej Kołakowskiego wpisywał się w ich linię (...). Mnie zupełnie nie zaskoczył. Od czasu jego tekstów z okresu klasycznej odwilży byłem przekonany, że pójdzie w tym kierunku”.

„Uważałem, że to kolejny krok... – dodawał Walicki. – Kołakowski najpierw tkwi w świeckiej religii, która się obywa bez Boga i wszystko immanentnie traktuje. A kiedy pod wpływem różnych historycznych przyczyn załamuje mu się ta religia immanentna, on szuka religii transcendentnej. Ponieważ jest religijnym ateistą, więc naprawdę uwierzyć w Boga nie może, ale musi wierzyć w spójny system, który nadaje światu sens. Od początku do końca działa on w ramach tego samego schematu – trzeba uwolnić człowieka od przypadkowości, która jest całkowitym zaprzeczeniem sensu”.

Jakaś potrzeba

Wypowiedź Walickiego dotykała istoty rzeczy. Sens! Obecność sensu! Sens potrzebny każdemu! Pisząc o wielkim „proroku i reformatorze”, Kołakowski nie miał wątpliwości, że historyczny sens istnienia Jezusa jawi się nie tylko tym, „co wierzą w jego boskość albo choćby w posłannictwo nadprzyrodzone”, i że sens ten nasyca tworzywo duchowe Europy i świata „w sposób trwały, nie związany swoiście z chrześcijańskim dogmatem”. Autor godził w „ateizm prostacki”, w „ludzi ciemnych”, którzy uroili sobie, iż osoba Jezusa Chrystusa może, bez zasadniczego przerwania ciągłości naszej kultury, „opaść nagle w nieistotność”. Esej kończył Kołakowski „w duchu soborowym”, wyrażając „niepewną nadzieję”, że jeżeli w końcu świat chrześcijański okaże się zdolny do istotnej naprawy i przemiany, to „siły samonaprawcze będzie czerpał tylko z własnego źródła (niechrześcijańscy krytycy mogą chrześcijaństwo nadwątlić, ale naprawić go sami nie mogą); może tedy odtwarzać tę umiejętność tylko dzięki nieustannej koncentracji uwagi na tych zasobach duchowych, które związane są z imieniem Jezusa. Być może zdołamy dzięki temu uwolnić się kiedyś od ciemnej zmory klerykalnego, fanatycznego i tępego katolicyzmu, który od czterech stuleci

przygniata i sterylizuje naszą kulturę narodową".

Mimo tej ostatniej gorzkiej uwagi, trudnej w Polsce do przełknięcia dla katolickiego hierarchy, wśród życzliwych czytelników tekstu Kołakowskiego nieoczekiwanie znalazł się i sam kardynał Wyszyński. 1 stycznia 1966 r., w noworocznym kazaniu wygłoszonym w katedrze gnieźnieńskiej prymas z aprobatą zauważył, iż „w prasie ateistycznej warszawskiej jeden z myślicieli ateistycznych napisał, że Chrystus wszedł w życie narodu tak mocno, że obraz Chrystusa, jakkolwiek byśmy go sobie wyobrażali, jest jakąś potrzebą całej rodziny ludzkiej".

LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Prymas Stefan Wyszyński i siostry franciszkanki w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach, lata 60. XX w.

Do eseju Kołakowskiego Wyszyński nawiązał także w innym jeszcze kazaniu, tym razem w warszawskim kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Redakcję „Argumentów" powiadomił o tym listownie – ukryty za inicjałami „KB" – nieznany bliżej „człowiek wierzący". Zapewnił on, że „Jego Ekscelencja" odebrał opublikowany w tygodniku artykuł jako wołanie „o obecność Chrystusa i Kościoła w świecie współczesnym", i z radością konstatował, że „Światło Prawdy Chrystusowej dociera nawet do umysłów ludzi nie wyznających naszej wiary". W swoim liście „człowiek wierzący" oskarżał jednocześnie „Argumenty", że „ze słusznych myśli Kołakowskiego" nie potrafiły wyciągnąć logicznych wniosków i nadal prowadzą „bezsensowną walkę przeciwko religii", szkalując „naszych biskupów, którym Bóg powierzył pieczę nad losami Narodu".

Korespondentowi „Argumentów", a *de facto* samemu prymasowi, Kołakowski – najwyraźniej poproszony o to przez redakcję – odpowiedział na łamach pisma w liście mało raczej kurtuazyjnym. Nie kryjąc „pewnej bezradności" i zażenowania wyjaśniał tam, iż w jego eseju pod żadnym pozorem niepodobna dopatrzeć się apelu o „»obecność Chrystusa w świecie«, czy zgoła o »obecność Kościoła«", bo, po pierwsze, powiedzenie, że obecność Jezusa w świecie, również niechrześcijańskim, ma charakter trwały, jest po prostu „zanotowaniem niewątpliwej okoliczności faktycznej", a nie żadnym apelem, po wtóre zaś, co się tyczy „identyfikacji Jezusa z Kościołem katolickim, to dokładnie odwrotna idea była wyrażona w tym artykule w sposób tak jednoznaczny, iż trudno uwierzyć, by mógł kto podobną mistyfikację wziąć na serio, jeśli artykuł przeczytał".

„Co do obecności Kościoła w świecie – precyzował swoje stanowisko Kołakowski – to nie jest ona, zaiste, w stosunku do moich potrzeb, zbyt nikła, w szczególności tej odmiany Kościoła, której duch prymitywnego fanatyzmu wyznaniowego i ślepota wobec realności społecznych dzisiejszego świata nie chcą opuścić. Odmiana ta, niestety, w polskim katolicyzmie ma na razie nader wątłą konkurencję".

Jakby tego jeszcze było mało, list stałego współpracownika redakcja „Argumentów" uznała za stosowne opatrzeć dodatkowym, przypochlebnym rządzącej Partii wyjaśnieniem, iż z artykułu „Jezus Chrystus – prorok i reformator" „nie wynika bynajmniej postulat zaniechania polemiki światopoglądowej z chrystianizmem i krytyki politycznych poczynań episkopatu, tak negatywnie ocenianych przez najszersze kręgi społeczeństwa".

Prymas jak sekretarz

Kiedy w połowie lat 70. Adam Michnik pisał – też w Laskach – swoją książkę „Kościół. Lewica. Dialog", już na wstępie zauważył, że zarówno esej Kołakowskiego, jak życzliwy doń komentarz kardynała Wyszyńskiego, w roku 1966 „mogły stać się punktem wyjścia do zbliżenia Kościoła i laickiej inteligencji". „Stało się inaczej – ubolewał Michnik. – Kołakowski (...) odciął się od prymasowskiej interpretacji swego artykułu", i nie próbował w Kościele dostrzec sojusznika w dążeniach do rozszerzenia swobód demokratycznych. W tymże samym roku 1966 ani on, ani „żaden z przywódców moralnych lewicowej i laickiej inteligencji nie przeciwstawił się publicznie załganej kampanii propagandowej", jaką po głośnym liście biskupów polskich do biskupów niemieckich Gomułka rozpętał przeciwko episkopatowi, oskarżając Wyszyńskiego o zdradę interesu narodowego.

Nic dziwnego, iż niejeden z najświatlejszych naszych katolików nie potrafił pozbyć się wrażenia, że na pojednawcze gesty, które prymas Polski w jego stronę skierował, Kołakowski, jawnie pochyliwszy najpierw głowę przed Jezusem Chrystusem, odpowiadał z taką samą chłodną wyniosłością, jak na gniewnie zaciśniętą pięść partyjnego genseka. © ZBIGNIEW MENTZEL

Artykuł powstał na podstawie biografii „Kołakowski. Czytanie świata", którą autor przygotowuje dla wydawnictwa Znak.

PIĘĆ LAT OKUPACJI

LUTFIJE ZUDIJEWA, DZIAŁACZKA TATARSKA Z KRYMU:

Zawsze chciałam być nauczycielką.
Dopiero gdy represje stały się elementem naszej codzienności,
zdałam sobie sprawę, że muszę się zaangażować w opór.

MONIKA ANDRUSZEWSKA: Pięć lat temu Rosja anektowała Krym. Jak to jest być dziś krymskotatarską kobietą na Półwyspie?

LUTFIJE ZUDIJEWA: To znaczy stać ramię w ramię z mężczyznami, bronić naszego narodu przed niewiarygodnym uciskiem. Bronić rodziny, tak jak mężczyźni. To życie poświęcone wspólnemu marzeniu Tatarów Krymskich: wolności na swojej ziemi i swobody wyznawania religii. Walka z niesprawiedliwością nie jest tylko dla mężczyzn, płeć nie ma tu znaczenia.

Na Twoim zdjęciu profilowym na Facebooku widnieje napis na czarnym tle: „You can't arrest an idea".

Profile aktywistów z Krymu są stale kontrolowane przez rosyjskie służby specjalne. Wybrałam takie zdjęcie, bo to moja wiadomość do nich: nie możecie aresztować naszej idei, naszego ducha. Rosja uwięziła dziesiątki krymskotatarskich aktywistów, aby zdusić protest przeciw aneksji. Wykorzystuje do tego przepisy antyterrorystyczne jako instrument do eliminacji osób myślących inaczej niż reżim.

Chcę podkreślić, że Tatarzy Krymscy walczą z okupacją tylko metodami pokojowymi: przez demonstracje, pracę informacyjną w internecie, wzajemne wsparcie. Chcemy, aby władze rosyjskie zrozumiały, że za każdym razem, gdy aresztują kilku naszych, na ich miejsce przyjdą nowi. Nasza idea żyje w narodzie, w naszych sercach. Jej nie można aresztować. We wszystkich rosyjskich więzieniach nie starczyłoby dla niej miejsca.

Jak to się stało, że kobieta z tradycyjnej krymskotatarskiej rodziny została aktywistką?

Aż do aneksji miałam inne wyobrażenie o mojej przyszłości. Jestem nauczycielką i zawsze widziałam siebie w tej roli. W 2015 r. otworzyłam centrum rozwoju dla dzieci. Federalna Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła u nas rewizję, zarekwirowali książki po krymskotatarsku i turecku [Tatarzy Krymscy utrzymują związki z Turcją, gdzie mieszka część ich narodu – red.]. Zadawali pytania nawet trzyletnim dzieciom. To niezgodne z rosyjskim prawem: nie można przesłuchiwać nieletnich bez obecności rodziców. Dla wielu dzieci było to traumatyczne doświadczenie, chowały się pod stołami ze strachu. Potem, gdy rewizje i aresztowania stały się naszą codziennością, zdałam sobie sprawę, że muszę zaangażować się w opór. Robić wszystko, co w mojej mocy.

Co więc robisz na co dzień?

Mówię prawdę. Tym się właśnie zajmuję. Działam w grupie Krymska Solidarność, która powstała jako wsparcie dla rodzin represjonowanych. Zajmuję się głównie pracą informacyjną. Na Krymie nie ma wolnych mediów. Dlatego zaczęliśmy się sami organizować, przekazywać przez internet informacje o prześladowaniach. Staramy się uczestniczyć w procesach politycznych, choć rzadko to się udaje, bo większość sądów nie dopuszcza publiczności. Co jest zresztą naruszeniem prawa rosyjskiego. Organizujemy spotkania w miasteczkach i wsiach, informujemy ludzi o przysługujących im prawach. Służby specjalne i policja wykorzystują brak świadomości prawnej. Tymczasem trudniej przesłuchiwać im osobę, która może powołać się na konkretne artykuły z kodeksu karnego.

ANTON NAUMLIUK

Jeden z procesów tatarskich aktywistów: w grudniu 2018 r. Enwer Mamutow, Rustem Abiltarow, Zewri Abseitow i Remzi Memetow zostali skazani przez sąd w Rostowie nad Donem na kary od 9 do 17 lat więzienia.

Mam wrażenie, że wśród tatarskich aktywistów jest coraz więcej kobiet.

Tak jest, z prostej przyczyny: za każdym aresztowanym stają matki, siostry, żony, córki. Kobiety, które walczą o wolność swoich mężczyzn. Poza tym każda Tatarka wie, że jej mąż może być następny. Mój mąż też jest aktywistą, dzięki Bogu wciąż na wolności.

Kobiety też są zagrożone aresztowaniami?

Nie było jeszcze przypadku aresztowania kobiety na dłużej ani skazania w procesie. Jestem pewna, że wywołałoby to silną reakcję i dlatego okupanci jeszcze się do tego nie posunęli. Za to kobiety są stale nękane rewizjami, zatrzymywane, przesłuchiwane. I skazywane na grzywny, np. za rzekome obrażenie policjanta.

Nie boisz się?

Boję się Boga. Strach przed ludźmi wydaje mi się błędny w samej swojej istocie.

Jak rosyjska władza traktuje żony więźniów politycznych?

Często nie pozwala na widzenie z mężami w aresztach. To presja psychologiczna, mająca skłonić aresztowanych, by przyznali się do winy. Władze obiecują im krótsze wyroki i częste widzenia z rodzinami. Ale większość z nich rozumie, że układy z FSB to samooszukiwanie się i zdrada. Skoro nie masz nic wspólnego z terroryzmem, czemu się przyznajesz, że jesteś terrorystą? FSB stosuje też naciski dotyczące spraw życiowych, codziennych, np. są przypadki, gdy żona nie może sprzedać jakiejś własności czy wysłać dzieci na leczenie poza Krym, bo władze utrudniają uzyskanie pełnomocnictwa od uwięzionego męża. Dla religijnych kobiet przesłuchanie czy przeszukanie może być traumatyczne. Np. podczas nagłej porannej rewizji w domu Rustema Ismajlowa, dziś ↦

↦ więźnia politycznego, funkcjonariusze weszli wprost do sypialni. Jego żona Fatima nie zdążyła się nawet ubrać.

Jak żony więźniów utrzymują rodziny? Większość Tatarek nie pracuje.

Z boku może się wydawać, że islam zamienia kobietę w niesamodzielny dodatek do mężczyzny. Tak, w zwyczajnych czasach jesteśmy chronione przez ojców i mężów. Ale czas, w którym teraz żyjemy, nie jest zwyczajny. Kiedy okazuje się, że mężczyzn nie ma, wtedy kobiety się mobilizują, by samodzielnie zadbać o rodziny i jednocześnie zastępować dzieciom ojców. Wiele żon więźniów to specjalistki różnych dziedzin: lekarki, nauczycielki, szwaczki. Są w stanie same zarobić na życie. Poza tym rodziny więźniów są pod opieką naszej społeczności.

Jak FSB traktuje rodziny uwięzionych?

Służby stale nachodzą ich domy. Kobiety i dzieci żyją w ciągłym stresie. Wielu dzieciom potrzebna jest pomoc psychologiczna, żeby złagodzić efekty szoku, który przeżyły, widząc rano ludzi z automatami nad swoimi łóżkami. W domu jednego z więźniów funkcjonariusze zażartowali do małego chłopczyka, że to nie żadne aresztowanie, że oni po prostu nagrywają film. Od czasu tego „filmu", a było to w październiku 2017 r., ojciec nie wrócił do domu. Chłopiec wciąż pyta, kiedy ten film się skończy.

Rosyjska propaganda przedstawia muzułmanów jako terrorystów. Czy wpływa to na Wasze codzienne życie?

Rosyjskie media stawiają znak równości między kobietą w hidżabie a terrorystką, ale na Krymie nie daje to rezultatów. Społeczeństwo Półwyspu przez lata żyło z krymskotatarskimi sąsiadami [oficjalnie Tatarzy stanowią kilkanaście procent mieszkańców, faktycznie może to być nawet jedna piąta; brak dziś wiarygodnych danych – red.]. Dla nich widok kobiet w tradycyjnych strojach jest jak element krajobrazu. Nie ma żadnych incydentów ze strony miejscowych. Poza tym na Krymie, dzięki Bogu, nie było ani jednego ataku terrorystycznego.

Jak wygląda Wasze życie religijne? Są jakieś ograniczenia?

Można by je podzielić na islam „oficjalny" i wszystko to, co jest poza nim. Islam „oficjalny" jest reprezentowany przez Duchowny Zarząd Muzułmanów Krymu. To struktura podporządkowana państwu rosyjskiemu, jej zwolennicy mają łatwiej. Ci, którzy mają inny punkt widzenia, są w stałej „strefie ryzyka". I nie ma znaczenia, że inny punkt widzenia opiera się na zwykłych książkach, z którymi można się zgadzać lub nie. W normalnej sytuacji o poglądach się dyskutuje. Ale nie dziś na Krymie. Poglądy różniące się od wykładni władzy i współpracujących z nią imamów prowadzą do więzienia albo co najmniej skutkują ciągłymi kontrolami służb, które sugerują, by „dobrowolnie" opuścić Krym. Tu nie są dziś potrzebni myślący ludzie, zdolni do dyskusji. Stale dochodzi do aresztowań i oskarżeń o terroryzm z powodu wpisów na Facebooku lub VKontakte [rosyjski portal społecznościowy – red.]. Nawet takich, które ktoś napisał jeszcze przed aneksją.

Czy widzisz oznaki radykalizacji krymskich muzułmanów?

Od pięciu lat nasz naród jest stale prowokowany, rosyjskie władze celowo podgrzewają sytuację. I nic. Jesteśmy narodem o bardzo silnych tradycjach oporu bez przemocy. Choć w tej walce wielu poświęciło już swoje życie, wielu poszło na wygnanie [szacuje się, że po aneksji Półwysep opuściło kilkanaście tysięcy Tatarów – red.]. Mimo to kontynuujemy pokojowy opór. Jak w czasach sowieckich, tylko w nowym formacie.

Jak widzisz przyszłość? W najbliższym czasie Krym raczej nie wróci do Ukrainy.

To prawda. Dlatego naszym celem jest zachowanie tożsamości, bez uciekania się do kolaboracji z okupacyjną władzą, bez zamieniania się w przerażony, pasywny naród. Choć mechanizmy asymilacji – przez system edukacji, propagandę w mediach, naciski polityczne, represje – są silne. Drugim naszym celem jest fizyczne uratowanie narodu. Każde siłowe rozwiązanie na terytorium Półwyspu skończyłoby się kolejnym ludobójstwem Tatarów Krymskich. Nasze główne zadanie to zostać i przetrwać na Krymie. To nasz dom, nasza historia.

A czym dla Ciebie jest Krym?

Dla muzułmanów cała ziemia jest darem od Boga i być może mogłabym przystosować się do życia w dowolnym miejscu na świecie. Ale, powtórzę, tu czuję się jak w domu. Tutaj mieszka moja wielka rodzina. Tutaj dzieją się sprawy, wobec których nie mogę pozostać obojętna. Jak po roku 1783 [wtedy Rosja podbiła Krym – red.] czy 1944, także teraz decyduje się los mojego narodu. Tu są pochowani nasi przodkowie, którzy zginęli, chcąc uratować naszą ziemię. Ona jest nasycona krwią i łzami poprzednich pokoleń.

Myślałaś, by opuścić Półwysep?

Nigdy na poważnie. Czuję się odpowiedzialna nie tylko za siebie i rodzinę, mam też poczucie obowiązku wobec mojego narodu. To także kwestia pamięci historycznej. Dorastałam, słuchając opowieści dziadków o deportacji z 1944 r. O tym, jak ludzie ginęli w bydlęcych wagonach. I o tym, że gdy Tatarzy wrócili, zobaczyli meczety zamienione przez władzę sowiecką w kluby i sklepy. W ciągu ostatnich pięciu lat na Krymie zginęli wybitni aktywiści ruchu krymskotatarskiego, wielu zostało porwanych i zaginęło. Inni siedzą w więzieniach. Ktoś musi kontynuować tę walkę dobra i zła.

© Rozmawiała MONIKA ANDRUSZEWSKA

ANTON NAUMLIUK

LUTFIJE ZUDIJEWA, 36-letnia Tatarka Krymska, do 2014 r. pracowała jako nauczycielka języka ukraińskiego. Dziś jest aktywistką grupy Krymska Solidarność. Podczas wysiedlenia Tatarów przez NKWD w 1944 r. jej dziadków deportowano z Bachczysaraju do Uzbekistanu. Babci Lutfije udało się wrócić, umarła na Krymie. Ale nigdy nie powróciła do swojego domu we wsi Skalyste – został skonfiskowany. Rodzina czasem jeździła popatrzeć na dom, w którym mieszkali obcy ludzie. Lutfije Zudijewa jest matką czwórki dzieci. Mieszka w 40-tysięcznej miejscowości Dżankoj na północy Krymu (jej profil: facebook.com/lutfiye.zudiyeva).

Zuzana i chłopcy

PATRYCJA BUKALSKA

Nowym prezydentem Słowacji może zostać kobieta, do niedawna nieobecna w polityce. Wybory wiele mówią o kraju i emocjach, jakie od roku targają społeczeństwem.

ZUZANACAPUTOVA.SK

O krytyce pod adresem Čaputovej komentatorzy piszą: „Atakuje się ją tylko z tego powodu, że wydaje się pełną nadziei głową państwa".

Zuzana Čaputova: to nazwisko nie było dotąd znane w Polsce i Europie Środkowej, a co dopiero poza regionem. Wkrótce może się to zmienić.

Pierwsza tura wyborów prezydenckich na Słowacji odbędzie się w sobotę 16 marca, a sondaże pokazują, że na największe poparcie może liczyć właśnie Zuzana Čaputova. Ostatnie badania dawały jej prawie 45 proc. głosów (według agencji Focus) lub nawet prawie 53 proc. (agencja AKO). To niemal gwarantuje jej przejście do drugiej tury – niemal, bo jednak w ostatnich dniach przed wyborami wiele może się zdarzyć.

Przewaga Čaputovej nad kontrkandydatami to spora niespodzianka. Startowała ona jako nieznana kandydatka, bez wsparcia wielkich partii – jej ugrupowanie Postępowa Słowacja (Progresívne Slovensko) powstało dopiero jesienią 2017 r.

Jeszcze na dwa tygodnie przed wyborami była w sondażach trzecia i podobno wręcz naciskano na nią, aby zrezygnowała z udziału i nie odbierała głosów Robertowi Mistríkowi – wtedy drugiemu w rankingu, uważanemu za kandydata liberalnego i proobywatelskiego. Ale potem, nagle, w ciągu kilku dni, jej notowania zaczęły iść w górę – i to Mistrík podjął decyzję o wycofaniu się.

Teraz w sondażach na czele jest więc Čaputova, potem długo nikt, a w końcu dwóch kandydatów, którzy stoczą walkę o wejście do drugiej tury: europejski dyplomata Maroš Šefčovič, popierany przez rządzącą partię Smer-Sociálna Demokracia (sondaże dają mu 22 proc.), oraz Štefan Harabin, sędzia Sądu Najwyższego, kiedyś związany z partią HZDS niesławnego premiera Vladimíra Mečiara (jemu sondaże dają 12 proc.).

Przeciw arogancji władzy

Zuzana Čaputova jest prawniczką zaangażowaną w sprawy obywatelskie i ekologiczne. Jest też wiceprzewodniczącą Postępowej Słowacji, która sama określa się jako siła jednoznacznie „postępowa, liberalna i proeuropejska". Na razie ugrupowanie musi zadowolić się rolą opozycji pozaparlamentarnej, ale w przyszłych wyborach bez wątpienia wejdzie do parlamentu. Natomiast jego kandydatka ma szansę na urząd prezydenta.

Jak dotąd Čaputova znana była nie jako uczestniczka życia politycznego, lecz prawniczka, która wystąpiła przeciwko władzy i wygrała.

Chodziło o plany wielkiego składowiska odpadów w Pezinku w południowo-zachodniej Słowacji, gdzie mieszka Čaputova. W sporze tym po jednej stronie była perspektywa milionowych zysków i silne wpływy rządzącej partii Smer-SD [o jej wątpliwych interesach zob. wywiad z Markiem Vagovičem, szefem działu śledczego portalu Aktuality.sk, na kolejnych stronach działu Świat – red.]. A po drugiej – jak w amerykańskim filmie – zwykli ludzie, reprezentowani przez Zuzanę Čaputovą. Sądowe zmagania trwały ponad 10 lat i zakończyły się triumfem mieszkańców. W 2013 r. Sąd Najwyższy cofnął pozwolenie na budowę składowiska. W 2016 r. uparta prawniczka została za to wyróżniona Nagrodą Goldmanów, zwaną „ekologicznym Noblem". Do 2017 r. działała też w organizacji prawniczej Via Iuris, zajmującej się wspieraniem inicjatyw obywatelskich, m.in. na polu ochrony środowiska. Dopiero potem postanowiła zająć się czynnie polityką.

– Choć Čaputova była znana w środowisku organizacji pozarządowych, to jednak aż takie poparcie dla niej w sondażach jest niespodzianką. Udało się jej dotrzeć nie tylko do młodych liberalnych wyborców, ale także do starszej, bardziej konserwatywnej grupy – mówi „Tygodnikowi" socjolog Michal Vašečka.

Niektóre jej poglądy – np. na prawa homoseksualistów do adopcji dzieci czy utrzymanie liberalnej ustawy aborcyjnej – odbiegają od tych, które dominują wśród starszego pokolenia. Jej konkurenci próbują to zresztą eksponować. Ale Čaputova ↦

↦ z powodzeniem broni się otwartością na rozmowę i spokojem argumentów.

Słowacja rok później

„Przeciwstawmy się złu!" – mówi Zuzana Čaputova swoim wyborcom i nie sposób nie widzieć w tym nawiązania do dramatycznych wydarzeń sprzed ponad roku, gdy zamordowany został dziennikarz śledczy Ján Kuciak i jego narzeczona Martina Kušnírova.

Ciężar tej sprawy nadal jest odczuwany w słowackim życiu publicznym, a dla niektórych stała się ona doświadczeniem pokoleniowym. W lutym tego roku, w rocznicę śmierci dwojga młodych ludzi, na ulice Bratysławy i innych miast znów wyszli ludzie. Tylko w stolicy było ich 25 tys. Chcieli pokazać, że nie zapomnieli, a także że nadal patrzą władzy na ręce i czekają na wyjaśnienie tego morderstwa oraz ukaranie winnych.

Wtedy, w lutym 2018 r., śmierć Jána i Martiny (w przestrzeni publicznej mówi się o nich właśnie tak – używając imion) była dla Słowaków szokiem. Była też impulsem, by coś zmienić, sprzeciwić się korupcji i dziwnym powiązaniom między politykami a biznesem. Bo to, o czym pisał Kuciak – dziennikarz tropiący afery polityczno-biznesowe – policja i prokuratura wiązały właśnie z jego śmiercią.

W Bratysławie gromadziły się wtedy rzesze ludzi, największe od czasu wielkich demonstracji, jakie 30 lat temu towarzyszyły upadkowi komunizmu. Demonstranci domagali się przede wszystkim sprawiedliwości. Społeczna trauma wywołana tym podwójnym zabójstwem wyzwoliła poczucie, iż konieczna jest głębsza zmiana. Pytanie tylko: jaka?

– Rządy premiera Roberta Fico doprowadziły do rozkładu społecznego w takim stopniu, że potrzeba fundamentalnej zmiany. Jednak dla jednej części społeczeństwa ta zmiana wiąże się z prozachodnią polityką, z liberalną demokracją. Dla drugiej to sprzeciw wobec całego systemu politycznego, na którym to sprzeciwie zyskują formacje skrajne, jak Partia Ludowa Nasza Słowacja (ĽSNS) Mariana Kotleby. Ta antysystemowa tendencja jest bardzo silna – mówi Vašečka.

„Przeciwstawmy się złu!" – mówi Zuzana Čaputova swoim wyborcom. To nawiązanie do zabójstwa dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej.

Na znaczącą obecność antysystemowych wyborców zwraca też uwagę znany publicysta Marián Leško. – Słowackich wyborców można podzielić na trzy grupy. Pierwsza to ci, którzy głosują na kandydatów partii rządzących, czyli Smeru-SD i Słowackiej Partii Narodowej (SNS). Druga to ci, którzy mają Smeru powyżej uszu. Oraz trzecia: ci, którzy mają dość wszystkich polityków i są z zasady antysystemowi – mówi „Tygodnikowi".

– Teraz jest ten moment, by sprawdzić, czy protesty sprzed roku były emocjonalną falą, czy też czymś bardziej stałym – dodaje Leško. – Czy ta chęć zmiany dalej w ludziach jest? I czy ludzi ceniących prawa człowieka i podstawowe wolności jest tutaj dość? Wybory są testem, a obecność Čaputovej w drugiej turze będzie dowodem.

Bohaterowie kolejnych planów

Bez względu na to, co się stanie 16 marca, Čaputova już jest fenomenem, który wiele mówi o emocjach społecznych.

– Rozmawiałem z socjologami. Nie pamiętają, aby komuś tak szybko rosło poparcie – Marián Leško zastanawia się nad przyczynami, dla których prawniczka w tak krótkim czasie zajęła pierwsze miejsce w sondażach. – Ten wzrost nastąpił pod wpływem emocji, więc poparcie dla niej może się nieco zmniejszyć. Jednak nie aż tak, żeby miała nie wejść do drugiej tury. Pytanie natomiast, kto będzie wtedy jej rywalem.

Maroš Šefčovič – popierany przez elity rządzące – początkowo miał spore szanse na wygraną, długo prowadził w sondażach. Dyplomata od lat pracujący w unijnych strukturach w Brukseli był postrzegany jako kandydat prounijny, a zatem do zaakceptowania nawet dla tzw. bratysławskiej kawiarni, jak określa się najbardziej liberalną część społeczeństwa. Już lepiej on, nawet jeśli jest popierany przez Smer, niż jakiś ekstremista – tak myślano.

Jednak przyspieszenie Čaputovej na ostatniej prostej zmieniło zasady gry. Umiarkowanemu Šefčovičowi depcze teraz po piętach Štefan Harabin – kandydat bardziej radykalny, trafiający i do nacjonalistów, i do antysystemowców, wspierany nawet przez część wyborców Smeru. Z kolei z Harabinem rywalizuje o głosy zdeklarowany nacjonalista Kotleba, a ich elektorat w znacznym stopniu się pokrywa.

Kotleba nie ma raczej szans na wejście do drugiej tury, chodzi mu zapewne o umocnienie pozycji swej partii przed wyborami parlamentarnymi w 2020 r. Kalkulacja to racjonalna: w tym samym czasie, gdy w prezydenckich rankingach na prowadzenie wysuwała się Čaputova (jako ikona Słowacji proeuropejskiej i liberalnej), w sondażu poparcia dla partii politycznych na drugim miejscu uplasowali się właśnie narodowcy Kotleby (z 12-procentowym poparciem; słowacka scena jest dość rozdrobniona). Dla porównania: Postępowa Słowacja – występująca w koalicji z partią Spolu (Razem) – może liczyć w sondażach na 9,5 proc. głosów.

Wygląda na to, że w przyszłorocznych wyborach do parlamentu kluczowy może okazać się wynik właśnie tych dwóch formacji: pro- i antyzachodniej.

Zapotrzebowanie na uczciwość

Z chwilą, gdy poparcie dla Zuzany Čaputovej w sondażach poszybowało, uderzyła

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie, o sygn. akt I Ns 861/16, o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Dąbrowskim, s. Tadeusza i Janiny, ur. 8 września 1947 r. w Kamiennej Górze, ostatnio zamieszkałym na ul. Anielewicza 4/40 w Lubawce, zm. 26 lipca 2016 r.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

w nią ostra fala krytyki. „Atakuje się ją tylko z tego powodu, że wydaje się pełną nadziei głową państwa" – pisał komentator „Dennika N".

Atakowanie kontrkandydatów w kampanii wyborczej jest zjawiskiem zrozumiałym, ale w przypadku Čaputovej ciekawe jest, w jaki sposób jest ona atakowana. Przeciwnicy starają się tak przedstawić jej liberalne poglądy, aby sprowadzić wybory do zasadniczych kwestii kulturowych (prawa mniejszości seksualnych, aborcja itp.). Eksponują także jej brak politycznego doświadczenia. Oraz płeć i wiek. Znaczący jest przy tym lekceważący język, np. zwrot „nieznana dziewczyna". Dziewczyna? Zuzana Čaputova ma 45 lat i dwójkę dzieci. A polityk, który tak ją określił, jest jej rówieśnikiem (ale o sobie nie mówi *per* „chłopak").

„Chcę trafić do wszystkich, bo wszystkich nas łączy frustracja wywołana arogancją władzy i niesprawiedliwością – deklarowała Čaputova. – Do Słowaków, jak też Węgrów, Czechów czy Romów. Wszystkich, bez względu na wyznanie czy orientację seksualną". I to się jej udaje: chce na nią głosować nie tylko jedna trzecia kobiet (i z prawicy, i z lewicy), ale także znaczna część wyborców konserwatywnych i religijnych.

– To, że jest kobietą, jest ważne, ale nie jest czynnikiem zasadniczym – mówi Marián Leško. – Nie jest emocjonalna, jest bardzo opanowana, reaguje spokojnie. Nie da się jej więc prezentować jako histeryczki, jak to się zdarza kandydującym kobietom.

– Umie nawiązać kontakt z ludźmi. Jest autentyczna, niczego nie udaje – dodaje Vašečka. – Čaputova pokazuje, że ważny jest po prostu uczciwy człowiek. A Słowacy mają teraz wielkie zapotrzebowanie na uczciwość.

Mają też zapotrzebowanie na zmianę. Jak jednak przypomina Michal Vašečka, zmiana ta może oznaczać coś innego dla różnych grup wyborców. Dla jednych będzie to więc Čaputova, ale dla innych – już ktoś o zupełnie innych poglądach.

– Harabin, Kotleba i inni rosną w siłę – przypomina socjolog.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Ciemne oblicze Słowacji

MAREK VAGOVIČ, SZEF DZIAŁU ŚLEDCZEGO PORTALU AKTUALITY.SK:

My, dziennikarze, od dawna pisaliśmy, że krajem rządzi hermetyczna elita, z silną oligarchią i powiązaniami ze światem przestępczym. Teraz dostrzegli to także obywatele.

DARIUSZ KAŁAN: To już rok.

MAREK VAGOVIČ: Wiele rzeczy się zmieniło na lepsze, z szachownicy spadły ważne figurki. Ale system jeszcze się trzyma.

Po morderstwie Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej do dymisji podali się premier, minister spraw wewnętrznych i szef policji. Kluczowe postaci rządzącej od ponad dekady partii Smer–Sociálna Demokracia. To mało?

Nadal mają duże wpływy. Myślę, że wybory powinny odbyć się zaraz po jego śmierci. Ale istotne jest coś innego. Ludzie się obudzili. To smutne, że trzeba było tak tragicznego wydarzenia, bo my, dziennikarze, od dawna zwracaliśmy uwagę na drugą twarz Słowacji: skorumpowanej, rządzonej przez hermetyczną elitę, z silną oligarchią i niejasnymi powiązaniami ze światem przestępczym. Teraz dostrzegli to także obywatele. Jak jest ważny powód, to wychodzą na ulicę. A politycy to widzą i nie mogą już robić takich rzeczy jak dawniej.

Co wiemy?

W kwietniu 2018 r. do dymisji podał się skompromitowany szef policji, a pięć miesięcy później policja zatrzymała czworo podejrzanych o zamordowanie Jána i Martiny. Jeden ujawnił, że pracowali dla Mariána Kočnera, bliskiego władzy biznesmena z branży hotelarskiej i budowlanej. Zresztą kolejna osoba z grona zatrzymanych to jego tłumaczka. Kočner trafił do więzienia niedługo później, ale nie za zlecenie morderstwa, lecz fałszowanie umów. Do dziś siedzi w celi.

A motyw?

Nie chcę niczego przesądzać, śledztwo wciąż trwa. Nie zapominaj, że Kočner nie ma postawionych zarzutów w tej sprawie. Faktem jest jednak, że Ján w swoich ostatnich tekstach zajmował się jego interesami. Odkrył, że poważnym źródłem majątku Kočnera są wyłudzenia podatku VAT. Kilka miesięcy przed zabójstwem Kočner zadzwonił do Jána, informując, że jeśli nie przestanie o nim pisać, to rodzice i rodzeństwo Jána, a także on sam spotkają się z jego „specjalnym zainteresowaniem". Nadal jest więc kilka znaków zapytania, ale to Kočner miał i motyw, i możliwości. Czuł na szyi oddech Jána i wiedział, że prędzej czy później rozwikła on wszystkie nitki łączące jego ciemne biznesy z aparatem państwowym, władzą. Kuciak należał do najbystrzejszych i najlepszych dziennikarzy śledczych swojego pokolenia.

Jak się poznaliście?

Pięć lat temu w Czechach na konkursie dla młodych reporterów. Zadanie było takie, żeby napisać o korupcji w służbie zdrowia. Na pierwsze spotkanie przyniósł dziesiątki plików o kontaktach między politykami a firmami farmaceutycznymi. Zatkało mnie. Miałem do czynienia z wieloma młodymi dziennikarzami, ale Janko był wyjątkowy. A przy tym grzeczny, niemal niewidoczny.

Teraz nikt nie przyznaje się do Kočnera.

Bratysława to małe miasto, a Kočner znał się prawie z każdym, bo jego głównym zajęciem było zdobywanie informacji i handlowanie nimi. Jego biznesy to była przykrywka. Był pośrednikiem, załatwiaczem. Ludzie przychodzili do niego, żeby zdobyć na kogoś haki, wyciągnąć kogoś z więzienia albo wydeptać ścieżki do decydentów.

Przychodziła opozycja i władza. Obecny lider opozycji, a ówczesny przewodniczący parlamentu Richard Sulík został nagrany, jak dzieli się

↦

z Kočnerem przemyśleniami o wymianie premiera i obsadzie stanowiska prokuratora generalnego.

Tak, ale to było dziewięć lat temu. Potem już się z Kočnerem nie spotykał. To z politykami rządzącego Smer–SD Kočner robił biznesy. To z nimi był na „ty", jeździł na wakacje. Niektórzy założyciele tej partii znają go od ponad 30 lat. Lider partii i były premier Róbert Fico był jego sąsiadem, ściana w ścianę, w luksusowym apartamentowcu Bonaparte. Uważam, że to dzięki niemu Kočner tak mocno wyrósł.

W willi Kočnera policja odkryła archiwum nagrań, bo miał zwyczaj rejestrować swoje rozmowy. A potem kompromitować rozmówców, jak Sulíka. Jednym z nagranych był Dobroslav Trnka, kolega Kočnera z wojska i były prokurator generalny. Policja podejrzewa, że Kočner go korumpował. Zresztą w policji też miał swoich ludzi: traf chciał, że wszystkie sprawy przeciwko niemu kierowano do policji w Bańskiej Bystrzycy, gdzie zajmowało się nimi – oczywiście na jego korzyść – dwóch tych samych oficerów. Podali się do dymisji w październiku 2018 r. Kočner wynajmował ludzi do śledzenia dziennikarzy, m.in. mnie i Kuciaka. Stworzył swoje małe państwo w państwie.

Kiedy widywałeś się z Kočnerem, jakie wrażenie na Tobie wywarł?

To była typowa relacja dziennikarz–źródło. Skontaktował się ze mną jakieś 10 lat temu i powiedział, że ma informacje na temat członka Smer–SD, z którym popadł w konflikt. Wiedziałem, że działa z zemsty, więc sprawdziłem każdy szczegół, ale cynk okazał się trafny. Rozmawialiśmy przez Skype'a i w samochodach, było w tym trochę konspiracji. Zachowywał się normalnie, nie bałem się go. Potem znowu podrzucał informacje, ale słabsze. Nasze relacje zaczęły się zmieniać, gdy zacząłem pisać o prokuratorze generalnym Trnce. Dzwonił. Nigdy nie groził, ale stawał się coraz bardziej nerwowy. Ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon w 2012 albo 2013 r. Aż w końcu na Wielkanoc 2017 r. spotkałem go twarzą w twarz, jak wyjeżdżałem samochodem z parkingu redakcji. Dał mi wyjechać, a potem, kiedy staliśmy na światłach, opuścił szybę i powiedział: „Gdybym wiedział, że to ty, nie przepuściłbym cię".

Kočner nie był jedynym, któremu Ján zaszedł za skórę.

DARIUSZ KAŁAN

MAREK VAGOVIČ (ur. 1974) jest dziennikarzem, założycielem i szefem działu śledczego portalu Aktuality.sk, gdzie pracował Ján Kuciak. Autor książek „Vlastnou hlavou" („Twoja własna głowa", 2016) o słowackiej oligarchii i jej związkach z premierem Róbertem Ficą oraz „Umlčaní" („Uciszony", 2018) o Kuciaku i jego narzeczonej Martinie Kušnírovej.

To prawda. W ostatnim i niedokończonym artykule Kuciak opisał związki mafii włoskiej, ndranghety ze Smer–SD. Jeden z włoskich gangsterów był według niego partnerem biznesowym bliskich współpracowników premiera Ficy: jego doradczyni oraz sekretarza biura Rady Bezpieczeństwa Słowacji. I na początku myślałem, że zabójstwo ma związek z tym wątkiem. Jednak jak się prześledzi, co działo się z Kočnerem kilka miesięcy przed zabójstwem, to wniosek będzie taki, że czuł się jak zwierzę zagonione do rogu. Śledztwo Jána sprawiło, że tracił grunt pod nogami. Pierwszy raz od 20 lat. W mediach, które zrobiły z niego małego celebrytę, bo Kočner był ulubieńcem tabloidów, stał się *persona non grata*. Zaczęła się nim interesować policja. Poseł opozycji Jozef Rajtár dostał ochronę, bo Kočner groził mu śmiercią. Adwokatowi, który dziś reprezentuje rodziców Martiny, powiedział, że skończy z kulką w głowie. Kočner tracił i pieniądze, i bezpieczeństwo. Według mnie w takim stanie mógł być zdolny do wszystkiego.

Był głową czy figurantem?

Na pewno nie głową, chociaż sam za takiego się uważał. Miał o sobie wysokie mniemanie, stale chwalił się wysokim ilorazem inteligencji. Ale według mnie stoją nad nim jeszcze ważniejsze postaci.

Zabójstwo Jána i Martiny przywołało duchy lat 90. XX w., kiedy konflikty na Słowacji rozwiązywało się za pomocą ulicznych rozrób, morderstw i podkładania bomb pod samochody. Potem Słowacja nie wzbudzała takiego zainteresowania jak Węgry czy Polska.

Pod pewnymi względami sytuacja u nas wygląda gorzej, bo chyba nigdzie w regionie powiązania między głównymi aktorami życia publicznego a zorganizowaną przestępczością nie są tak duże. Nie ma miesiąca, w którym nie wybuchałaby afera sięgająca szczytów władzy. Ale dla mediów zagranicznych to mało atrakcyjne, zbyt skomplikowane. Trzeba dobrze poznać kontekst. Na Słowacji trudno mówić o tendencjach autokratycznych, władza nie ma też żadnej ideologii, którą – jak robi to Viktor Orbán – umiałaby przykrywać skandale. Jest zainteresowana pomnażaniem majątków w ciszy. Nasi politycy pozują na euroentuzjastów.

Poziom propagandy w mediach publicznych jest nieporównywalnie niższy z sąsiadami.

Nie śledzę mediów w Polsce i na Węgrzech. U nas rzeczywiście media publiczne długo zachowywały poziom. Ostatnio to się trochę zmieniło, pojawiają się różne dziwne programy podlizujące się władzy. Przynajmniej media prywatne trzymają się mocno. A dziennikarstwo śledcze jest najsilniejsze od lat. Umiemy pracować z dokumentami i danymi, także zagranicznymi, nie musimy polegać wyłącznie na informatorach.

A jak Ciebie zmieniło zabójstwo Jána i Martiny?

Myślałem, żeby odejść z zawodu. Ale w końcu powiedziałem sobie, że nie odpuszczę, dopóki nie zobaczę winnych na sali sądowej. Im bardziej ludzie dają się nieść apatii i obojętności, tym większą czuję odpowiedzialność, żeby im przypominać, w jakim kraju żyją.

Nie zapomną o Kuciaku?

Jeśli sytuacja się zmieni na lepsze, a do władzy dojdą ludzie uczciwi, to będziemy wspominać go raz w roku w rocznicę mordu. Będziemy sobie mówić, że to była wielka tragedia, ale przynajmniej nie poszła na marne. Oby tak się stało.

© Rozmawiał w Bratysławie
DARIUSZ KAŁAN

Na kampusie Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego można poczuć się jak na Dalekim Wschodzie – na niektórych wydziałach kierunków ścisłych dominują studenci z Chin, luty 2019 r.

Gra w chińczyka

TEKST I ZDJĘCIA MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII (USA)

Amerykańskie uczelnie od lat przyciągają chińskich studentów i badaczy. Wraz z pogorszeniem stosunków z Pekinem barierą w podjęciu studiów w Stanach jest już nie tylko wysokie czesne.

Mengyuan, 18-latka pochodząca z Pekinu, jest już mocno zamerykanizowana. Po kilku latach spędzonych w Stanach nie słychać u niej typowego dla Chińczyków akcentu. Najpierw Mengyuan uczyła się w liceum w San Francisco, potem dostała się na biologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego (UCSD). Gdy pytam, ile wyniosło ją czesne za pierwszy rok studiów, mówi, że nie ma pojęcia. Przelewami zajmuje się jej matka. To ona podjęła również decyzję o wyjeździe córki do Stanów. Za wszystko płaci ojciec Mengyuan.

Dziewczyna zna go bardzo słabo, bo odkąd pamięta, przyjeżdżał do domu tylko na weekend. Gdy skończyła 11 lat, dowiedziała się, że ojciec pracuje dla rządu jako inżynier.

Podobnie jak jej rówieśnicy wychowujący się w bogatych rodzinach, Mengyuan nauczyła się, że wyrazem rodzicielskiej miłości są pieniądze. A te coraz częściej płyną strumieniem na opłatę studiów chińskiej młodzieży na amerykańskich uczelniach.

– Aż połowa moich znajomych z podstawówki wyjechała do Stanów – mówi Mengyuan. – W Chinach panuje moda, by wykształcić dziecko za granicą. Na ten krok coraz częściej decydują się rodziny z klasy średniej. Niestety czasem okazuje się, że nie stać ich na opłacenie całych studiów. Tak było ze znajomą, która musiała wrócić do Chin już po pierwszym roku. Ja nie wyobrażam sobie powrotu do Pekinu. Nie tęsknię nawet za rodziną. Ameryka jest super.

Student się opłaca

Z danych Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego USA wynika, że na amerykańskich uniwersytetach studiuje ok. 340 tys. Chińczyków. To jedna trzecia wszystkich studentów zagranicznych w Stanach. Druga co do wielkości grupa to Hindusi, którzy stanowią 19 proc. studenckiej społeczności.

Jedni i drudzy są świetnym interesem dla amerykańskich uniwersytetów: pobierają one od obcokrajowców kilkukrotnie wyższe opłaty niż od rezydentów stanu, w którym znajduje się uczelnia. Jak wskazują dane Międzynarodowego Stowarzyszenia Edukatorów NAFSA, w roku akademickim 2017/18 w skali całego kraju zysk z czesnego opłacanego przez studentów zagranicznych wyniósł 39 mld dolarów. W przypadku chińskich studentów w roku akademickim 2016/2017 kwota ta wyniosła ok. 12,5 mld dolarów.

Z kolei badacze zagraniczni mają istotny wpływ na rozwój amerykańskiej nauki. Jak wynika ze statystyk agencji federalnej National Science Foundation, prawie połowa z 64 tys. młodych naukowców (ang. *postdoctoral scholars*) realizujących badania w amerykańskich instytucjach to obcokrajowcy.

Wśród Chińczyków, którzy decydują się na studia lub badania naukowe w USA, zainteresowaniem cieszą się uczelnie w Kalifornii, stanie Nowy Jork, Massachusetts oraz Illinois. W ścisłej czołówce najczęściej wybieranych przez nich ↦

↦ placówek są także Uniwersytet Purdue w Indianie oraz Uniwersytet Stanu Michigan (MSU).

Dziedziny strategiczne

Nad wyborem tego ostatniego zastanawia się Yi, 22-latek, który kończy licencjat z inżynierii mechanicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Jak mówi, nie chce zostawać tutaj na studia magisterskie ze względu na wysokie czesne. Do tej pory rocznie płacił aż 55 tys. dolarów.

– Wciąż waham się, czy po prostu nie dokończyć studiów w Chinach – mówi Yi. – Dręczy mnie poczucie winy, bo rodzice na mój pobyt w USA wydali oszczędności życia. A ja w swojej dziedzinie raczej nie będę miał szans na pracę w Stanach. Rozchwytywani są przede wszystkim amerykańscy inżynierowie. Sytuacji nie ułatwia narastająca wrogość wobec chińskich studentów i badaczy – dodaje Yi.

Chodzi o restrykcje wprowadzone w czerwcu 2018 r. przez amerykański Departament Stanu. Ogłoszono wówczas, że chińscy studenci i doktoranci robiący badania w tzw. dziedzinach wrażliwych mogą dostać wizę tylko na rok, a nie jak do tej pory na pięć lat. Choć nie upubliczniono wytycznych – przekazanych amerykańskim ambasadom i konsulatom – to wskazuje się, że objęci restrykcjami mogą być studenci robotyki, lotnictwa i kierunków związanych z przemysłem wysokiej technologii. To dziedziny określone w chińskiej strategii „Made in China 2025" jako priorytetowe obszary rozwoju technologicznego [o tej strategii w „TP" nr 8 – red.].

Pierwszy student w rodzinie

W ramach restrykcji, które mają na celu walkę z kradzieżą amerykańskiej własności intelektualnej przez Chiny, zapowiedziano również, że naukowcy posiadający stopień doktora mogą być objęci dodatkową kontrolą w trakcie procedury wizowej.

– Gdy po raz pierwszy usłyszałem o amerykańskich restrykcjach, wahałem się, czy nie aplikować na jedną z brytyjskich uczelni – mówi Kaman.

24-letni Chińczyk od pół roku robi doktorat na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Gdy spotykam go na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Lotniczej, ma na sobie wygniecioną białą koszulę i fryzurę typową dla azjatyckich gwiazd popu. Mówi, że odkąd przyjechał do Stanów, wciąż uczy się, jak pogodzić swoje badania z prowadzeniem zajęć ze studentami. Nic nie równa się jednak ze stresem, jaki przeżywał w trakcie procedury wizowej.

– Chciałem złożyć wniosek jeszcze przed nałożeniem restrykcji przez administrację Trumpa – opowiada Kaman. – Pech sprawił, że wciąż czekałem na oryginały dokumentów wysłanych przez Uniwersytet Kalifornijski. Gdy dotarły do Chin i mogłem je załączyć do aplikacji wizowej, była już połowa czerwca. To był najbardziej stresujący okres w moim życiu.

Kaman zajmuje się inżynierią materiałową: – Teoretycznie to obszar badań, który nie kwalifikuje się do objęcia restrykcjami. Bałem się jednak, że podejrzenia wzbudzi nazwa wydziału, na którym chciałem robić doktorat. Ostatecznie dostał wizę na pięć lat. Miał też szczęście, gdy aplikował na studia doktoranckie na Uniwersytecie Kalifornijskim. Traf chciał, że gdy dostał decyzję o przyjęciu na studia, na wydziale zwolnił się etat. Jak mówi, bez stałej pensji nie miałby szans na wyjazd do Stanów. Jego rodzice pracują w fabryce. Jest pierwszą osobą w rodzinie, która ma wyższe wykształcenie.

Drenaż mózgów

Wprowadzenie restrykcji wizowych dla chińskich studentów i badaczy jest kolejną odsłoną wojny celno-handlowej między USA a Chinami. Donald Trump wielokrotnie podkreślał, że cła nakładane na chińskie produkty mają m.in. na celu walkę z kradzieżą amerykańskiej technologii.

Ochrona amerykańskiej własności intelektualnej to także gorący temat w środowisku naukowym. Szerokim echem w mediach odbiła się sprawa Ji Chaoquna, Chińczyka studiującego w Instytucie Technologii w Chicago. Jesienią zeszłego roku ten 27-latek został aresztowany pod zarzutem rekrutowania dla Pekinu amerykańskich naukowców i inżynierów.

W styczniu tego roku zawrzało z kolei za sprawą apelu administracji Trumpa do naukowców i uczelni, których badania finansowane są przez amerykański Narodowy Instytut Zdrowia. Związane z placówką środowisko naukowe ma zaostrzyć procedury bezpieczeństwa po tym, jak chińskie służby pozyskały wrażliwe dane z wniosków o granty do tej instytucji. Zawarte w nich informacje stanowią źródło wiedzy na temat zaawansowanych badań biomedycznych w USA. FBI alarmuje, że zdarza się również, iż zatrudnieni w laboratoriach chińscy naukowcy przekazują rządowi w Pekinie informacje na temat amerykańskich badań.

Niektórzy badacze mają też w Chinach laboratoria dotowane przez tamtejszy rząd. Jednym z programów budzących kontrowersje jest – finansowany przez chińskie władze – projekt Thousand Talents Plan, skierowany do młodych badaczy, którzy studiowali lub pracowali w USA. Z raportu amerykańskiej Narodowej Rady Wywiadu, na który powołuje się serwis Bloomberg, wynika, że w ramach tego programu zatrudnionych jest obecnie 2629 osób. Interesujący jest skład zawodowy. Ok. 44 proc. specjalistów w tym programie to badacze z obszaru medycyny i nauk o zdrowiu, 22 proc. zajmuje się technologią przemysłową, 8 proc. to eksperci technologii informacyjnych (tzw. IT), a 12 proc. specjalizuje się w przemyśle lotniczym i kosmicznym. Mniejszy udział mają eksperci z zakresu ekonomii, finansów i matematyki.

Rok dla fizyka

Tong, 22-latek pochodzący z północno-wschodnich Chin, robi doktorat na Uniwersytecie Yale.

POŻEGNANIE

14 marca o godz. 17.00
w kolegiacie św. Floriana w Krakowie
ks. Adam Boniecki odprawi Mszę św.
z okazji 100. rocznicy urodzin

Jana Józefa Szczepańskiego

o czym zawiadamia
Rodzina

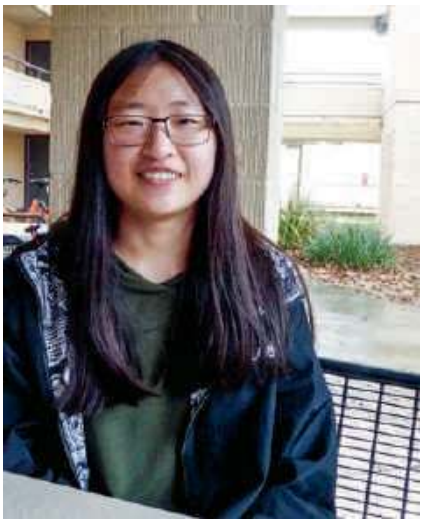

Mengyuan, 18-letnia studentka biologii, nie wyobraża sobie powrotu do Chin. Jak mówi, jedyne, co ją drażni w Stanach, to kiepsko działająca komunikacja miejska.

Yi zastanawia się, czy zostać w Stanach na studia magisterskie. Obawia się, że jeśli się na to zdecyduje, zostanie objęty wprowadzonymi przez administrację Trumpa restrykcjami wizowymi.

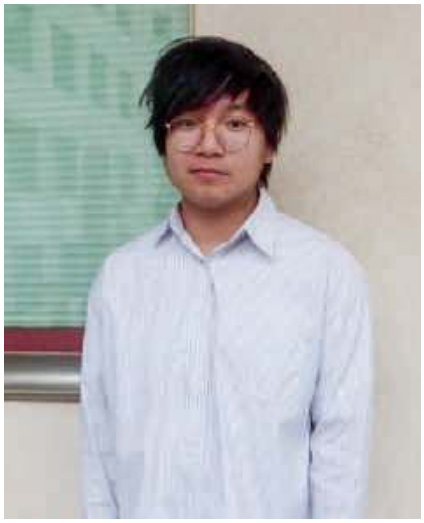

Kaman, doktorant na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Lotniczej na Uniwersytecie w San Diego. Choć dostał wizę na pięć lat, obawia się, że będzie miał problemy przy ponownym wjeździe do USA.

To, że nauka jest jego przeznaczeniem, wiedział już w wieku 16 lat, gdy zaczął studia na Chińskim Uniwersytecie Nauki i Technologii w Hefei. Wybór studiów doktoranckich w USA był dla niego czymś oczywistym. Możliwość prowadzenia badań na prestiżowej uczelni i wśród światowej sławy naukowców to spełnienie jego marzeń.

Tong mówi, że jego przygotowania do wyjazdu do Stanów skomplikowały się wraz ze złożeniem wniosku o wizę. Choć nie obowiązywały jeszcze restrykcje, nie miał szans na pięcioletnią wizę. Na decyzję amerykańskiej ambasady wpływ mógł mieć fakt, że chłopak chciał robić w Stanach doktorat z fizyki.

Jak mówi Anke Schennink, szefowa stowarzyszenia zagranicznych naukowców na Uniwersytecie Kalifornijskim, restrykcje wizowe dla osób chcących robić badania w Stanach to nie nowość. Naukowcy zajmujący się takimi dziedzinami jak technologia jądrowa, fizyka, inżynieria czy biotechnologia od lat napotykali trudności w trakcie procedury wizowej. Według wytycznych amerykańskiej służby dyplomatycznej, wnioski naukowców zajmujących się tzw. badaniami strategicznymi z punktu widzenia interesu i bezpieczeństwa USA mogą być poddane dodatkowej kontroli.

– W amerykańskich procedurach wizowych najbardziej denerwuje mnie nieprzewidywalność – mówi Tong. – Niektórzy naukowcy zajmujący się podobnymi zagadnieniami dostają wizę na pięć lat. Inni, tak jak ja, otrzymują wizy tylko na rok. Najciekawsze jest to, że podczas rozmowy w ambasadzie dostałem tylko standardowe pytania. Nawet nie mówiłem, czym konkretnie zajmuję się naukowo.

– Wielu chińskich badaczy emocjonuje się wprowadzonymi w zeszłym roku restrykcjami – opowiada dalej Tong. – Dla mnie to nic nowego. Po prostu jeszcze większa grupa studentów i badaczy będzie miała trudności z uzyskaniem długoterminowej wizy.

Największą cenę, jaką chłopak musi zapłacić za doktorat w Stanach, jest rozłąka z rodziną. W Chinach ostatni raz był w grudniu 2017 r. Nie wie, czy przed ukończeniem studiów jeszcze tam wróci. Jego amerykańska wiza straciła ważność. Co prawda na czas trwania studiów ma prawo do pobytu w USA, ale nie może podróżować za granicę. A bez aktualnej wizy nie będzie mógł wrócić na terytorium Stanów.

– Boję się, że jeśli wrócę do Chin, utknę na dłużej. Niektórzy moi znajomi na przyznanie nowej wizy czekali nawet półtora miesiąca. Nie mogę pozwolić sobie na taką przerwę w badaniach – mówi 22-latek.

Trudny powrót

Xiu, 29-latka z Pekinu, przyjechała do USA półtora roku temu. Choć pracuje w kalifornijskim Sanford Consortium – prestiżowym instytucie zajmującym się badaniem komórek macierzystych – nie ma zbyt wielu okazji do rozmów po angielsku. Jej współpracownicy to głównie Chińczycy.

Gdy w sobotę rano umawiamy się na rozmowę na Skypie, Xiu jest już w laboratorium. Mówi, że pracuje tu w każdy weekend, bo nie ma czasu do stracenia. Do Stanów przyjechała tylko na dwa lata, a nie – jak wielu naukowców – na pięć. Xiu nie może zostać na dłużej, bo ma w Chinach męża.

– Mój mąż, Zhang, jest lekarzem w jednym z pekińskich szpitali i nie mógł pozwolić sobie na wyjazd za granicę – tłumaczy. – Gdy dostałam decyzję o przyjęciu na staż naukowy w Stanach, na początku nie chciał zgodzić się na tak długą rozłąkę. Wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo, bo między Kalifornią a Pekinem jest 16-godzinna różnica czasu. Na co dzień zwykle się mijamy. Gdy wracam wieczorem do domu, on idzie rano do pracy. Gdy ja docieram do laboratorium, on kładzie się już spać.

Jednak Xiu nie żałuje swojej decyzji. – Wyjazd do Stanów to dla mnie niepowtarzalna szansa – tłumaczy dziewczyna, która w Chinach zajmowała się medycyną kliniczną. Dopiero w USA zaczęła robić badania z biologii molekularnej.

Po powrocie do Chin chciałaby kontynuować pracę naukową w tej dziedzinie. Jednak w wielu chińskich jednostkach badawczych brakuje tak dobrej aparatury, jaka jest w Stanach. Jeśli nie uda jej się zdobyć dodatkowych środków na badania, wróci do medycyny klinicznej.

Jest jedna rzecz, z której Xiu nie chce zrezygnować. Podczas pobytu w USA pokochała kalifornijskie słońce i marzy jej się przeprowadzka do cieplejszego od Pekinu miasta Guangzhou. Ma nadzieję, że tym razem namówi męża do zmiany.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Imię jednego z bohaterów zostało zmienione.

REPUBLIKA JEDNODNIOWA

80 lat temu, 15 marca 1939 r. powstała – i upadła – niepodległa Ukraina Karpacka, zalążek państwa ukraińskiego. Nie miała szans: w osuwającej się w kolejną wojnę Europie nie było miejsca na taki kraj.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

WOJCIECH KONOŃCZUK

Feldivék (Górny Kraj), Felsö-Magyarország (Górne Węgry), Kárpatálja, Ruś Podkarpacka, Karpacka, Zakarpacka, Karpato-Ukraina, Ukraina Karpacka, obwód zakarpacki Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej i wreszcie obwód zakarpacki Ukrainy... Wiele nazw regionu, który dopiero w XX w. został wyodrębniony administracyjnie, a później – politycznie. Przedtem był to szereg węgierskich komitatów (hrabstw, powiatów), których granice na ogół wybiegały poza obecny obszar Zakarpacia; dwie pierwsze nazwy węgierskie oznaczały także ziemie obecnej Słowacji.

Skąd się wzięło Zakarpacie

Dzisiejsze Zakarpacie przez tysiąc lat należało do Królestwa Węgier. Z początku było niemal bezludne (oprócz równinnego pasa na południu). We wczesnym średniowieczu nikt nie chciał się osiedlać w wysokich, lesistych, niedostępnych górach. Nie było zresztą takiej potrzeby. Dopiero z czasem w góry napływa ludność ruska (ukraińska we współczesnym rozumieniu).

Największy zakres tej kolonizacji (zorganizowanego procesu osadniczego, racjonalnej działalności gospodarczej) nastąpił na przełomie wieków XIV i XV, gdy właścicielem części Zakarpacia został podolski kniaź Fedor Koriatowycz, który miał

Otwarty w 2017 r. cmentarz na Przełęczy Wereckiej w Bieszczadach Wschodnich. Według strony ukraińskiej spoczywają na nim żołnierze Siczy Karpackiej, rozstrzelani przez Polaków wiosną 1939 r. Jednak żadnej z pochowanych tu osób nie zidentyfikowano, a większość krzyży ma charakter symboliczny. Listopad 2017 r.

tu sprowadzić aż 40 tys. osadników z północnej strony grzbietu Karpat. Ale i on osadzał nowe wsie głównie na skraju równiny. Podolanie, których sprowadzał, nie umieliby gospodarować w górach: te zaczęto kolonizować dopiero parę pokoleń później, w dużej mierze przybyszami z innych stron. Ale do dziś ukraińskie gwary Zakarpacia są bliższe podolskim niż galicyjskim.

W pierwszej połowie XX w. (wcześniejsze dane są nieporównywalne ze względu na inny podział administracyjny) na czechosłowackim już Zakarpaciu mieszkało nieco ponad 700 tys. ludzi. 62 proc. z nich stanowili Rusini/Ukraińcy, 16 proc. Węgrzy, 13 proc. Żydzi, 5 proc. Czesi, resztę zaś Rumuni, Niemcy i Słowacy. Rusini mieszkali na właściwym (górskim) Zakarpaciu (gdzie Węgrzy byli bardzo nieliczni), Węgrzy na południu (gdzie z kolei Rusinów praktycznie nie było), Żydzi w miastach i miasteczkach (więc także głównie na południu). Czesi byli bez wyjątku imigrantami, przybyłymi po 1919 r.: funkcjonariuszami państwa czechosłowackiego oraz osadnikami rolnymi.

Czas samookreślenia

Dawni słowiańscy mieszkańcy Zakarpacia zwali się Rusinami. Podobnie jak wschodniosłowiańscy mieszkańcy Galicji, Podola, Naddnieprza. Samookreślenie „Ukrainiec" pojawia się dopiero w XIX w. jako wehikuł nowoczesnej świadomości narodowej, budującej odrębność przede wszystkim od Rosji oraz rosyjskości.

W ślad za rozszerzaniem określenia „Ukraina" na kolejne ziemie – bo początkowo Ukrainą były ziemie naddnieprzańskie, w odróżnieniu m.in. od Podola i Wołynia – było ono przyjmowane w kolejnych regionach (szybciej na ziemiach Imperium Rosyjskiego niż Austro-Węgier). Nie bez oporów: w polskich Bieszczadach do 1947 r. była co najmniej jedna wieś, której mieszkańcy świadomie określali się jako Rusini, a nie jako Ukraińcy (podwójne samookreślenie, zaznaczające dwoistość identyfikacji tradycyjnej i narodowej, było do II wojny światowej dość powszechne).

Zakarpacie i Łemkowszczyzna były najdalszym kresem ukraińskiego obszaru etnicznego na zachodzie. To, że tamtejsze gwary – podobnie jak polski zespół gwar łemkowskich – należą do kontinuum gwar ukraińskich, nie budzi żadnych wątpliwości. Jednak brakowało wspólnego imaginarium symbolicznego: przed rokiem 1944 Zakarpacie nie dzieliło wspólnego losu z innymi ziemiami ukraińskimi, nie miało wspólnych struktur kościelnych, centrów ciążenia kulturowego etc.

Jednak i ta najbardziej zacofana część Królestwa Węgierskiego – które było odrębnym państwem w ramach monarchii Habsburgów, zresztą znacznie mniej demokratycznym od Cesarstwa Austriackiego i prowadzącym znacznie surowszą politykę wobec mniejszości narodowych – podlegała modernizacji. A rodząca się inteligencja pragnęła także języka narodowego.

W Galicji w drugiej połowie XIX w. powstało tzw. *jazyczje*, próba modernizacji języka cerkiewnosłowiańskiego – języka liturgicznego, zakrzepłego w formach z pierwszego tysiąclecia – przez wprowadzanie elementów współczesnego rosyjskiego i karpackich elementów gwarowych. Był to język książkowy, twór z początku dość pokraczny – sama jego nazwa, którą można przełożyć jako „mówsko", była ironiczna, jeśli nie pogardliwa.

W Galicji *jazyczje* szybko ustąpiło literackiemu językowi ukraińskiemu – wraz z załamaniem się ruchu rusofilskiego, który go rozwijał. Ale na Zakarpaciu było w użyciu do 1944 r. – i to całkiem nieźle rozwinięte. Zwano je językiem ruskim.

Gdyby po II wojnie światowej kraina ta pozostała w granicach Czechosłowacji, jej komunistyczne władze mogłyby postawić nań jako na narzędzie indoktrynacji – i rozbudować do rangi pełnoprawnego języka, zdolnego obsługiwać wszystkie sfery życia społecznego. Zresztą próbowały – wśród niezbyt licznych Rusinów na Słowacji (zarzuciły ten projekt dopiero w 1953 r.).

Rusini czy Ukraińcy

Ukraińska idea narodowa zaczęła docierać na Zakarpacie na dobrą sprawę dopiero w okresie międzywojennym. Wcześniej zaczęła się kształtować idea narodowości ruskiej (rusińskiej, uhroruskiej, karpatoruskiej). W okresie międzywojennym ta pierwsza zaczęła zyskiwać przewagę, przynajmniej w środowiskach wykształconych – nie bez związku z niechęcią wobec niej zarówno ze strony rządu w Pradze, jak też ze strony Kościoła prawosławnego, rozwijającego się w tym czasie na Zakarpaciu, a kierowanego przez uchodźców z Rosji, więc zdecydowanie antyukraińskiego. A także w związku z rozwojem i radykalizacją idei nacjonalistycznych w ówczesnej Europie.

Po aneksji Zakarpacia przez Związek Sowiecki w 1944 r. „rusińska idea" była zdecydowanie zwalczana, a propagujące ją elity zostały wytępione lub wypędzone. Mimo to nie zamarła zupełnie: w 2001 r. podczas spisu powszechnego narodowość rusińską (odrębną od ukraińskiej) zadeklarowało tutaj ok. 10 tys. osób.

Ludzi przeżywających tę tożsamość było i jest zapewne więcej. Jednak o ile więcej, nie mamy szans się dowiedzieć: w kraju o silnej oficjalnej tożsamości narodowej mniejszości zwykle unikają publicznego deklarowania swej tożsamości. Nawet w sondażach, a może – zwłaszcza w sondażach. I nie jest to osobliwość współczesnej Ukrainy.

W dodatku „kwestia rusińska" była przez jakiś czas (i ponownie może się stać) instrumentem walki lokalnych klanów oligarchicznych o poszerzenie praw regionu aż do granic autonomii, a nawet poza nie. Ale to już inna historia.

Papierowa Ruska Kraina

Wobec rozpadu monarchii Habsburgów jesienią 1918 r., także elity zakarpackie – wspierane przez zamożniejsze i lepiej zorganizowane ośrodki diaspory z USA – zaczęły się domagać samodzielności. Rywalizowały dwie koncepcje: niepodległości lub pozostania w składzie Węgier jako autonomiczna prowincja. O przyłączeniu do rodzącego się państwa ukraińskiego nikt poważnie nie myślał.

Owszem, w listopadzie 1918 r. grupa działaczy huculskich powołała Republikę Huculską z ośrodkami w Chuście (postulowanym) i Jasini (rzeczywistym), deklarując wolę przystąpienia do Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZUNR), ale był to epizod bez żadnego znaczenia. Podobnie bez znaczenia pozostała deklaracja o zjednoczeniu z ZUNR grupy proukraińskich działaczy zakarpackich, ogłoszona w styczniu 1919 r. Władze ZUNR zgłaszały wprawdzie pretensje także do Zakarpacia, ale nie miały możliwości, aby po nie ↦

sięgnąć. Zresztą nie potrzebowały nowego frontu: wojna z Polską była priorytetem bezwzględnym, od jej wyniku zależało przetrwanie państwa.

12 grudnia 1918 r. rząd węgierski powołał autonomiczną Ruską Krainę, a na początku stycznia 1919 r. mianował jej zarząd i przeprowadził wybory, zignorowane przez większość mieszkańców. Budapeszt nie określił jednak granic Krainy – być może celowo, gdyż można wątpić, aby miały znaleźć się w niej czysto węgierskie miasta Użhorod (węg. Ungvar), Mukaczewo (Munkacs) czy Berehowe (Bereg-Sas).

Zwycięska opcja czeska

Jednak w marcu socjaldemokratyczny rząd Węgier upadł, a władze przejęli lokalni bolszewicy. Węgierska Republika Sowietów przetrwała do sierpnia, zlikwidowana przez wojska rumuńskie i czechosłowackie. Walki te w niewielkim stopniu dotknęły Zakarpacia, ale miały skutek polityczny: opcja węgierska się załamała.

Pojawił się natomiast nowy gracz, nowa oferta: młode państwo czeskie (bo tak naprawdę to zawsze było państwo Czechów, a nie Czechów i Słowaków) – lokalne mocarstwo przemysłowe i potęga wojskowa, silne poparciem Francji. I właśnie ta opcja, poparta przez karpatoruskie ośrodki w USA, zyskała przewagę.

Jednak o losie Zakarpacia nie zdecydowano wtedy na polu bitwy. Rozstrzygnęła Ententa, w marcu 1919 r. (jeszcze przed stłumieniem rewolucji węgierskiej), a jej decyzję potwierdził w czerwcu 1920 r. traktat pokojowy z Trianon (między Węgrami i zwycięzcami I wojny światowej): Zakarpacie zostało przekazane Czechosłowacji.

Celem tego zabiegu było – z punktu widzenia Ententy – osłabienie Węgier. W tym także pozbawienie ich granicy czy to z przyszłą Rosją (w tym czasie wciąż liczono się z powrotem „białej" Rosji do Galicji Wschodniej), czy to z Polską, a także zapewnienie wspólnej granicy dwojga sojuszników Francji: Czechosłowacji i Rumunii. Czysta geopolityka.

Aby jednak było to możliwe, konieczna była łączność Pragi z Chustem (najdalej na zachód wysuniętym miastem Zakarpacia). Linia kolejowa Zwolen – Koszyce – Użhorod – Chust i dalej do granicy rumuńskiej musiała przypaść Czechom, choć na niemal całej trasie biegła przez tereny czysto etnicznie węgierskie. Nie było alternatywy: ówczesne państwo, ówczesna wojskowość nie mogły funkcjonować bez kolei.

> Na Ukrainie powracają zarzuty, że kilkuset żołnierzy Siczy Karpackiej **zostało rozstrzelanych przez polski KOP.** Jednak rzekome dowody, przytaczane przez historyków i publicystów, nie są nawet porządnymi poszlakami.

Krótka autonomia...

Po traktacie w Trianon po raz pierwszy wytyczono granicę między Zakarpaciem i Słowacją. Z minimalnymi retuszami przetrwała do dziś.

Rządy czeskie przyniosły regionowi istotny postęp cywilizacyjny. Praga nie przyznała jednak Zakarpaciu obiecanej autonomii, starała się też hamować dojrzewanie ukraińskiego ruchu narodowego. Do pewnego stopnia skutecznie.

Dopiero w październiku 1938 r., gdy państwo czechosłowackie załamywało się, narodowcy zakarpaccy ogłosili autonomię, którą Praga musiała zaakceptować. Rozpoczęli też formowanie własnych sił zbrojnych, nazwanych Karpacka Sicz. Tu główną rolę odegrało kilkuset przybyłych z Polski aktywistów Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), wnoszących nie tylko doświadczenie organizacyjne, ale i nieznaną tu dotychczas formułę radykalnego nacjonalizmu. Natomiast w cywilnych władzach autonomii do końca dominowali umiarkowani ukraińscy narodowcy.

Na początku listopada 1938 r. Węgry anektowały południe Zakarpacia z głównymi miastami. Potem nastąpił okres względnego spokoju. Wojska czechosłowackie (w sile dwóch dywizji) nie przeszkadzały szkoleniu Siczy Karpackiej, która osiągnęła liczebność 2 tys. ludzi, z czego może połowa była jako tako uzbrojona. Jej dowódcą był jeden z ideologów OUN Mychajło Kołodzinskyj (zginie wiosną 1939 r., rozstrzelany przez Węgrów), a szefem sztabu Roman Szuchewycz (przyszły dowódca UPA).

Chyba wszyscy rozumieli, że taka sytuacja nie może trwać długo. Zakarpacie pragnęło niepodległości. Ale nikt inny nie życzył sobie nowego państwa, komplikującego sytuację w przededniu nieuniknionej już wojny. Węgry z oczywistych względów dążyły do opanowania całego Zakarpacia, podobnie jak innych ziem utraconych po Trianon – i miały w tym poparcie Niemiec.

Z równie oczywistych względów Polska nie chciała mieć za południową granicą ośrodka ukraińskiej irredenty, zagrażającego bezpieczeństwu w Galicji Wschodniej. Ponadto w interesie Warszawy było osiągnięcie wspólnej granicy z Węgrami – czyli skrócenie południowego ramienia kleszczy oskrzydlających Polskę. Było bowiem wiadome, że Węgry nas nie zaatakują. Stąd podjęta jesienią 1938 r. przez polski wywiad antyczeska akcja dywersyjna na Zakarpaciu (tzw. Akcja „Łom"), wymierzona głównie w infrastrukturę komunikacyjną.

...i chwilowa niepodległość

Gra III Rzeszy była bardziej skomplikowana.

Berlin wspierał ukraiński ruch nacjonalistyczny w Polsce i Czechosłowacji, a powstanie proniemieckiego państewka ukraińskiego odpowiadało niemieckim interesom wojskowym, umożliwiając odcięcie Polski od Rumunii już w pierwszych dniach planowanego najazdu. Z drugiej jednak strony powstanie takiego państewka utrudniłoby, jeśli nie uniemożliwiło porozumienie ze Związkiem Sowieckim, które pod koniec 1938 r. musiało być już w Berlinie poważnie rozważane.

Ostatecznie Hitler zezwolił Węgrom na zajęcie całego Zakarpacia w momencie likwidacji państwa czechosłowackiego.

14 marca 1939 r. rozpoczęły się walki czesko-węgierskie. W Chuście, centrum Ukrainy Karpackiej, Czesi zaatakowali też formacje Siczy. Po obu stronach padło kilkudziesięciu zabitych. Wieczorem czeskie dowództwo otrzymało rozkaz odwrotu: ich oddziały miały odejść na Słowację, a jeśli byłoby to niemożliwe – do Polski i Rumunii.

Następnego dnia Niemcy zajęli Pragę, a Węgrzy zdecydowanie ruszyli na północ. Ukraińskie oddziały Siczy Karpackiej stawiły im opór, były jednak bezsilne wobec przewagi liczebnej i technicznej (arty-

ZBIORY AUTORA X2

Z lewej: brama triumfalna z napisem „Kochaj Ukrainę swą / kochaj ją w surowy czas", Zakarpacie, 1938 r.
Z prawej: węgierskie tankietki wkraczają do Chustu, centrum ukraińskiego państwa zakarpackiego, marzec 1939 r. Zdjęcie z magazynu „Life".

leria, broń pancerna, lotnictwo). Do najcięższych walk doszło na Krasnym Polu na zachód od Chustu (Sicz straciła tam 230 zabitych i 450 jeńców), a potem w samym mieście.

Ten opór, choć krótkotrwały, dał czas władzom autonomii na formalne ogłoszenie niepodległości Ukrainy Karpackiej. Ale już następnego dnia, 16 marca, jej władze musiały ewakuować się do Rumunii. Dzień później ustał zorganizowany opór Siczy, choć niektóre oddziały partyzanckie przetrwały do jesieni 1940 r.

Ukraińcy ponieśli całkowitą klęskę. Stracili około tysiąca poległych i ponad tysiąc rozstrzelanych przez Węgrów już po ustaniu walk (Rumuni wydali Węgrom większość siczowników, szukających u nich schronienia). Struktury Siczy przestały istnieć. Czesi stracili ok. 70 zabitych, a Węgrzy według danych oficjalnych (raczej zaniżonych) 74 zabitych. Po krótkiej, brutalnej okupacji Węgry oficjalnie anektowały region 23 czerwca 1939 r., zaprowadzając rządy cywilne.

Pokłosie

Jesienią 1944 r. na Zakarpacie wkroczyła armia sowiecka. Po krótkotrwałej próbie przywrócenia administracji czechosłowackiej Moskwa przyłączyła region do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej (jako osobny obwód). Zapewne głównie po to, aby osłabić Czechosłowację i zapewnić Związkowi Sowieckiemu granicę z Węgrami.

Pozostała legenda. Przede wszystkim w ukraińskich środowiskach nacjonalistycznych, które chętnie uważają te wydarzenia za „prawdziwy" – czy też tylko ukraiński – początek II wojny światowej. Na pewno był to początek walki zbrojnej OUN, trwającej do 1952 r.

Ale obok tej heroicznej i straceńczej legendy zostało coś jeszcze. Powracające co parę lat na Ukrainie zarzuty, że część siczowników, wydanych przez Węgrów w nasze ręce, została rozstrzelana przez Korpus Ochrony Pogranicza, w górach na granicy. Ponoć miało być ich kilkuset.

Jednak przytaczane przez ukraińskich historyków i publicystów dowody nie są nawet porządnymi poszlakami. To relacje z drugiej i trzeciej ręki (także polskie), naciągane interpretacje zdjęć i danych z ekshumacji, natomiast bardzo mało twardych faktów.

To, że Węgrzy masowo rozstrzeliwali pojmanych siczowników (i innych aktywistów ukraińskich), jest faktem ogólnie znanym. To, że jakaś grupa jeńców została przekazana Polakom, także jest faktem – do obozu w Berezie Kartuskiej trafiło ich ok. 40. Tego, że patrole KOP-u mogły mordować Ukraińców przekradających się do Polski pojedynczo lub małymi grupkami, nie można wykluczyć: potwierdzają to także polskie relacje, nieliczne i zawsze pośrednie.

Ale masowy mord o takiej skali, jaka pojawia się w ukraińskiej publicystyce (i czasem w przemówieniach polityków) – mowa jest o kilkuset zamordowanych – po prostu nie dałby się ukryć w demokratycznym kraju, jakim była II Rzeczpospolita. To jeszcze nie był czas wojny, zachwiania moralnego i zamętu informacyjnego.

Tymczasem w 2017 r. na Przełęczy Wereckiej w Bieszczadach Wschodnich władze obwodu lwowskiego (a nie zakarpackiego) uroczyście otwarły cmentarz żołnierzy Siczy Karpackiej, rzekomo zamordowanych przez Polaków [na zdjęciu na stronie 56 – red.].

Pochowano tam 22 ciała ekshumowane z trzech zbiorowych mogił (żadnego z nich nie zidentyfikowano), ale postawiono nad nimi ok. 70 indywidualnych krzyży. A na tablicach pamiątkowych wymieniono liczbę 600 zamordowanych.

Tyle na temat rzetelności tej narracji.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Autor jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Opublikował kilka książek oraz liczne opracowania i artykuły na temat dziejów Ukrainy i Europy Środkowej w wiekach XIX i XX, a także obecnej sytuacji na Ukrainie.

W TRYBIE STYMULACJI

Postanowiłem odmienić swoje życie i przystąpiłem do testu trybów poznawczych. Wynik? Mogło być gorzej, ale tylko trochę.

ŁUKASZ KWIATEK

W internecie roi się od testów psychologicznych, które mają pomóc lepiej poznać samego siebie, pokonać własne ograniczenia i pomóc w osiągnięciu sukcesów i poczucia spełnienia. Wiele z nich powstało na obrzeżach nauki. W szerokim pasie „ziemi niczyjej" pomiędzy badaniami z zakresu psychologii różnic indywidualnych (lub neuronauki) a pseudonauką, zagospodarowanym przez trenerów rozwoju osobistego, gdzie panuje metodologiczna anarchia i od nikogo nie wymaga się okazania empirycznego dowodu.

Niektóre testy odwołują się do idei stylu poznawczego, czyli preferowanego sposobu wykorzystywania własnych zdolności umysłowych. Dyskusja o różnych kategoriach stylów – nie tylko poznawczych, ale także radzenia sobie ze stresem czy uczenia się – przetoczyła się przez psychologię w drugiej połowie XX w. i zaowocowała wieloma klasyfikacjami oraz bogactwem narzędzi (kwestionariuszy) pozwalających identyfikować style u osób badanych. Podobne metody przeniknęły do popkultury, mutowały i pochłaniały elementy pochodzące często z odmiennych tradycji teoretycznych.

Style nie do oceny

Jeśli chodzi o style poznawcze (style myślenia), klasyfikacje opracowane przez psychologów dotyczą m.in. sposobów radzenia sobie z problemami. Możemy np. podchodzić do nich bardziej analitycznie i przykładać wagę do konkretów, albo raczej całościowo i skupiać się na abstrakcyjnych schematach. Możemy mierzyć się z nimi metodą prób i błędów, albo systematycznie, krok po kroku. Możemy woleć chłodną kalkulację bądź zdawać się na intuicję. Możemy stosować się do reguł czy instrukcji ustalonych przez kogoś innego bądź je łamać, modyfikować czy tworzyć własne, itd.

Co istotne, style poznawcze odróżniają się od innych konstruktów psychologicznych, takich jak choćby inteligencja, wielobiegunowością. W przypadku inteligencji więcej zawsze oznacza lepiej. Style – przynajmniej co do zasady – nie podlegają wartościowaniu. Do problemów można podchodzić na różne sposoby – zwykle rodzaj problemu i kontekst sytuacyjny decydują o tym, który z tych sposobów jest bardziej skuteczny. Należy też odróżnić preferencję dotyczącą stylu od skuteczności posługiwania się nim. Po pierwsze, posiadanie preferencji w kierunku danego stylu nie oznacza, że tylko nim umiemy się posługiwać. Jeżeli w konkretnym zadaniu otrzymamy instrukcję wymagającą posłużenia się innym stylem, najprawdopodobniej będziemy w stanie to zrobić. Ale sami spontanicznie wybierzemy inny. I raczej trudno będzie się nam całkowicie przestawić na inny. Po drugie, nie każdy równie dobrze posługuje się preferowanym stylem (oraz pozostałymi) – tutaj wchodzimy już na obszar zróżnicowanych umiejętności.

Dwie półkule

Chyba najczęściej spotykanym w internecie testem nawiązującym do stylów poznawczych jest ten dotyczący dominacji określonej półkuli mózgowej. Możemy go rozwiązać np. na stronie www.openpsychometrics.org. Zbudowany jest podobnie jak wiele innych: wskazujemy na pięciostopniowej skali, czy zgadzamy się z wyświetlonym zdaniem (1 – bardzo się nie zgadzam, 5 – bardzo się zgadzam).

Czytam instrukcję i klikam „start". Przede mną 24 zdania. Na przykład: „Nie potrzebuję pochwał ze strony innych", „Nigdy się nie spóźniam", „Rzadko płaczę podczas smutnych filmów", „Podejmuję decyzje w oparciu o fakty, nie uczucia", „Cenię logikę nad wszystko inne", „Wolę zajęcia z matematyki od lekcji poezji".

Zaznaczam odpowiedzi, a strona wyświetla mój wynik – niewielką dominację lewej półkuli. Czyli tej rzekomo odpowiedzialnej za logikę, krytyczne myślenie, rozumowanie czy posługiwanie się liczbami. Prawa, z którą według wyników testu mogę mieć jakiś problem, ma się zajmować rozpoznawaniem twarzy, muzyką, odczytywaniem emocji, wyobraźnią, kreatywnością czy intuicją.

Wynik mnie nie zmartwił – autorzy serwisu zapewniają, że wszelkie testy dominacji półkul są naukowo zdyskredytowane. Odwołują się co prawda do zjawiska lateralizacji, czyli specjalizacji półkul w pełnieniu określonych funkcji, ale specjalizacja ta nijak ma się do wymienio-

DIEGO DIAZ / ICON SPORTSWIRE / GETTY IMAGES

Marsz dla Nauki w Portland (USA), kwiecień 2018 r.

nych wyżej obszarów – dotyczy bowiem bardziej subtelnych niuansów funkcjonowania poznawczego. Kreatywność, zdolności matematyczne czy wyobraźnia zależą od współdziałania wielu obszarów mózgu, zlokalizowanych w obu półkulach. Trudno więc mówić o dominacji którejś z półkul u danej osoby, a tym bardziej niedostatecznym wykorzystywaniu jednej z nich. Nawet jeśli ktoś truchleje na widok całki nieoznaczonej, ale za to kocha poezję Szymborskiej.

Historyczne korzenie mitu o półkulowej dominacji sięgają badań Rogera Sperry'ego i jego ucznia Michaela Gazzanigi nad zwierzętami oraz pacjentami z tzw. rozszczepionym mózgiem (chirurgicznie przeciętym spoidłem wielkim, czyli wiązką połączeń nerwowych pomiędzy półkulami). Na co dzień pacjenci Sperry'ego i Gazzanigi funkcjonowali normalnie, ale w warunkach laboratoryjnych przejawiali niezwykłe zachowania – np. nie zdawali sobie sprawy z tego, że do jednej z półkul trafiła jakaś informacja (np. polecenie: podrap się po policzku, wyświetlone tylko w obszarze widzenia jednego oka) i półkula ta mogła wysłać sygnały (do przeciwległej strony ciała), zupełnie nieoczekiwane dla drugiej półkuli. W efekcie pacjenci nie byli w stanie wyjaśnić wywołanego w ten sposób zachowania.

Badania te przeszły do historii neuronauki i słusznie uhonorowane zostały Nagrodą Nobla (dla Sperry'ego). Nie uzasadniają one jednak mitu o zróżnicowaniu ludzi pod kątem dominacji konkretnej półkuli. Przeprowadzono je na pacjentach – osobach z lekooporną padaczką, u których w dodatku (częściowo) oddzielono operacyjnie obie półkule. Wszyscy pozostali ludzie mają nienaruszone spoidło wielkie, które pozwala półkulom swobodnie się komunikować i wpływać na zachowanie. Mało tego – w tych testach nie pada nawet podstawowe pytanie, czy jestem lewo-, czy praworęczny, a to często odzwierciedla lokalizację pewnych asymetrycznych ośrodków mózgowych.

Krótko mówiąc: nie wiadomo, co mierzy test dominacji półkul – prawdopodobnie nic konkretnego i dającego się zanalizować. Z całą pewnością nie mierzy aktywności żadnej części mózgu.

Mózg górny i dolny

Mając to wszystko na uwadze, z wahaniem wziąłem do ręki wydaną niedawno w Polsce książkę „Górny mózg, dolny mózg" Stephena Kosslyna i G. Wayne'a Millera. Jej autorzy też dzielą mózg na dwie części (dolną i górną), proponują test, który zmierzy tendencję do wykorzystywania obu części i na tej podstawie przypisze mi jeden z czterech głównych stylów (w ich nomenklaturze: trybów) poznawczych. Oczywiście po to, bym poznał swoje mocne i słabe strony i zaczął lepiej radzić sobie w życiu. Brzmi to wszystko nieprzyjemnie znajomo.

Książkę pewnie odłożyłbym na miejsce, gdyby nie postać pierwszego autora (drugi jest dziennikarzem). Stephen Kosslyn to jedna z legend psychologii i neuronauki poznawczej. Na przełomie lat 70. i 80. zasłynął jako jeden z pionierów psychologicznych badań nad wyobraźnią, później zajmował się ich mózgowym podłożem. ↦

↦ Jego publikacje miały ponad 55 tys. cytowań – w ostatniej dekadzie co roku cytowane były 2-3 tysiące razy.

Już na początku książki autorzy, nie wdając się w dogłębne wyjaśnienia, zachęcają do wykonania testu. Cóż – przystaję na to ze względu na autorytet Kosslyna. Przede mną 20 zdań, z którymi, tak jak wcześniej, mam się zgodzić lub nie, korzystając ze skali 1-5.

„Kiedy patrzę na ogród, zwykle dostrzegam wzory, w jakie układają się rośliny i kwiaty". Nie wiem – chyba zbyt rzadko oglądam ogrody (zaznaczam 3).

„Kiedy podoba mi się pewien mebel, chciałbym wiedzieć, gdzie dokładnie będzie się znajdował w moim domu". Raczej nie (2) – podobają mi się meble, których nie mam zamiaru kupić.

„Bez problemu rozpoznaję rasy psów, które spotykam". Nie znam zbyt wielu ras psów (2) – czemu mnie nie pytają, czy rozpoznaję gatunki małp?

„Lubię patrzeć na ludzkie twarze i próbować odgadnąć, skąd pochodzą ich przodkowie". Wszyscy wywodzimy się z Afryki – bardziej interesuje mnie poprzednie 6 mln niż ostatnie 100 tys. lat, gdy część naszych przodków się z niej wyniosła (2).

„Lubię planować". No, nareszcie coś dla mnie (5).

Odpowiadam na pozostałe pytania i sprawdzam wynik: mam tendencję do głębokiego przetwarzania w górnym mózgu oraz tendencję do niekorzystania z głębokiego przetwarzania w mózgu dolnym. Mój tryb to tryb stymulacji – ale elastyczny. Jak czytam w opisie: „Ludzie posługujący się trybem stymulacji potrafią być kreatywni i oryginalni (to naprawdę o mnie!), ale nie zawsze wiedzą, kiedy powiedzieć dość – ich działania mogą być destrukcyjne i nie zawsze umieją oni odpowiednio dostosować swoje zachowanie do sytuacji, w której się znajdują". Aha.

Lepsze i gorsze tryby

Kosslyn i Miller bardzo starają się przekonać czytelników, że żaden z wymienionych przez nich czterech trybów nie jest obiektywnie lepszy niż inne, ale wychodzi im to tak sobie. Osoby, które myślą w trybie działania (głębokie wykorzystanie zarówno górnego, jak i dolnego mózgu), są w stanie tworzyć plany i wcielać je w życie, a także rejestrować wyniki swojego działania. Gdy coś idzie nie tak – potrafią modyfikować swoje plany. Nadają się na liderów. Tryb obserwatora (silnie wykorzystywany jest mózg dolny, ale nie górny) aktywuje się wtedy, gdy próbujemy zrozumieć, co postrzegają inni, jaki jest kontekst ich działań i jakie mają one implikacje. Obserwatorzy nie tworzą planów, ale dobrze doradzają. Ostatni tryb – adaptacji – cechuje tych, którzy nie tworzą planów i rzadko interpretują własne doświadczenia, ale potrafią skupić się na działaniu i bez trudu reagują na bieżące sytuacje (mózg dolny i górny wykorzystywany minimalnie).

Mózg górny odpowiada za opracowywanie i realizację planów, **mózg dolny** – za klasyfikację i interpretację bodźców.

Powyższe opisy oraz przedstawione przez autorów sylwetki osób (zarówno postaci historycznych, jak i fikcyjnych), które zdają się dobrze ilustrować działanie każdego z trybów, przekonują, że wszystkie tryby mają zalety i wady, ale trudno mi porzucić przekonanie, że te ostatnie najbardziej skumulowały się w trybie stymulacji. To ci ludzie (i ja!) popełniają największe gafy, przywiązują się do nieefektywnych planów i najsilniej frustrują tym, że coś im nie wychodzi. Nawet najbardziej bierny spośród trybów – adaptacji – powinien dostarczyć więcej radości. Raczej nie zostaniesz dyrektorem korporacji, ale możesz wieść idylliczne życie, w pracy robiąc po prostu swoje, a w weekendy relaksując się w przydomowym ogródku.

Na linii Sylwiusza

No dobrze. Nawet jeśli konsekwencje teorii trybów poznawczych nie bardzo mi się podobają (ta elastyczność to niewielkie pocieszenie), nie oznacza to jeszcze, że jest ona fałszywa. Na jej korzyść ma świadczyć kilka kwestii. Po pierwsze – neurobiologia. Podział na mózg dolny i górny dotyczy pewnych obszarów kory mózgowej. Ten pierwszy składa się z płata ciemieniowego i górnej części płata czołowego. Mózg dolny obejmuje niżej położone obszary płata czołowego (m.in. korę oczodołowo-czołową) oraz płaty skroniowe i potyliczne. Anatomicznie linia podziału częściowo pokrywa się z tzw. linią Sylwiusza (bruzdą boczną).

Przeprowadzona przez Kosslyna i współpracowników metaanaliza, czyli analiza wyników wielu badań neurokognitywnych (obejmujących prace z zakresu neuroobrazowania, konsekwencji uszkodzeń mózgu oraz krótkotrwałych skutków stymulacji mózgu), sugeruje, że mózg górny odpowiada przede wszystkim za opracowywanie i realizację planów, dolny zaś – za klasyfikację i interpretację bodźców (na podstawie wcześniejszych doświadczeń).

Autorzy zapewniają, że także sam kwestionariusz się broni. Uzyskiwane w nim wyniki nie korelują z wynikami osiąganymi w innych kwestionariuszach, np. w słynnej wielkiej piątce (kwestionariuszu cech osobowości wyznaczanych na pięciu osiach: neurotyczności, ekstrawersji, otwartości na doświadczenie, ugodowości i sumienności). Oznacza to, że kwestionariusz Kosslyna jest oryginalny – mierzy coś nowego. Żaden kwestionariusz nie jest oczywiście idealnym narzędziem badawczym, ale w nauce takich narzędzi po prostu nie ma.

Ponadto cała teoria ma mieć sens praktyczny – pewne eksperymenty sugerują np., że przypisanie osobom o konkretnych trybach poznawczych określonych ról w zespole pozwala całej grupie osiągać lepsze rezultaty. Trudno jednak rozstrzygnąć, na ile identyfikacja własnego trybu poznawczego pomaga w osiąganiu indywidualnego sukcesu. Nie jest jasne, w jakim stopniu mógłbym zmienić swój tryb – np. porzucić nieszczęsną stymulację na rzecz obserwacji. Autorzy nie obiecują takiej możliwości (różnice indywidualne są raczej stałe) – twierdzą jednak, że mógłbym się przynajmniej lepiej nauczyć korzystać z innych trybów i przełączać na nie w określonych sytuacjach.

Teoria zakłada, że tryby są przynajmniej częściowo zdeterminowane genetycznie. Z ciekawości poprosiłem dwie swoje siostry o wykonanie testu – uzyskały niemal identyczne wyniki jak ja. Oczywiście trudno uznać, że to cokolwiek w kontekście wrodzoności trybów rozstrzyga – podobnie jak trudno uznać, że cokolwiek definitywnie rozstrzyga o prawdziwości całej teorii Kosslyna. Mimo interesujących podstaw tej teorii, do jej oceny potrzeba bez wątpienia znacznie większej liczby badań.

Ale jeśli ktoś szuka takich poradników, to na pewno lepiej będzie, jeśli sięgnie po książkę Kosslyna, niż gdyby miał się uciekać do testu dominacji półkul. Ten z całą pewnością jest fałszywy.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

REKLAMA

Kraków

19. DNI TISCHNEROWSKIE
KRAKÓW, 27-30 MARCA 2019

ORGANIZATORZY:
UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE
znak
FUNDACJA KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ „ZNAK"
Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie
INSTYTUT MYŚLI JÓZEFA TISCHNERA
Akademia Sztuk Teatralnych

www.tischner.pl
fb.com/dni.tischnerowskie

CZŁOWIEK. NOWE WYZWANIA

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

WSPÓŁORGANIZATORZY:
ERGO HESTIA
100 LAT AGH

PARTNERZY:
WYŻSZA SZKOŁA EUROPEJSKA IM. KS. JÓZEFA TISCHNERA
De Revolutionibus Books&Café
TYGODNIK POWSZECHNY
RADIO KRAKÓW
ZNAK MIESIĘCZNIK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Gdybym nagle miał wziąć do swojego mieszkania dwie osoby, które mówią źle po polsku, których nie znam, które się wszystkim wyróżniają, których prawdopodobnie za chwilę moi sąsiedzi zidentyfikują – i za to zostanie zabita moja żona i mój 7-letni syn? Nie umiem sobie poradzić z taką sytuacją.

Adam Michnik, O czym nie lubią pamiętać Polacy i Żydzi

pamięć leczy rany
Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska" do kupienia w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

WSPÓŁWYDAWCA
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA
Kraków
CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY
znak
GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM
AUSTERIA

ŻYCIE PO POTOPACH

JERZY HOFFMAN, REŻYSER:

Gdybym wszystkie filmy kręcił w warunkach kapitalizmu, byłbym dzisiaj jednym z najbogatszych ludzi w Polsce. „Trylogia", „Trędowata", „Znachor" – nazbierałoby się tego trochę!

KALINA BŁAŻEJOWSKA: W polskim kinie „Hoffman" znaczy „rozmach", pomyślałam więc, że zapytam Pana o rzeczy największe.

JERZY HOFFMAN: Największy to miałem w życiu fart. Jak mawia mój przyjaciel Wiktor Zborowski, gdy podnosi kieliszek: „Nie życzę wam zdrowia, bo na »Titanicu« wszyscy byli zdrowi. Nie życzę wam pieniędzy, bo na »Titanicu« wszyscy byli bogaci. Życzę wam fartu".

I ten fart miał Pan...

W decydujących momentach. Paradoksalnie wywózka na Syberię uratowała mi życie. Inaczej zginąłbym w Holokauście, tak jak większość mojej rodziny. Kiedy zdawałem do szkoły filmowej, okazało się, że komisji przewodniczy Stanisław Wohl, przyjaciel mojego ojca z frontu. Inaczej nigdy bym się nie dostał. Mam jedno jedyne dziecko, ale wspaniałe, i dwóch wnuków. A poza tym u schyłku życia spotkałem kobietę, przy której znajduję wyciszenie.

Największa duma?

Moja córka.

Widział Pan, jak ją zagrała Kate Winslet [Chodzi o film „Jobs"; Joanna Hoffman była jedyną kobietą w pionierskim zespole firmy Apple, kierowanej przez Steve'a Jobsa – KB]?

(*Uśmiecha się*) Oczywiście. Dobrze ją zagrała!

Córka jest Pana największą miłością?

Myślę, że tak. Ale gdybym powiedział, że jej narodziny były moją największą radością, tobym skłamał. Miałem 23 lata, byłem gówniarzem absolutnym, przynajmniej w pewnych kwestiach. Bardzo chciałem mieć syna. Jak zadzwonili ze szpitala, że jest córka, to wypuściłem słuchawkę z ręki. Zaraz oddzwoniłem, ale fakt stał się faktem.

Kobiety odegrały w moim życiu największą rolę. Zawsze dawały mi inspirację i wsparcie. Zaczynając od matki. Ojciec mi kiedyś powiedział: „Pamiętaj, jeśli przeżyliśmy Syberię, to tylko dzięki mamie".

Mama została z Panem bardzo długo.

Zabrakło jej trzech miesięcy do setki. Umarła latem 1998 r., gdy byłem na zdjęciach.

Do końca zachowała przytomność umysłu?

Tylko w ostatnim okresie zdarzały jej się takie rzeczy... Siedzimy, rozmawiamy, a ona: „Jak Zygmunt się czuje?". Zygmunt – znaczy ojciec. Ja mówię: „Wszystko w porządku, pozdrawia cię serdecznie". „Też go pozdrów". Albo nagle sobie przypominała: „Wiesz, zostawiłam paczkę ze sprawunkami u..." – i wymieniała nazwisko jakiegoś przedwojennego sklepikarza z Gorlic. Ja na to: „Dobrze, mamo, odbiorę". I wracaliśmy do normalnej rozmowy.

Największy wstyd?

(*Długo milczy*) Że we wczesnej młodości okłamałem dziewczynę, która uwierzyła, że ją kocham... Poza tym wstyd mi było bardzo, że w chwili słabości próbowałem ukryć swoje pochodzenie.

ZENON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

„Wielki hetman polskiego filmu: Jerzy Hoffman" – widowisko w warszawskim Wilanowie, 3 września 2011 r.

Kiedy?

W latach szczenięcych. Nigdy w latach męskich.

Gdy był Pan po wojnie w harcerstwie?

Nie, w harcerstwie byłem tylko parę miesięcy, bo właśnie ze względu na pochodzenie mnie wyrzucili.

Czyli miał Pan powody, żeby je ukrywać.

Ale wtedy już nie było to dla mnie problemem. Zawsze uważałem się za Polaka, wiedziałem, że wielu Polaków w historii naszego kraju nie było katolikami, a ja czułem się bardziej niekatolikiem niż Żydem.

Między pierwszą klasą w Gorlicach a gimnazjum w Bydgoszczy chodziłem do sześciu szkół: Daszawa koło Stryja, Kasztaki Tajga, Kontoszyno, 7. uczastek, 22. uczastek, Sidorowka. Wszędzie tam byłem Paliakiem i byłem obcy. Więc w każdej nowej szkole na pierwszej wielkiej przerwie stawałem w kącie, czekałem, aż koledzy się na mnie rzucą, i biłem. Biłem bardzo mocno, a po tygodniu zostawałem starostą klasy, bo oprócz mocnych pięści miałem dobre stopnie, a tam, na dalekiej Syberii, rzadko chodziło to ze sobą w parze.

Wie pani, dzisiaj patrzę z bólem i żalem, jak na nowo rodzi się nienawiść – nie tylko antysemityzm, ale nienawiść do wszystkiego! Gdy widzę młodych ludzi unoszących ręce w hitlerowskim pozdrowieniu – jak gdyby nie wiedzieli, że ten hitleryzm mordował ich dziadków – czuję grozę. Ale antysemityzm nie jest specjalnością polską.

Był też na Syberii?

Tak, mieli to rosyjscy chłopcy, którzy w życiu nie widzieli Żyda. A chłopcy polscy wołali za dziećmi żydowskimi „Do Palestyny!". Do Palestyny, na Syberii! Słyszałem, jak jakiś Polak tym dzieciom odpowiedział: „Boże, jakbyśmy wszyscy chcieli się tam teraz znaleźć!".

↦ **Pan z kolei bił się i wyzywał z Ukraińcami.**

To było w Daszawie koło Stryja, gdzie znaleźliśmy się po ucieczce z Gorlic. Bo pierwszego dnia wojny ruszyliśmy na wschód – wszyscy liczyli na to, że gdzieś po drodze nasze wojsko zatrzyma armię niemiecką. A 17 września wkroczyli Sowieci.

I w Daszawie co niedziela pod katolickim cmentarzem spotykali się chłopcy polscy z ukraińskimi. Najpierw były połajanki, potem obrzucanie się kamieniami, a na końcu pięści. Wygrywali ci, których było więcej. Tamtej niedzieli...

...na początku czerwca 1940 roku...

...ich było więcej. Wrzucili mnie do kaplicy cmentarnej i zamknęli. Okno wprawdzie było otwarte, ale pod oknem leżał trup i łaziły po nim ogromne zielone muchy. Miałem osiem lat. Wydawało mi się, że jestem tam wieki całe. Wreszcie ze strachu wyskoczyłem przez okno. Pobiegłem pod dom, a tam stała ciężarówka, do której ładowali dziadków.

Wywózka.

I tutaj znowu fart! Rodziców wzięto w Stryju, z zebrania lekarskiego, i wtedy to matka wybłagała, dosłownie czołgając się i obejmując buty jakiegoś komendanta, żeby nas nie rozdzielano.

Inaczej nie wiadomo, kiedy byście się odnaleźli.

Inaczej moglibyśmy się w ogóle nie spotkać! Ta ziemia przeklęta była ziemią ogromną i nikt nie wiedział, dokąd jedzie.

A czy nie można mówić o niebywałym wręcz farcie, kiedy syberyjski milicjant, który robił wszystko, żeby moja matka nie mogła wrócić do Polski, zamarzł na drzewie?

Na które uciekł przed wilkami. To brzmi jak scena z filmu, aż niewiarygodnie.

Niestety tak brzmi. Życie jest bogatsze od każdego scenariusza. Losy ludzkie bywają takie, że człowiek ich nie wymyśli. Ale zrobić z nich scenariusz wcale nie jest łatwo, a dobry film – jeszcze trudniej.

Bo wszystko zależy od ekipy.

Film jest sztuką kolektywną. Reżyser jest jak dyrygent w orkiestrze. Sztuka nie znosi demokracji i na planie decydować musi jeden człowiek. Jednak rezultat zależy od wielu rzeczy: od pieniędzy, aury, przyrody, organizacji, ekipy, a nawet od tego, czy aktor ma dobry dzień.

Zdarzało się, że najbliższych swoich kolegów wyrzucałem z planu. Gdy aktor, którego bardzo lubiłem, przyszedł na zdjęcia „wczorajszy", powiedziałem „won" i dopiero po latach zagrał u mnie mały epizod. Nie można pozwolić na to, żeby jedna osoba psuła pracę całej ekipy.

Wróćmy do rzeczy największych.

Mówiła pani o rozmachu. Otóż są malarze portreciści, miniaturzyści, bataliści – ale albo się widzi tak (*rękami pokazuje wąski kadr*), albo się widzi tak (*rozkłada ręce szeroko*). Moje życie było takie (*rozkłada ręce jeszcze szerzej*). Takie! Przed oczyma mam siebie jako dziecko: w bezkresie tajgi i lasostepu Ałtajskiego Kraju. Widziałem rzeki, przy których Wisła to, cytując poetę, „Wisełka-rzeczka".

Pamiętam, jak z Tadeuszem Łomnickim lecieliśmy do Japonii z „Potopem", przez Moskwę. Drzemałem, w pewnym momencie stewardesa mnie budzi i mówi: „Piloci proszą pana do kabiny". Wchodzę, a tam czekają na mnie z koniakiem.

Ale piloci chyba nie pili?

Proszę pani! (*Śmieje się*) To był radziecki samolot. Pilot mówi: „Niech pan spojrzy. Tego to pan w życiu nie widział". I pokazuje mi w dole pożar tajgi. „No co? Widział pan?". Ja mu na to: „Z góry nie". Bo przecież przeżyłem pożar tajgi będąc na Syberii.

Śni się Panu czasem Syberia?

Teraz już nie. Kiedyś tak, tajga mi się śniła.

W wielu filmach przyroda odgrywa niebagatelną rolę, najlepiej widać to u Kurosawy. Mnie udało się to maksymalnie wykorzystać w pojedynku Wołodyjowskiego z Kmicicem.

Zapamiętuje się twarz Olbrychskiego ociekającą wodą.

No właśnie!

Dzisiaj, żyjąc w miastach, jesteśmy odcięci od przyrody. Ale ja mieszkam osiem miesięcy w roku na Mazurach. I czuję, co to znaczy, jak człowiek obcuje z przyrodą. (*Bierze teatralny, głęboki wdech*). Jak może człowiek odetchnąć.

Największy zachwyt w Pana życiu też był związany z przyrodą?

Jeśli chodzi o przyrodę, to najbardziej zachwyciła mnie Nowa Zelandia z jej gejzerami i wulkanami. Natomiast jeśli chodzi o zachwyt *stricte* zawodowy, to „La Strada" Felliniego. Masina jest tam Chaplinem w spódnicy. A dla mnie Chaplin był ideałem. Chodzili na niego, śmiali się i płakali wszyscy. I najwybitniejsi intelektualiści, i tak zwane kucharki.

Oglądał Pan go jeszcze w Gorlicach?

W Gorlicach to ja chodziłem głównie na filmy z Shirley Temple. Chaplina oglądałem wiele razy we WGIK-u [Wszechzwiązkowy Państwowy Instytut Kinematografii; JH studiował tam z Edwardem Skórzewskim, swoim najbliższym współpracownikiem, w latach 1950-55 – KB].

To nie podpadało pod burżuazyjną rozrywkę?

Chaplin nigdy. Co prawda w Moskwie nie było możliwości oglądania takich filmów jak np. w Łodzi, ale za to wykładali u nas najbliżsi współpracownicy Eisensteina. Jak wróciliśmy z Edkiem Skórzewskim do Polski, mieliśmy montaż w jednym palcu.

Byliście lepsi technicznie, ale też odważniejsi. Bez was nie byłoby „czarnej serii" [cykl dokumentów pokazujących patologie życia społecznego; zapoczątkował odwilż w polskiej kinematografii – KB].

Jeżeli codziennie chodzisz po tej samej ulicy, to wiele rzeczy przestajesz zauważać. Myśmy przyjechali z zewnątrz i pewne sprawy rzucały nam się w oczy. Po drugie, mieliśmy wspaniale opanowaną szkołę demagogii. Mogliśmy mówić, czym jest wielka prawda i mała prawdionka, co znaczy krytyka, a co samokrytyka. Dlatego potrafiłem – jako młody chłopak – postawić się Aleksandrowi Fordowi, na co on, nieprzyzwyczajony, zupełnie zbaraniał.

Przy jakiej to było okazji?

Zebrania partyjnego we WGIK-u. Mieliśmy w programie projekcję „Suworowa" Pudowkina. Suworow to był wybitny dowódca rosyjski, a jednocześnie człowiek, który zdławił powstanie kościuszkowskie i dokonał rzezi Pragi. Po projekcji zabieram głos w dyskusji: „Koledzy, czym zaczyna się film »Suworow«? Film »Suworow« zaczyna się od rzucania pod nogi Suworowa sztan-

ZENON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

JERZY HOFFMAN jest reżyserem filmowym. W 1955 r. ukończył studia reżyserskie we Wszechrosyjskim Państwowym Instytucie Kinematografii w Moskwie. Nakręcił m.in. „Pana Wołodyjowskiego", „Potop" (nominowany do Oscara), „Ogniem i mieczem", „Trędowatą", „Bitwę warszawską", „Znachora". 15 marca skończy 87 lat.
Na zdjęciu: z Izabellą Scorupco na planie „Ogniem i mieczem", 1997-98 r.

darów Kościuszki. Jeśli nie wiecie, kim był Kościuszko, to proszę o tym przeczytać u Marksa. Czym się kończy film »Suworow«? Film »Suworow« kończy się walką Suworowa z wojskami rewolucji francuskiej, a jeśli nie wiecie, czym była rewolucja francuska, to proszę przeczytać u Marksa. Ponadto Suworow bronił caratu, który został nazwany przez Marksa żandarmem Europy. Wnioskuję o wycofanie tego filmu z programu". Zamarli wszyscy, a film wycofano.

Trzeba było tylko wiedzieć, jakimi argumentami operować.

Pytałam o wstyd: może wstydził się Pan kariery agitatora z ZMP?

Nie. Proszę pamiętać, że dopiero czas przyniósł zetknięcie teorii z praktyką. Dzisiaj piszą i mówią, że byliśmy pod absolutną okupacją, a Polska nie istniała. Ale jeżeli myśmy wrócili z Syberii do Polski, gdzie były polskie sztandary, gdzie rozbrzmiewał polski język i polskie pieśni... Jeżeli chodziliśmy do polskich szkół, gdzie wykładali polscy, przedwojenni profesorowie... Mieliśmy prawo wierzyć, że jesteśmy w Polsce.

Nawet premier Morawiecki twierdzi, że „w 1968 roku nie było w ogóle Polski. Był reżim komunistyczny, który tak naprawdę paskudnie traktował Żydów".

Niedawno trafiłem na łacińskie przysłowie: „Zdania mogą być różne. Ojczyzna jedna". Tylko o tym, że ojczyzna jedna, niestety obie strony zapomniały.

Pan też miał w 1968 r. nieprzyjemności.

To było w czasie realizacji „Pana Wołodyjowskiego". Miałem rewizję w domu, w hotelu, przesłuchania na planie filmowym. Bardzo chciano, żebym wyjechał, ale, jak pani widzi, nie wyjechałem.

O co ma Pan największy żal? Albo czego najbardziej żałuje?

Że się w młodości nie nauczyłem angielskiego. Natomiast nie żałuję ani tego, że nie zostałem w Cinecittà [największe studio filmowe we Włoszech – KB], ani tego, że nie zostałem w Hollywood.

Tam nie mógłby Pan dokończyć „Trylogii".

Chociażby.

W takim razie po co Panu ten angielski?

Choćby po to, żeby swobodnie rozmawiać z moimi wnukami. Mieszkają w Stanach, mają ojca Francuza, są dwujęzyczni i rozmawiam z nimi językiem Papuasów.

Może żal Panu jakiegoś niezrobionego filmu?

Czy żal? Bardzo! Ilu ja filmów nie zrobiłem! „Monte Cassino", „Świętosława, siostra Bolesława Chrobrego", „Sława i chwała" Iwaszkiewicza... Nie mówiąc o wielu komediach satyrycznych, wymyślonych wspólnie z Edkiem Skórzewskim, których scenariusze nam odrzucano.

Żal miałem o „Córkę kapitana" Puszkina. Zabrakło jednego głosu, żeby scenariusz skierować do produkcji. Jednego! Rozmawiałem potem z kolegą, który wstrzymał się od głosu, i pytam: „No co, przyznaj szczerze: dlatego że Rosja? Że Puszkin? A gdyby to był Szekspir, też byście odrzucili?". A on mówi: „Ja też nie robię filmów".

A byłem tak blisko, takie miałem widzenie. Potem zobaczyłem ten film zrobiony przez Rosjan. Żałosny.

A Pana największy dramat w życiu ?

Największym dramatem była dla mnie śmierć dziadka. Uwielbiałem go absolutnie. Dziadek był drzewiarz, leśnik, myśliwy, taaaki kawał chłopa.

I nie przetrwał zesłania.

To była nasza pierwsza zima na Syberii. Dziadek niósł wodę do domu, musiał przejść przez lodowy trakt, a zbliżał się transport drewna, i żeby nie czekać, dziadek pobiegł i przeskoczył drogę. Poślizgnął się, polał wodą. Zapalenie płuc. Trzy tygodnie organizm walczył. Nie było żadnych lekarstw i nadziei.

Wprawdzie już wcześniej patrzyłem na śmierć z bliska. We wrześniu 1939, gdy przy bombardowaniach wyskakiwaliśmy z pociągów, widziałem sceny, jakie później pokazywano w kronikach: samoloty przelatujące nisko, płaczące dzieci, jakieś trupy. Widziałem pogrzeby Polaków na Syberii. Ale śmierć dziadka to był dla mnie o wiele większy wstrząs. Potem żadnej już tak mocno nie przeżywałem.

Pożegnał się Pan z nim?

Nie.

Już nie był przytomny?

(*Długo milczy*) Niestety.

Od tego momentu stałem się dorosłym. A później, kiedy ojciec poszedł na ↦

↦ front, a matka – jako jedyny lekarz na kilkanaście osad, gdzie mieszkali Polacy – wyjeżdżała na kilkutygodniowe objazdy lekarskie, jako dwunastoletni chłopak musiałem sobie radzić. Przygotować drzewo na zimę, posadzić kartofle, siać proso...

Szkoła życia.

Bardzo przyśpieszona. Mało tego. Przychodzili do mnie ludzie i mówili: „Ty, syn lekarzy, powinieneś umieć...". I ja umiałem: stawiać bańki, przemywać rany, wyrywać zęby. Ale tylko górne, bo do dolnych nie miałem odpowiednich instrumentów.

Przypomina mi się motyw z instrumentami medycznymi w „Znachorze": doskonale musiał Pan go rozumieć.

Zgadła pani. Tym filmem zaskarbiłem sobie przyjaźń lekarzy z całego świata zajmujących się naturalną medycyną. W wielu krajach znają mnie nie z „Trylogii", tylko ze „Znachora".

Można powiedzieć, że „Znachor" to Pana największy sukces.

O nie, nie od razu. On wszedł na ekrany w złym okresie, bo to był stan wojenny. Melodramatem, który z miejsca zdobył widownię, była „Trędowata".

Prawie 10 milionów widzów w kinach.

Zrobiłem ją z całą świadomością. Po „Potopie" wszyscy oczekiwali ode mnie skoku przez jeszcze wyższą poprzeczkę, a ja skakać lubię, ale z własnej woli, nie jak mi każą. Pomyślałem: zrobię film, który wywoła skandal, i nie będę musiał skakać.

Krytyka rzuciła się na mnie, a do kin tłum walił drzwiami i oknami.

Szkoda, że wtedy honoraria nie były zależne od frekwencji.

Gdybym wszystkie filmy kręcił w warunkach kapitalizmu, byłbym dzisiaj jednym z najbogatszych ludzi w Polsce. Dwa razy w życiu zrobiłem naprawdę duże pieniądze. Pierwszy, kiedy byłem kierownikiem artystycznym kręconego w ZSRR filmu zachodnioniemieckiego „Trudno być bogiem".

Na podstawie powieści braci Strugackich.

To był fatalny zresztą film. Reżyser, typowy Bawarczyk, nic nie rozumiał z tej powieści. Wtedy w koprodukcjach Rosja-

Największą radością mojego życia

była droga przez Polskę z „Ogniem i mieczem". Entuzjazm widzów, szczęście aktorów, wszędzie tłumy. Staliśmy na balkonie na Piotrkowskiej tak pełnej, jakby sam Kiepura z tego balkonu śpiewał.

nie często nie wywiązywali się z obowiązków i zrywano z nimi umowy. Zawarli więc z Niemcami taką umowę, że kto pierwszy ją zerwie, ten pokrywa cały koszt filmu. Reżyser ponad rok siedział w Sojuzie i nie rozpoczynał zdjęć. Ogromne dekoracje czekały, aktor amerykański rzucił wszystko i wyjechał, operator nic nie robił, tylko jeździł do Berlina, niby na konsultacje optyczne, a tak naprawdę zajmował się szmuglem. Wtedy ściągnęli mnie, abym uratował sytuację. Sprzedałem się bardzo drogo.

Za ile?

Sto tysięcy zachodnich marek. W tym czasie to były niewyobrażalne pieniądze. Dolar był po dwie czy półtora marki, 75 centów kosztowała butelka wódki w Peweksie, a pięć dolarów – obiad na cztery osoby w SPATIF-ie. Te marki pozwoliły mi przetrwać początek lat 90.

Ale prawdziwe pieniądze przyniosło mi „Ogniem i mieczem".

To teraz: największy strach.

Topiłem się trzy razy, ale jestem Ryba, a ryba nie tonie. Najbardziej bałem się, gdy w leśnym jeziorze na Syberii zaplątałem się w wodorosty. Jak jesteś pełen sił, ale coś cię łapie za nogi i wciąga pomału w głębinę, to strach jest potworny. Bo masz czas na uzmysłowienie sobie sytuacji. Film w głowie zaczyna niesłychanie szybko zasuwać, zimno przenika ciało.

Jak się Pan uratował?

Dotarło do mnie, że nie mogę się gwałtownie ruszać, i bardzo powoli zacząłem się wyplątywać.

Na Syberii opowiadaliśmy sobie „straszyłki" – czy wie pani, co to takiego ?

Straszne historie.

Dokładnie tak. Zbieraliśmy się nocą na starym, zrujnowanym cmentarzu zesłańców. A jak jest noc bez najmniejszego wiatru, to czasami z grobów wydobywają się świecące słupy fosforu z kości. Wystarczy, że coś obok się poruszy, i taki słup zaczyna falować. Uciekasz najszybciej jak możesz, wydaje ci się, że ten duch cię goni, a jak jeszcze się zdarzy, że wpadniesz do zawalonego grobu...

Bałem się też, gdy w zimowe noce, rozjaśnione blaskiem skrzącego śniegu, na pobliskim wzgórzu pojawiał się ostatni z amurskich wilków, które przywędrowały w czasach wielkich mrozów '38. roku, i wył do księżyca. Wszystko zamierało, dygotało każde zwierzę – psy, koty, krowy.

Nigdy nie słyszałam wycia wilka.

I oby nigdy nie musiała pani tego słyszeć.

A może o kogoś innego się Pan bał?

Tak. Przeżyłem onkologiczną chorobę mojej drugiej żony Walentyny. Boję się też, bo moja obecna żona ma problemy z sercem. Ale to jest inny strach niż ten fizyczny.

Największy błąd?

(*Długo się zastanawia*) Największym błędem chyba była moja wiara w socjalizm. Chociaż kapitalizm też sprawiedliwy nie jest.

Kiedy Pan przestał wierzyć w socjalizm?

Może nie całkiem w socjalizm, ale w tę szczególną formę socjalizmu przestałem wierzyć w czasie studiów, po tym, co widziałem w Rosji.

Co Pan widział?

Chociażby kolegów, którzy nagle przestali przychodzić na zajęcia. Zniknęli. Jak się okazało, byli oskarżeni o przygotowywanie zamachu na Stalina. Rzekomo chcieli do niego strzelać z okna, chociaż okno ich mieszkania nie wychodziło na ulicę.A całkiem mi przeszło, gdy dowiedziałem się prawdy o Katyniu.

Kiedy i skąd?

Gdzieś w późnych latach 50. Nie wiem, czy nie od ojca.

Przecież w filmie „Do krwi ostatniej” myśmy po raz pierwszy poruszyli sprawę Katynia. Padły słowa: „A jeśli to prawda?”. „Niemożliwe”. „A jeśli to jednak prawda...?”. O ten dialog powstała dzika awantura, zdjęto film z ekranów i przemontowano.

Największa porażka?
Każdy niezrobiony film.

A z tych zrobionych?
Nie ma takiego. Film jest tak długo mój, jak długo go nie skończę. Potem staje się własnością publiczną.

A dokument „Ukraina. Narodziny narodu” z 2007 r., który nie został wyemitowany?
To była przyjemność. Ogromna podróż w czasie.

Pan ma sentyment do Ukraińców?
To nie tak. Ja po prostu jestem wyznawcą Giedroycia i Marszałka, którzy bardzo dobrze rozumieli, że bez Ukrainy nie ma niepodległości Polski i że bez Ukrainy Rosja nie może być mocarstwem. Ten film można kupić w Odessie na czarnym rynku. Uważam, że odegra – i odgrywa – bardzo poważną rolę w szukaniu ukraińskiej tożsamości. W internecie są tysiące wpisów: „gdybym znał ten film wcześniej, nie poddałbym się rosyjskiej agitacji”. Ludzie z Donbasu tak piszą.

Największa radość?
Oczywiście cieszyła mnie nominacja do Oscara za „Potop”, ale nawet gdybym go dostał, też nie byłaby to największa radość. Największą radością mojego życia, aczkolwiek w bardzo trudnym momencie, bo zaraz po śmierci Walentyny, była nasza droga przez Polskę z „Ogniem i mieczem”. Entuzjazm widzów, szczęście aktorów, wszędzie tłumy. Staliśmy na balkonie na Piotrkowskiej tak pełnej, jakby sam Kiepura z tego balkonu śpiewał. Piękne zwieńczenie drogi przez mękę do tego filmu.

Ale nie ma beczki miodu bez łyżki dziegciu. Koledzy, którzy nie potrafili przeżyć tego naszego tryumfu – właśnie nie sukcesu, tylko tryumfu – w Gdyni nie dali nam żadnej nagrody, nawet za kostiumy. A mogli.

Największy zawód?
Oczywiście jak nam „Ogniem i mieczem” wycofano z nominacji.

Do Oscara.
Już odbywały się pokazy w Stanach, wszystko było na dobrej drodze, i w ostatniej chwili wysłano „Pana Tadeusza” Andrzeja Wajdy.

Który nominacji nie dostał.
Bo to nie jest film dla cudzoziemców.

Śledzi Pan rządowe zmiany w kinematografii?
Podejrzewam, że tak jak w wypadku muzeów, ministerstwo będzie starało się mieć coraz większy wpływ.

Minister Gliński obiecał hollywoodzki film o historii Polski.
No i nakręcili: „Koronę królów”!

Pytany ostatnio, co z tą hollywoodzką produkcją, upierał się, że żadnego wielkiego filmu nie można zrobić w trzy lata. Co Pan na to?
Wszystko można. Nawet mam temat: cesarz Otton, który widział Europę niemal taką, jaka jest dzisiaj, i ta jego pielgrzymka do grobu św. Wojciecha. Jeżeliby „Bolesława Chrobrego” Gołubiewa wziąć na podstawę, odchodząc oczywiście od archaicznego języka, to można zrobić trzy filmy i kilka seriali.

Niedawno był Pan na planie u Janusza Majewskiego, zagrał Pan w jednej scenie „Czarnego mercedesa”. Zazdrości mu Pan trochę, że jeszcze robi filmy?
Nigdy nikomu niczego nie zazdroszczę. Zresztą gdybym chciał, tobym robił. I może coś jeszcze nakręcę, ale za wcześnie o tym mówić. Choć najlepiej czuję się na polu bitwy, czyli w dużym kinie, a dzisiaj nie mam na to ani pieniędzy, ani zdrowia.

Na plan „Bitwy warszawskiej” pojechał Pan prosto ze szpitala. Szalona decyzja.
Było ich trochę, choć dopiero teraz zdaję sobie sprawę z ograniczeń. I wódka nie ta, i śledź nie ten, i nie ta aura nad bufetem... Tutaj (*pokazuje na głowę*) jeszcze mi działa, ale wydolność już nie ta. Paliłem 50 lat, mam chore płuca i tylko 8 godzin dziennie mogę funkcjonować bez koncentratora tlenu.

To prawda, że na starość wyraźniej wracają obrazy z młodości?
Oczywiście.

A przypomina się Panu coś, o czym Pan kilkadziesiąt lat nie myślał?
Jeszcze nie.

To na koniec poproszę o największe marzenie.
Marzeniem mojego życia była ekranizacja „Trylogii” i udało mi się je spełnić. Marzenia osobiste też. Mam ten luksus, że od lat jestem z kobietą pogodną, wyrozumiałą i ciepłą. Że spotykam się z ludźmi, w których towarzystwie czuję się dobrze – a nie każdemu na stare lata taki luksus jest dany.

Potrafię cieszyć się każdym wschodem i zachodem słońca. Mam wreszcie czas na nieprzeczytane książki i nieobejrzane filmy, na bycie z przyrodą. Z przyjaciół zostało mi już niewielu, krąg się zacieśnia, ale nie budzi to we mnie żadnego buntu. Widziałem tyle przedwczesnych śmierci, że mogę tylko dziękować Bogu za to, co jest mi dane.

©℗ Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA

POŻEGNANIE

Panu mecenasowi Jackowi Bojanowskiemu
oraz Rodzinie

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci Matki

Ś.† P.

Eugenii

składają
PRZYJACIELE

Z sympatią dla niebytu

JAN BŁASZCZAK

Choć śpiewają o nieistnieniu, właśnie zaistnieli na światowym rynku. Gdański zespół Trupa Trupa podpisał kontrakt ze słynną wytwórnią Sub Pop.

Sub Pop jest amerykańską oficyną, która walnie przyczyniła się do popularności grunge'u, wydając nagrania Nirvany, Mudhoney, Soundgarden czy The Afghan Whigs. To niewątpliwie chlubna karta i ważny rozdział w historii muzyki popularnej, choć „brzmienie Seattle" narodziło się już dobre 30 lat temu. Obecna pozycja Sub Popu jest jednak dalej bardzo mocna. To tutaj swoje płyty wydają Fleet Foxes, Father John Misty, Shabbaz Palaces czy Low, których „Double Negative" był jednym z najwyżej ocenianych albumów ubiegłego roku.

Co ciekawe, nim Trupa Trupa podpisała z nimi kontrakt i zaczęła odnosić sukcesy za granicą, nie miała większego dorobku w Polsce. Zespół grywał tu niewiele koncertów, nie zdobywał nominacji do branżowych nagród (o laurach nie wspominając), a swoje pierwsze albumy wydawał własnym sumptem. Gitarzysta i wokalista Trupy Trupa Grzegorz Kwiatkowski wyznaje, że jego ulubionym filmem jest „Fitzcarraldo" Wernera Herzoga. Grany przez Klausa Kinskiego szalony bohater chce wbrew wszystkiemu i wszystkim postawić w środku amazońskiej dżungli operę. Zakorzeniona w Trójmieście Trupa Trupa też wolała historie niemożliwe.

Samuel Beckett Lonely Hearts Club Band

Swoje pierwsze piosenki zaczęli nagrywać dziewięć lat temu. Perkusista Tomasz Pawluczuk oraz basista i wokalista Wojciech Juchniewicz znali się z Akademii Sztuk Pięknych. Kwiatkowski oraz drugi gitarzysta i klawiszowiec Rafał Wojczal byli sąsiadami na gdańskim Wrzeszczu. Choć miasto i jego historia odciska mocne piętno na kolejnych albumach Trupy Trupa, jego słynna trójmiejska niezależna scena muzyczna nie była dla zespołu ważnym punktem odniesienia.

– Kiedy zaczynaliśmy – wspomina Kwiatkowski – tutejszy yass był już tylko legendą. Jego ojcowie założyciele, Tymon, Trzaska, Możdżer i inni, poszli już każdy własną drogą.

Nowe środowisko skupiające klasycznie wykształconych kompozytorów (Stefan Wesołowski), producentów muzyki elektronicznej (Piotr „Hatti Vatti" Kaliński) czy performerów (Nagrobki) połączyły raczej więzy przyjaźni niż estetyczne preferencje. Dla Trupy Trupa od samego początku punktem odniesienia byli dekonstruujący rockowe piosenki muzycy Sonic Youth, jak i gwiazdy psychodelicznego popu pokroju Syda Barretta (tego z początków Pink Floyd) i George'a Harrisona (tego od Beatlesów).

– W zespole panuje ustrój demokratyczny, wszystko, co się dzieje, jest przegłosowywane – tłumaczy Kwiatkowski. – Panuje ożywiony spór. Każdy ciągnie w swoją stronę i mam nadzieję, że to słychać w utworach, które nierzadko mają w sobie po kilka piosenek. Tym bardziej że każdy z nas ma innych muzycznych bohaterów: Rafał – Elliotta Smitha, Wojtek – Swans, a ja – Glenna Goulda. Uważam, że to działa na naszą korzyść, bo muzyka zespołów o wyklarowanym guście szybko staje się przewidywalna.

Zapowiadający najnowszy album singiel „Dream About" ukazuje kolejną charakterystyczną dla zespołu cechę. To pozornie rozmarzona, psych-popowa piosenka zanurzona w beatlesowsko-barretowskim sosie. Jej pogodny, prosty refren kontrują jednak niepokojące zwrotki. Trupa Trupa, zespół z miasta Arthura Schopenhauera, śpiewa o pokusie nieistnienia. Nie po raz pierwszy w twórczości grupy.

– Ta tematyka ma swoje podłoże w trudności, jaką sprawia mi radzenie sobie z agresją, chorobą i umieraniem. Chodzi nam o rodzaj współczucia, którego rezultatem jest rosnąca sympatia dla niebytu. Ta piosenka to dla mnie takie Samuel Beckett Lonely Hearts Club Band – mówi Kwiatkowski.

Miasto wojny i romantyzmu

Literackie nawiązania nie powinny dziwić w przypadku artysty, który najpierw dał się poznać jako poeta. W swoich ostatnich tomach poetyckich Kwiatkowski podejmuje tematy ludobójstwa, przemocy, cierpienia. Jego wcześniejsza trylogia nosiła zaś tytuł „Powinni się nie urodzić", która to myśl powraca raz za razem w twórczości zespołu. Choć sam zastrzega, że jest jednym z dwóch tekściarzy w Trupie Trupa, znajomość jego literackiego dorobku jest jednym z kluczy, który pomaga lepiej zrozumieć ich twórczość. Być może jedynym, biorąc pod uwagę, że pozostali członkowie grupy konsekwentnie i bezwzględnie unikają mediów.

Jeśli w twórczości Kwiatkowskiego nie leje się krew, to dlatego, że już zastygła. Nam zaś pozostaje przyglądanie się ofiarom Holokaustu, samobójcom, sarnom złapanym w sidła. Autor obserwuje z nami, oddając głos i miejsce prześladowanym. Być może ta potrzeba pojawiła się u niego podczas jednej z wielu wizyt na terenie obozu Stutthof, którego więźniem był dziadek Kwiatkowskiego: – W dzieciństwie moimi miejscami były Westerplatte i obóz koncentracyjny, do którego chodziłem z dziadkiem. Fascynowały

ADAM FURTAK

mnie również gruzy, powojenne ruiny, które do dziś straszą w centrum Gdańska. Na moją wyobraźnię i poczucie estetyki wpłynęło pewnie również to, że mój drugi dziadek był inwalidą. Miał powyginane nogi i ręce. Dla kogoś z boku to mógł być drastyczny widok, ale we mnie budził tylko sympatię i miłość – byłem przecież jego wnukiem.

Gdańsk ukształtował wyobraźnię artysty, dając mu z jednej strony traktaty Schopenhauera i wiersze Eichendorffa, a z drugiej – Stutthof i Westerplatte. Podczas jednej z leśnych wędrówek Kwiatkowski z Wojczalem natrafili na hałdę butów przesłanych z nazistowskich więzień do obozu w Sztutowie, gdzie funkcjonowały warsztaty szewskie i kaletnicze. Muzycy nagłaśniali sprawę, by obuwie zostało uznane za artefakty Holokaustu, a nie przydrożne śmieci. Tematyka Zagłady pojawia się w utworze „Never Forget" z 2017 r., gdzie w rytm marszowej perkusji Kwiatkowski śpiewa o potrzebie pamięci, o upokorzeniu oraz śmierci, która panoszyła się w getcie.

W przeciwieństwie do wierszy poprzedzanych badaniami i godzinami spędzonymi na cmentarzach, teksty piosenek autorstwa Kwiatkowskiego powstają w czasie prób. Pewnie dlatego są zwykle krótkie, hasłowe, bazują na powtórzeniach. – Gramy próbę i nagle zaczynam coś sobie mruczeć pod nosem. U Wojtka to wygląda inaczej, ale ja wychodzę z założenia, że albo się to ułoży w ciągu pięciu minut, albo nie ułoży się nigdy.

Być może właśnie dlatego uparcie krąży wokół podobnych tematów.

Błogosławione potknięcia

Pokusa nieistnienia zapisana w tekstach i kompozycje ciągnące w kilka stron jednocześnie są dowodem na to, że Trupa Trupa nie walczyła o sukces za wszelką cenę. Z pewnością zespołowi nie zaszkodziły PR-owe doświadczenia Kwiatkowskiego, który dba o to, by każdy dziennikarz wiedział o kolejnym kroku zespołu czy przychylnej recenzji pod jego adresem. Niezależnie od tego muzycy prowadzą normalne życie, traktując wspólne granie jako „zabawę duchową" – jak to nazywają.

Sukces zawdzięczają też przypadkowi oraz licznym przyjaciołom zespołu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności można nazwać wysłanie płyty „++" kilku zagranicznym dziennikarzom, z których jeden okazał się właścicielem niewielkiej londyńskiej wytwórni. Brytyjczykowi album spodobał się tak bardzo, że zaproponował Trupie Trupa wydanie następnej płyty. Zespół obawiał się utraty niezależności. Ostatecznie kontrakt został podpisany, a wytwórnia Blue Tapes okazała się przepustką do szpalt anglojęzycznych gazet i portali. Szczęście w nieszczęściu towarzyszyło grupie również podczas koncertu na teksańskim festiwalu South by Southwest. Występ przykuł uwagę zagranicznych krytyków i wydawców.

– Na minutę przed rozpoczęciem spalił nam się piec [wzmacniacz – red.]. Ktoś próbuje go naprawić, czas mija, a do knajpy wchodzą dziennikarze NPR, „Rolling Stone'a" – śmietanka amerykańskich mediów. I kiedy myśleliśmy już, że będziemy musieli odwołać koncert, ktoś z publiczności zaproponował, że pożyczy nam piec. Z przewidzianych 35 minut zostało nam 20, ale byliśmy tak zdesperowani, wściekli, że zagraliśmy wszystko, co mieliśmy w planach. To był najszybszy koncert w naszym życiu. Wojtkowi w połowie występu przestała działać gitara. Podniósł ją i wymachiwał nią nad głową, a my graliśmy dalej. To była jakaś dzicz. Po koncercie pod sceną zgromadzili się dziennikarze, którzy chcieli nam pogratulować. Później „Rolling Stone", „Chicago Tribune" i NPR uznały nasz występ za jeden z najlepszych koncertów festiwalu – a tam gra przecież kilka tysięcy zespołów! Jakoś tak u nas bywa, że potknięcia okazują się błogosławieństwami.

Trupie Trupa pomagali też przyjaciele i przedstawiciele branży muzycznej. Mikołaj Trzaska podarował założycielowi Sub Pop Jonathanowi Ponemanowi album „++" , a Artur Rojek zaprosił go na OFF Festival, na którym występowała Trupa Trupa. Od tego czasu sam Amerykanin stał się przyjacielem zespołu. Bywał na jego próbach w Gdańsku, komplementował go w mediach i doradzał mu przy kolejnych ruchach. Być może już prędzej wydałby album trójmiejskiej grupy, ale musiał jeszcze do tego przekonać pozostałych członków zarządu. Po zamieszaniu, jakie stało się udziałem Trupy Trupa w ostatnim roku, musiał mieć jednak świadomość, że jeśli nie podejmie takiego kroku, zespół przechwyci ktoś inny. Ostatecznie do takiej sytuacji nie doszło, Trupa Trupa trafiła pod skrzydła Sub Popu.

– Ucieszyliśmy się, ale nie było otwierania szampanów i picia do późnej nocy. Mieliśmy nawet pewne wątpliwości, bo baliśmy się zderzenia naszej muzyki z realiami korporacji. Tego, że ktoś będzie chciał nam nałożyć jakiś mundurek. Szybko się jednak okazało, że Sub Pop trwa przy swoich ideałach i z nimi nie stanie się nam żadna krzywda – mówi Kwiatkowski.

Trupę Trupa w brytyjskiej rozgłośni BBC Radio 6 Music prezentował sam Iggy Pop. Należało się. ©

KRZYSZTOF BIELIŃSKI

„Panny z Wilka", reż. Agnieszka Glińska

Teatralne TKM

DARIUSZ KOSIŃSKI

Wpatrzony we własny zbolały pępek bohater Iwaszkiewicza staje się uosobieniem wyjątkowo żałosnego wcielenia męskości. I co z tego?

Oto trzecia, po „Życiu codziennym..." i „Królestwie" premiera Narodowego Starego Teatru w Krakowie pod kierownictwem Rady Artystycznej, umożliwiającej pozostawanie Marka Mikosa w gabinecie dyrektorskim. „Panny z Wilka" w reżyserii Agnieszki Glińskiej, według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza. Wreszcie zadowoleni mogą być ci, którym nie odpowiadały linia artystyczna i estetyka konsekwentnie tworzone przez poprzedniego dyrektora Jana Klatę. Niezależnie od wszystkich politycznych i obyczajowych kontrowersji jego wizja teatru była odrzucana przez wcale sporą część publiczności. Chodziło o drażniący ją sposób wykorzystywania sceny jako miejsca kłopotliwych i kontrowersyjnych pytań zadawanych w przedstawieniach o mocnej sygnaturze autorskiej.

Przedstawienia te zwykle nie liczyły się z oczekiwaniami widzów, którzy przychodzili do teatru, żeby zobaczyć to, czego od czasów swych pierwszych wizyt (często w ramach szkolnych wycieczek) oczekiwali: inscenizacji tekstów wybranych ze względu na swe jakości artystyczne, zwykle dobrze znanych i mających swoje tradycje, a niekiedy nawet spory autorytet. Publiczność ta była otwarta na nowe interpretacje, ale nie akceptowała dekonstruowania tekstów, przepisywania ich na nowo czy przenoszenia w radykalnie odmienne konteksty kulturowe (ze szczególnym uwzględnieniem kultury popularnej). Dla tych widzów „Król Lear" w reżyserii Jana Klaty nie był tragedią Szekspira, a „Hamleta" Marcina Cecki i Krzysztofa Garbaczewskiego odrzucali jako bezprawne przejęcie znanej marki.

Tak w Krakowie, jak i w innych miastach dawało się też odczuwać w ostatnich latach narastające zmęczenie i znudzenie strategiami i chwytami powtarzającymi się coraz częściej, niekoniecznie zawsze w najlepszych wersjach. Ostatecznie teatr, który nazwał się kiedyś szumnie „nowym", wkroczył niedawno w trzecią dekadę swego istnienia. Zdążył już wypracować własne konwencje i maniery, które po latach powtórzeń straciły polor nowości. „Znowu to samo" – coraz częściej było słychać wśród publiczności po kolejnych spektaklach naszych niegdyś dynamicznych buntowników.

Na dodatek zmieniony klimat polityczny i kulturowy sprawił, że podążanie za nimi przestało być trendy. Rosnący w siłę polityczny konserwatyzm z niekłamaną satysfakcją rozgrzeszył i usprawiedliwił konserwatyzm kulturowy, który równie często przesiąknięty jest inżynierem Mamoniem, jak sympatia dla eksperymentów przesiąknięta jest Młodziakowatością. W rezultacie umacniała się i umacnia tęsknota za alternatywą, jaką według radośnie powtarzanego paradoksu stanowić mają porządne przedstawienia, szanujące tekst (co nie znaczy: poddane bez reszty jego władzy) i cechujące się mityczną „jakością rzemiosła", którą z desperackim uporem od dawna przeciwstawiano „nowemu".

Gry inteligencji

Agnieszka Glińska należy do grona reżyserek i reżyserów, z którymi od lat wiązano nadzieje na stworzenie rzeczywistej kon-

kurencji dla grupy trzymającej znaczną część teatralnej uwagi. Bardzo szybko za zasadnicze cechy jej stylu uznano właśnie szacunek dla tekstu i umiejętność jego niebanalnego odczytywania oraz zainteresowanie psychologią postaci. Wiązało się to z bliską współpracą z aktorami nad pogłębianiem i wysubtelnianiem ich kreacji (o tyle łatwiejszą, że reżyserka jest też absolwentką Wydziału Aktorskiego Akademii Teatralnej im. Zelwerowicza w Warszawie i wciąż bywa aktorką). Trudno jej przy tym było zarzucić zdeklarowany konserwatyzm.

Glińskiej nie sposób oskarżać o to, że pozostaje wierna dawnym sposobom uprawiania teatru, skoro należy do tego samego pokolenia, co Grzegorz Jarzyna i Krzysztof Warlikowski, sztandarowe postaci naszego ongiś „nowego teatru". Jednym z pierwszych przedstawień, które przyniosło jej wielkie uznanie, był głośny „Jordan" Moiry Buffini i Anny Reynolds – wystawiona w 1996 r. w Starym Teatrze, prowokacyjna i kontrowersyjna historia dzieciobójczyni. Wprawdzie później reżyserka często sięgała po autorów, od których stronili przedstawiciele „nowego teatru" (Czechow, Zapolska, Hrabal, Perzyński), ale też z powodzeniem wystawiała związaną z nim blisko Dorotę Masłowską.

Jako dyrektorka artystyczna warszawskiego Studio w latach 2012-15 stworzyła w nim teatr, jakiego oczekiwała publiczność niechętna Jarzynie i Warlikowskiemu – literacki, daleki od politycznego zaangażowania, a zarazem nieumykający ani w komercję, ani w anachroniczne sceniczne akademie ku czci. Przy różnych zastrzeżeniach i pretensjach można było bez wstydu wskazywać na Studio Glińskiej jako na współczesny teatr dramatyczny, połączony wieloma więzami z tradycją, ale nietworzący jej kapliczki czy skansenu. Można tam było pójść z graniczącym z pewnością przekonaniem, że nawet jeśli nie wyjdzie się całkowicie usatysfakcjonowanym, to nie uśnie się z nudów i nie będzie rumienić z zażenowania.

Zapowiedź pojawienia się Glińskiej w zestawie reżyserów Narodowego Starego Teatru, ogłoszonym po zawarciu kompromisu między zespołem a narzuconym mu dyrektorem, stanowiła więc jasny sygnał, że obie strony akceptują różnorodność koncepcji teatralnych, przyjmując zarazem, że ich realizacji podejmują się znane i rozpoznawalne marki. Mówiąc w uproszczeniu: Glińska miała równoważyć Strzępkę. O ile ta druga otwierając okres kompromisowy „Rokiem z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej" potwierdzała, że dawni współpracownicy Klaty nie zostali z automatu skreśleni, o tyle nazwisko pierwszej stanowiło zapowiedź, że na widownie przy Jagiellońskiej i Starowiślnej będzie mogła wrócić publiczność dotychczas je omijająca.

„Panny z Wilka", których premiera odbyła się w pierwszym dniu miesiąca zapowiadającego wiosnę, w pełni tę zapowiedź potwierdziły. To inteligentne przedstawienie jest współczesną reinterpretacją opowiadania cieszącego się niegdyś (niezrozumiałą dla mnie – wyznaję) estymą, wzmocnioną przez filmową adaptację w reżyserii Andrzeja Wajdy. Współczesność reinterpretacji zaproponowanej przez Glińską i współautorkę (bardzo zręcznej i udanej) adaptacji Martę Konarzewską polega na przejęciu i wywróceniu na nice nieznośnie dziś męskocentrycznej narracji Iwaszkiewicza. Wypowiadana, odgrywana i demaskowana przez znakomicie czujące się i sprawdzające w tej roli aktorki: Annę Radwan, Dorotę Segdę, Ewę Kaim, Paulinę Puślednik, Aldonę Grochal i Natalię Kaję Chmielewską, zostaje pozbawiona swojej mocy. Oznacza to wyrzucenie poza centrum uwagi zajmującego je dotąd bezwstydnie Wiktora. Rozbity na dwie różniące się wiekiem osoby (Szymon Czacki i Adam Nawojczyk) jeszcze rozpoczyna powieść, ale stopniowo pozbawiany jest nad nią władzy. Nie pada pod serią nokautujących ciosów, lecz zostaje pokonany na punkty przez nieagresywną, błyskotliwie precyzyjną mikrorewolucję feministyczną. W centrum pozostaje tylko cudowna parodia patriarchatu, wykonana przez wspaniale szarżującego w scenie nocy świętojańskiej Jacka Romanowskiego.

Co warte zauważenia, męskocentryczna narracja Iwaszkiewicza zostaje też zanegowana przez umieszczenie jej w kontekście politycznego konkretu, wprowadzanego m.in. przez rozdyskutowanych po żeromsku młodych aktywistów, którymi otacza się... Jola. Ta podmianka „złego prowadzenia się" najładniejszej z sióstr na jej aktywność polityczną to niemal demonstracyjne przesunięcie i podstawienie znaczeń, które sprawia, że wpatrzony we własny zbolały pępek bohater Iwaszkiewicza staje się uosobieniem wyjątkowo żałosnego wcielenia męskości.

Komu, komu?

Wszystko w tym spektaklu jest funkcjonalne i precyzyjnie obmyślone, odsłaniając kolejne elementy pozornie nieefektownej kompozycji, która stopniowo ujawnia swą celowość i złożoność (znakomicie uplastycznia ten proces scenografia Moniki Nyckowskiej). Ale mnożącym się pochwałom towarzyszy jednak cień wątpliwości. Gwoli kogóż to wszystko? Gwoli Jarosława? Co z nami ma Jarosław, a co my z nim wspólnego? Jasne – można uznać Iwaszkiewicza spotęgowanego Wajdą za przedstawiciela miękkiego, więc tym bardziej skutecznego i niebezpiecznego patriarchatu i cieszyć się wyrwaniem mu z rąk jednego z jego najpopularniejszych opowiadań. Ale czy na pewno warto to robić? Czy kogoś to grzeje lub ziębi? Czy poza niewielką i z trudem dającą się opisać grupą ktoś jeszcze Iwaszkiewicza w ogóle czyta jako pisarza ważnego? Komu, komu te przejęcia i przesunięcia? Komu oddać to odwojowane Wilko i co w nim urządzić? Izbę pamięci Feli demonstracyjnie ubranej w biel tak pięknie komponującą się z czerwienią sukni jej siostry? A może archiwum przypisów pozwalających zrozumieć wszystkie inteligentne zabiegi adaptatorskie i inscenizatorskie dokonane na tym i innych tekstach?

Stawiam te pytania nie po to, by podważyć sens uprawiania takiego teatru. Miałem sporo przyjemności, oglądając te „Panny z Wilka". Miała ją też chyba premierowa publiczność natychmiast i nie tylko kurtuazyjnie stająca do owacji. Niestety mam już tak, że tę przyjemność niemal natychmiast odczuwam jako *guilty pleasure*, nie dlatego, że wokół zło, gromadzenie sił i polityczna nienawiść przygotowująca nas wszystkich do wojny, ale dlatego, że czai się w niej frajda przynależności do klubu wyróżnionych, satysfakcja, jaką daje złapanie aluzji, śmiech z dowcipu, którego inni nie zrozumieli. A przecież chodzi właśnie o to, byśmy do tego klubu należeli społem, by śmiech był jednoczący, a zrozumienie gromadne, byśmy się realnie odnaleźli w dziedzictwie, z którym gramy, a które właśnie dlatego nie musi się uzbrajać w kult wokół przymiotników „wyklęty" albo „narodowy".

Problem, jaki mam z przedstawieniem Agnieszki Glińskiej i teatrem, który ono znakomicie reprezentuje, polega na tym, że jego fundament stanowi zasadnicza sprzeczność między elitarnością będącą źródłem przyjemności, jaką zapewnia, ↦

↦ a wspólnotą, którą obiecuje stworzyć. Obiecuje nieszczerze, bo jest oparty na kulturowej dystynkcji, którą przemilcza, choć z niej żyje. Mógłby znaleźć uzasadnienie i usensownienie, gdyby – na wzór takich niegdysiejszych usiłowań, jakie podejmowali przed wojną w warszawskim Ateneum Stanisława Perzanowska i Stefan Jaracz, dążył do zniesienia różnicy, pracował nad udostępnieniem reguł gry. Ani on, ani jego sojusznicy nie wydają się dzisiaj rzeczywiście do tego dążyć. Odwołują się raczej do fantazmatu inteligenckiej wspólnoty, który niekiedy nawet ustanawiają, ale tylko na chwilę, tuż po zakończeniu przedstawienia, gdy kolejne osoby wstają do owacji, by móc wystawić swą przynależność do wyróżnionej właśnie grupy. Czasem jeszcze posługują się tym fantazmatem jako bronią przeciwko realnym lub wyimaginowanym przeciwnikom. Ale o tę pozornie hołubioną wspólnotę nie dbają i z niej się myją po skończonym spektaklu, gdy teatr skończony.

W książce „Teatra polskie. Historie" poświęciłem teatrowi, do którego wydają mi się należeć przedstawienia takie jak „Panny z Wilka", rozdział ostatni, zatytułowany „Teatr kulturalnego miasta". Tytułowy termin służył uchwyceniu tego niewyrazistego fenomenu, jakim jest – wcale rozbudowana – działalność teatralna o charakterze swoiście samozwrotnym: kulturalna publiczność odwiedza kulturalnie ułożony teatr, by potwierdzając jego kulturalność własną kulturalność ustanowić i umocnić. Sytuacja prawdziwie gombrowiczowska, przeciwko której kierował ongiś swe usiłowania „nowy teatr", sam stopniowo wpadający jednak w ten mechanizm. Już pisząc książkę w roku 2010, uśmiechałem się do siebie, gdy widziałem, jaki skrót tworzą pierwsze litery wyrazów składających się na „teatr kulturalnego miasta". Wtedy wydawało się to złośliwym żartem, niemającym wiele wspólnego ze współczesnością.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Jarosław Iwaszkiewicz **PANNY Z WILKA** *– reż. Agnieszka Glińska, opr. i adapt. Agnieszka Glińska i Maria Konarzewska, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, Scena Kameralna, premiera 1 marca 2019 r.*

Razem jest cieplej

ANITA PIOTROWSKA

Ten wspaniały film o budowaniu bliskości powinni obejrzeć ci, którzy uważają, że rodzina to raz na zawsze zdefiniowany monolit. Jedyny prawdziwy i jedynie słuszny.

Rodziny, jak wiadomo, się nie wybiera, a stworzenie podstawowej komórki społecznej podlega ścisłym regulacjom. Reżyser Hirokazu Kore-eda, znany u nas z filmów „Nasza młodsza siostra" czy „Jak ojciec i syn", zjadł zęby na komplikowaniu relacji pomiędzy bliższymi i dalszymi krewnymi. Stawiał w nich nie zawsze wygodne pytania o rolę genów w definiowaniu rodzinnej wspólnoty. W najnowszym filmie, nagrodzonym Złotą Palmą w Cannes, idzie jeszcze dalej – opowiada o japońskiej łże-rodzinie stworzonej przez niespokrewnionych ze sobą nawzajem „ochotników". W dodatku posiadających szemrane życiorysy.

Bohaterowie „Złodziejaszków" są społecznymi wyrzutkami, a zarazem głęboko ukrytym zbiorowym wyrzutem sumienia. Gnieżdżą się w szóstkę pod dachem przybranej babci na obrzeżach dzisiejszego Tokio, udając matkę, ojca, dzieci, wnuki. Żyją z dorywczych prac i sklepowych kradzieży, ale to właśnie ów mocno niedoskonały, dziwaczny i na pozór prowizoryczny twór staje się dla Kore-edy eksperymentalnym modelem familijnych więzi, trwałych i dynamicznych jednocześnie.

Najważniejsze są sceny domowe: kamera, usytuowana w pozycji siedzącego na macie tatami, wręcz kokosi się w rodzinnym ciepełku. Familia Shibata z nędzy i ciasnoty stworzyła autentyczną bliskość. Ten sympatyczny, wielowarstwowy barłóg, w którym się je, śpi i rozmawia, u Kore-edy ma być odpowiedzią na dzisiejsze stosunki rodzinno-społeczne. Na postępującą atomizację i bezdomność, na pauperyzację i prekaryzację, które dotykają nie tylko współczesnych Japończyków, niszcząc przy okazji międzypokoleniowe i międzyludzkie więzi.

W japońskim filmie „mama" Nobuyo, „tata" Osamu, „synek" Shota i „babcia" Hatsue uciekli bądź zostali wygnani ze swych dotychczasowych wspólnot. Jest wśród nich także młodziutka Aki, która dorabia w klubie peep-show, przybierając imię własnej biologicznej siostry – jedna z wielu psychologicznych zagwozdek w tej historii. Pewnego dnia dołącza do „rodziny" Yuri, pięcioletnia uciekinierka z domu, maltretowana przez swoich prawdziwych rodziców. „Razem jest cieplej" – mówi Aki przytulając się do jednego ze swych osamotnionych klientów. Bo Kore-eda odżegnuje się od metafizycznych obserwacji w stylu mistrza Yasujirô Ozu, który ponad pół wieku temu kontemplował rozpad japońskich tradycji i nadejście „rodziny nuklearnej". Bliżej mu do alternatywnej wersji kina familijnego, w którym, jak na ironię, to właśnie wyrzuceni na margines pariasi stają na straży konserwatywnych wartości. Tyle że po swojemu. „Złodziejaszki" skłaniają bowiem do namysłu nad tym, co tak naprawdę funduje rodzinę: wspólnota biologiczna, ekonomiczna czy może po prostu całkowite zaufanie. Lecz japoński twórca na takich dylematach bynajmniej nie poprzestaje.

PMPG POLSKIE MEDIA

Kadr z filmu „Złodziejaszki”

Codzienne obrazki z życia „złodziejaszków”, fotografowane z czułością, choć bez protekcjonalnej czy sentymentalnej otuliny, mają zwodniczy urok. Anarchizująca wolność co i raz odsłania podejrzaną, mocno przybrudzoną podszewkę. „Ojciec”, który szkoli swoje „dzieci” w złodziejskim fachu, przestępcza przeszłość Nobuyo i Osamu, „babcia” inkasująca tajemniczą gotówkę – Kore-eda wprowadza nieustający zamęt pomiędzy tym, co jest społeczną normą, co wydaje się naturalnym odruchem serca, co wykalkulowanym interesem, i tym, co my sami w danej chwili gotowi jesteśmy uznać za właściwe lub nie. Zatrzymanie w domu Shibatów małej Yuri można nazwać uratowaniem, lecz równie dobrze porwaniem jej w imię partykularnych korzyści. Jedno może być pewne: w tym filmie na miano ojca, matki, żony czy męża trzeba sobie po prostu zapracować – i to każdego dnia. Być może tak właśnie powinny funkcjonować nie tylko rodziny „na niby”.

Albowiem bliskość – ta stłoczona, spocona, siorbiąca makaron – w wymiarze głębszym staje się tu przestrzenią nieustających negocjacji. Miłość bezwarunkowa wystawiana jest w „Złodziejaszkach” na kolejne próby, bo czasem za bardzo sąsiaduje z egoistycznym zawłaszczeniem. Jak to w rodzinie. Japoński kandydat do Oscara uwiarygodnia tę problematykę samym sposobem opowiadania: cierpko i słodko, szeptem i ze swadą jednocześnie, dając głównym aktorom możliwość stworzenia przed kamerą czegoś na kształt wielogłowego organizmu, choć na specjalną uwagę zasługuje Sakura Andô w roli „matki”.

Czy jednak kwestionowanie tych rodzinnych funkcji uporczywym cudzysłowem nie jest wbrew filmowi Kore-edy i jego bohaterom? Jakkolwiek smak kaofu, czyli glutenowego ciasteczka opartego na babcinej recepturze, szybko się zaciera i rodzina Shibata staje na krawędzi rozpadu, pomimo kłębiących się moralnych wątpliwości i ujawniania się coraz to nowych niekorzystnych faktów, dzieje się coś niezwykłego – bohaterowie „Złodziejaszków” stają się nam coraz bliżsi, coraz bardziej ludzcy. I coraz bardziej warci tego, by mienić się „mamą” czy „tatą”. Dlatego ten wspaniały film o budowaniu bliskości powinni obejrzeć przede wszystkim ci, którzy uważają, że rodzina to raz na zawsze zdefiniowany monolit. Jedyny prawdziwy i jedynie słuszny. ©℗

ZŁODZIEJASZKI *(Shoplifters/Manbiki kazoku) – reż. Hirokazu Kore-eda. Prod. Japonia 2018. Dystryb. PMPG Polskie Media. W kinach od 22 marca.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [14 – 22 III]

1. Sny wędrownych ptaków

Dramat sensacyjny, reż. Ciro Guerra, Cristina Gallego, Kolumbia/Dania/Meksyk 2018, Ale kino+, 14 III, 20.10, 17 III, 21.55

Twórca „W objęciach węża” patrzy na początki kolumbijskiego narkobiznesu z perspektywy tamtejszych plemion indiańskich – ich tradycji i wierzeń. Na przełomie lat 60. i 70. XX w. wraz z najazdem hippisów pojawiła się obietnica łatwych pieniędzy, a za nią chciwość i niezdrowa rywalizacja. Prowadzi to w filmie do tragicznych konsekwencji.

2. Over the Limit

Dokumentalny, reż. Marta Prus, Polska/Finlandia/Niemcy 2018, Cineman VOD

Jeden z najmocniejszych i najczęściej nagradzanych polskich dokumentów ostatnich lat opowiada o sportowej tresurze i jej wpływie na psychikę młodej zawodniczki. Bohaterką jest Margarita Mamun, rosyjska gimnastyczka artystyczna, która przygotowuje się do olimpiady w Rio de Janeiro pod okiem dwóch niezwykle wymagających trenerek.

3. Ian Fleming

Dokumentalny, reż. André Schäfer, Niemcy 2015, Planete, 16 III, 22.00

Kim był „człowiek, który wymyślił Jamesa Bonda”? Seria filmów szpiegowskich przyćmiła postać brytyjskiego pisarza, tymczasem wiele go łączyło ze stworzonym przezeń bohaterem. I nie tylko fakt, iż sam Fleming również przez jakiś czas był agentem. Jego sylwetkę przybliżają m.in. krewni autora „Goldfingera”.

4. Fargo III

Serial, reż. Noah Hawley, USA 2017, odc. 1, HBO3, 20 III, 21.45, HBO, 21 III, 19.00, odc. 1-10, HBO GO

Trwają prace nad czwartym sezonem serialu inspirowanego filmem braci Coen. Przed nami kolejna odsłona absurdalnych przygód mieszkańców Minnesoty, a w szczególności dwóch braci, z których jeden jest potentatem na rynku nieruchomości, drugi zaś chronicznym nieudacznikiem. W obsadzie Ewan McGregor, nagrodzony za podwójną rolę Złotym Globem, oraz David Thewlis.

JAN

Klata:
Constans

Po wyborze nowej prezydent Gdańska telewizja pana Jacka pozostaje niezmienna, można by napisać: trwa. Trwa niezłomnie przy pryncypiach, imponderabiliach śmiało i wizjonersko, ale zarazem i wściekle pragmatycznie zarysowanych przez szefa: „Ciemny lud to kupi". Dlatego ostatnio postawiono na transmisję z trójmiejskiej Biedronki. Mam nadzieję, że nie jest to jednorazowy wyskok, że trend się utrzyma i z czasem wyprze inne programy TVP – może z wyjątkiem „Korony królów", której nie chciałbym utracić, o ile jeszcze idzie. Biedronek ci w Polsce dostatek, i z pewnością sporo się w nich dzieje, zwłaszcza przy kasach. Myślę nawet, że jeden kanał może nie wystarczać, nawet dwudziestoczterogodzinnie. Na szczęście są wolne niedziele, wtedy TVP może transmitować miesięcznice, które wyewoluują w tygodnice. W święta państwowe będą mrożące krew w żyłach relacje z familijnych marszów wyklętej niepodległości i powtórki śląskich szczytów klimatycznych, ewentualnie bliskowschodnich szczytów wszystkiego.

Lud lubi oszaleć przez oczy, oczy zielone, a przede wszystkim lud lubi wiedzieć, co ma myśleć, najlepiej w formie pasków. Dlatego relacja z kasy w Biedronce została opatrzona odpowiednim mottem. „1 wódka, 2 cole, 3 ochroniarzy". Łatwo zapamiętać? Łatwo. Pasek, który z łatwością wpada w oczy, oczy zielone. Co prawda, napis nieścisły, bohaterami całego zdarzenia było nie tyle trzech, co czterech ochroniarzy – ten czwarty, ochroniarz z Biedronki, nagrał i rezolutnie wpuścił filmik do internetu. Oczywiście można się oburzać, można się dziwić, że prezes Kurski się dziwi, że prezydent Gdańska ma ochronę, ale ja chciałbym konstruktywnie, optymistycznie w przyszłość się skierować. Mam wizję pełnej transparentności, jakże pożądanej w nowoczesnym XXI wieku Ludzie lubią wiedzieć nie tylko, kto ile zarabia, ale również, jak kto wydaje w Biedronce. Myślę, że w nowej, postkomunistycznie lepszej konstytucji powinien się znaleźć zapis, że każdy obywatel RP ma prawo, a nawet zaszczytny obowiązek bycia transmitowanym przy kasie. Oczywiście monopolistą w tym zakresie pozostaną narodowe media. I oczywiście jeden Polak nigdy nie zostanie nagrany podczas jakichkolwiek zakupów. Prezes prezesa TVP. I cóż po Biedronce w czasie marnym, gdy inni szatani są tam czynni, nawet w niedzielę. ©

Lektor:
Niepokój

▪ *Tadeusz Sobolewski*
DZIENNIK.
JESZCZE JEDNO ZDANIE
Wydawnictwo W.A.B.,
Warszawa 2019,
ss. 534.

„Poschodzili się ludzie na słuchanie audycji". Jest 30 kwietnia 1982 r., stan wojenny, chodzi o audycję podziemnego Radia Solidarność. Audycji nie słychać, wszystko zagłuszają radiowozy i helikoptery patrolujące okolicę. Justynka Sobolewska siedzi na szafie z kolegą, półkrwi Paragwajczykiem: palą świeczkę, obserwują helikoptery i krzyczą „gestapo!".

Jeszcze jedno nostalgiczne wspomnienie czasów heroicznych? Od razu widać, że nie. Zasadnicza część książki to autentyczny dziennik, prowadzony na bieżąco przez Tadeusza Sobolewskiego, krytyka filmowego i eseistę, niekiedy uzupełniony dziś przez niego komentarzami. Dziennik, a ściślej wybór z niego od kwietnia 1982 do Nowego Roku 2000, zamknięty notatkami z indyjskiego aśramu Kokamthan, który Anna i Tadeusz Sobolewscy odwiedzili pięć lat później. A więc świadectwo epoki wielkiej zmiany, ale obserwowanej z indywidualnej perspektywy kogoś, kto nie ma wątpliwości co do solidarnościowych racji, nie jest jednak skłonny do pochopnego entuzjazmu. Tym bardziej – do antykomunistycznego radykalizmu, który prowadzi często do fałszowania historii i własnych biografii. Stąd tekst pod prowokacyjnym tytułem „Dziecko Peerelu" (dał później tytuł książce), atakowany przez fundamentalistycznych moralistów. Stąd niepokój. I zdanie: „Jeżeli teraz nie zaakceptujemy naszej przeszłości, jutro nie znajdziemy sensu w tym, co przeżywaliśmy dziś". To warstwa bardzo teraz aktualna, choć może nie najważniejsza. A inne? Przede wszystkim nieucukrowany obraz życia szczególnej, bo rozbudowanej rodziny, w skład której wchodzą nie tylko Anna, Tadeusz, Justyna oraz Stary Kot, ale też rodzice Tadeusza i Anny (matka Anny, zwana Mamutą, to niewidoma pisarka Jadwiga Stańczakowa) oraz Miron Białoszewski, do którego „dworu" Anna, Tadeusz i Jadwiga należeli, i jego przyjaciele. Miron, rodzice i teściowie kolejno odchodzą na drugą stronę, a latem 1989 r. pojawia się Cela – druga córka. Ma zespół Downa, choć okaże się bardzo uzdolniona i będzie się pięknie rozwijała. Niewątpliwie także dlatego, że zostanie bezwarunkowo zaakceptowana i otoczona miłością, a poświęcone jej fragmenty dziennika należą do najpiękniejszych. Wspomnijmy jeszcze trzeci ważny wątek – religijny. I prawdziwie „białoszewską" wrażliwość, z jaką autor obserwuje zarówno codzienne życie innych ludzi, jak i świat po prostu. Przejmująca to jest książka. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Jedzenie i uśmieciowienie

Pięć tysięcy. Tylu studentów z Indii przybyło nam przez ostatnie dwa lata. Wolne żarty. Ta liczba mówi nam tylko o wydanych wizach studenckich, a znaczna ich większość trafiła do ludzi, którzy studia na pseudouczelni traktują jako podkładkę do legalnego osiedlenia się w Polsce, często po to, żeby dowozić rowerami jedzenie na telefon w sieci Uber Eats. Oto jak daleko zaszliśmy w procesie niwelowania różnic z Zachodem: pozwalamy sobie zaspokoić potrzebę, żeby do najgorszych prac służyli nam ludzie o ciemniejszej skórze i bardzo nietutejszym wyglądzie. Odmienność i alienacja niewolnika czyni pana jeszcze bielszym.

W materiałach reporterskich opisano istotę wyzysku będącego motorem tej gładkiej jak szybka aplikacji. Tak higienicznej, że pozwala uniknąć pobrudzenia sobie łapek gotówką, wszystko załatwia plumknięcie aplikacji, która potwierdza ściągnięcie niewidzialnych „środków" z karty (myśleliście kiedyś, wertując ulotki w banku, że te „środki" to dziwny eufemizm?). Głodowe stawki, piętrowy proces uśmieciowienia – jest tego dość w medialnym obiegu, by nie było potrzeby tu streszczać. Groteskowy zielony plecak termiczny to dodatkowy element wykluczenia z grona „normalnych" ludzi na rowerze. Ilekroć widzę człowieka pomykającego śliską ulicą z czymś takim, życzę zamawiającemu wrzodów w żołądku, a jeśli już je ma, to niech się mu boleśnie przypomną.

Nic w tym złego – zlecić komuś, żeby nas wyręczył, przywożąc z knajpy kolację. Nic w tym złego, byleby to oznaczało godziwą zapłatę, taką, która byłaby sensowna dla miejscowego pracownika. Gdyby w takim duchu podnieść stawki za dowóz, zaraz okazałoby się jednak, że część użytkowników wolałaby się jednak pofatygować na nogach do knajpy. I może słusznie, bo jeśli już ktoś woli zjeść „obce", nieraz nie bardzo zdrowe jedzenie, niechże to ma w pakiecie z frajdą wyjścia na miasto i zażycia kąpieli w tłumie.

Pofatygować się, żeby przynieść do domu, czyli samemu być swoim kurierem – takie rozwiązanie wydaje się sensowne, kiedy ktoś tej kąpieli unika i woli własną kanapę i telewizor od hałaśliwych bliźnich przy stoliku obok, których nie można spauzować pilotem. Ale człowiek leniwy jest, więc gdyby tak pobudzić jego wewnętrzne dziecko tajemnicą i polowaniem na skarb? Dorosłą zaś moralność rozgrzać wizją walki z marnotrawstwem żywności?

Taki podwójny psychologiczny chwyt stoi za pomysłem aplikacji Too Good To Go (za dobre, żeby wyrzucić). Niewygodnie mi w roli cyfrowego luddysty, który tylko narzeka, że wszędzie te, panie dziejaszku, śmierćfony, a za Gierka to dopiero było życie towarzyskie, bo na cały blok był jeden aparat u tego ubeka pod dwudziestym, więc się gadało o Schopenhauerze do rana przy szprotkach i wódce – nigdy już nie będzie taka zimna. Jest nadzieja dla takich jak ja, którzy chcą widzieć w technologiach narzędzie, owszem, zdradliwe, ale zdolne czasem skorygować fatalne zmiany, jakie za ich pomocą wywołaliśmy w świecie.

Immanentną cechą łańcucha pokarmowego w bogatych krajach Zachodu z jego obietnicą obfitości jest straszne marnotrawstwo: świeżych towarów w sklepie, chleba w piekarni, kanapek i rozmaitych „wrapów" w kawiarniach, półfabrykatów posiłkowych w restauracjach. Aplikacja, o której mówię, udostępnia ofertę takich miejsc chętnym, by udać się pod wskazany adres, nabyć za obniżoną cenę i zabrać wszelakie dobro – często do własnego pojemnika, żeby ograniczyć jeszcze mnożenie plastikowego balastu. Cały cymes polega na tym, że użytkownik dowiaduje się o profilu sklepu czy knajpy, poznaje w zarysie ofertę i najczęściej podawane rzeczy, widzi cenę. Ale nie wie, co konkretnie za nią dostanie – jaki makaron u Włocha, jaki zestaw warzyw w wegebarze, jakie kanapki i croissanty w piekarni. Pełna loteria. Przygoda. Ryzyko czasem nietrafionego wyboru, ale szansa na załapanie się na coś pysznego, czego istnienia nie przeczuwaliśmy.

Chciałem dopisać „jakie pierogi w pierogarni", ale niestety to nieprawda, w Polsce ta zabawa nie działa. Mniej się u nas marnuje? Wątpię. Raczej jeszcze nie dorośliśmy do polowania na resztki, bo kojarzy nam się to z biedą i niedostatkiem. Na razie jeszcze je odreagowujemy, delegując stan poniżenia na te śniade, nieme cienie z zielonymi plecakami, zwinnie przemykające między nami po chodniku. ©℗

Kiedy piszę te słowa, chwilową wiosnę właśnie masakrują wichury z deszczem. Do końca marca będziemy ofiarami takich żartów. Zróbcie bardzo proste, ale szalenie wzmacniające ciasteczka, które u mnie w domu zwano „monetami pogody". Ścieramy prosto do dużej miski skórkę z 3–4 limonek, jeśli mamy dostęp do niepryskanych, co w Polsce nie jest takie proste. Zamiast tego – łatwiejsze do zdobycia cytryny, w liczbie dwóch. Wsypujemy 50 g cukru, palcami mieszamy go ze skórką, żeby się połączyło. Dodajemy 100 g miękkiego masła, zaczynamy ucierać, dosypujemy w trakcie jeszcze 80 g cukru pudru. Jest to dość męcząca praca, jak ktoś woli mikserem, to musi dobrać odpowiednią moc, niestety nie pomogę w tym, bo zawsze pracuję ręcznie drewnianą łyżką. Kiedy masa będzie dość puszysta i miękka, dodajemy po kolei 2 żółtka, mieszamy, dalej łyżkę świeżo utartego imbiru, a kiedy się wszystko połączy – 210 g mąki i 6 g proszku do pieczenia, mieszamy jeszcze trochę, aż się zrobią grudy, wykładamy na stolnicę i chwilę wyrabiamy ręką, aż się sklei w jednorodną masę. Z tej masy toczymy dwie „kiełbaski" o ok. 4 cm przekroju, schładzamy je co najmniej godzinę w lodówce. Potem tniemy na talarki grubości ok. 5–8 mm, układamy na blasze wyłożonej papierem w odstępach co najmniej 3 cm. Pieczemy w 160 stopniach ok. 20–25 minut, aż się ładnie ozłocą na brzegach (ale nie powinny się zbyt rumienić od spodu). Przekładamy je wszystkie jeszcze na papierze z blachy na jakąś kratkę lub deskę, studzimy, zdejmujemy z papieru dopiero, gdy zimne. Naprawdę dają kopa!

GRAŻYNA MAKARA

ŁOWCA DŹWIĘKÓW

Wzrok przykrywa nam wszystko. Najpierw widzimy, więc uważamy, że już nie potrzebujemy słyszeć, co mówi rzeka – mówi muzyk, Michał Zygmunt.

TEKST ADAM ROBIŃSKI ZDJĘCIA EWA DOBROŁOWICZ

Nad Odrą opowiadano kiedyś bajkę o ptaku Lele, który połknął słońce i spowił świat w ciemnościach. Ludzie ubłagali wtedy matkę wszystkich ptaków, by odzyskała dla nich światło. Odnalazła więc winowajcę i zaśpiewała mu kołysankę, a kiedy usnął, wydobyła z niego słońce. Na niebo zwróciły je potem żurawie. Robią to do dziś, każdej wiosny.

Michał Zygmunt powtarza tę historię przy różnych okazjach, ale w połowie lutego była najsilniej umocowana w czasie. W nocy w Warszawie spadł śnieg, kiedy za Wrocławiem było już przedwiośnie.

Pierwsze żurawie przyleciały dwa tygodnie wcześniej.

– Jeśli żyjesz nad rzeką, to naturalnym jest dla ciebie, że z końcem października żurawie znikają, a potem, w lutym wracają i z krzykiem obwieszczają, że to już, że słońce wraca, że wszystko się zaczyna na nowo. To są dźwięki ponadczasowe. Widzę to po słuchaczach: dźwięki zarejestrowane na skraju zimy i przedwiośnia szczególnie mocno na nich oddziałują. Jakby bardzo głęboko w ludziach siedziały – mówił.

Przyjechał po mnie na dworzec do Ścinawy, a potem zabrał kilkanaście kilometrów dalej, do swojego domu w Chobieni. Po drodze mijaliśmy niepozorne wsie, które – jak tłumaczył – nigdy nie miały szczęścia do dróg, bo ich spoiwem była rzeka. Nazywał je „nadodrzańskim archipelagiem", który żył swoją własną, lokalną historią pogranicza.

Urodził się w jednej z takich wsi, w Brzegu Dolnym, która z uwagi na budowę zakładów chemicznych rozrosła się z czasem do miana miasteczka. Potem parokrotnie się przeprowadzał, mieszkał m.in. we Wrocławiu i na Mazurach, ale na pytanie „skąd pochodzisz" odpowiada po prostu: „Jestem znad Odry".

I dodaje: – Lubię te nadodrzańskie miasteczka, bo niczego nie udają. Wrocławiowi wydaje się, że jest Berlinem, Warszawie, że nie wiadomo czym, a taka Ścinawa jest po prostu sobą. Jesteśmy na miejscu, to mój dom. Z widokiem na rzekę. Tylko dla niej tutaj jestem.

Kiedy wraz z partnerką i paroletnią córką szukali domu nad rzeką, ten był pierwszym – idąc od Wrocławia – wolnym w jej bezpośrednim sąsiedztwie, jaki znaleźli.

Jest niemal przyklejony do Odry, z trawnikiem przechodzącym w zabetonowany taras, przy którym czeka zaparkowane kanu. Podwórko ukształtowane jest tak, jakby kiedyś mieściła się tu binduga, czyli miejsce, gdzie składowano drzewo do spławu. W zagłębieniu, między kościołem i kolejnym domem. Kilkadziesiąt metrów dalej do 2012 r. kursował odrzański prom. Odra jest w tym miejscu wąska i niepozorna, ale równocześnie dziksza niż w górnym i dolnym biegu. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu tętniła życiem. Na barkach żyły całe rodziny Ślązaków. Kapitanowie wydawali swoje córki tylko za inne dzieci z barek. Synowie wychodząc z domu dostawali własną barkę. Te nie miały napędu, podczepiano je po kilka pod holownik, tworząc odrzańskie pociągi.

Kiedy Zygmunt wrócił w rodzinne strony, szukał śladów dawnej infrastruktury, rozmawiał z ludźmi, nagrywał muzykę do filmu o spływie do Szczecina. Przyrodą zainteresował się później. Dziś nad rzeką ma studio nagraniowe, a jego kompanami są niemilknące łabędzie krzykliwe.

Oberek łabędzi

Kiedy pytam Zygmunta o źródło jego fascynacji brzmieniem otoczenia, opowiada o młodzieńczym zauroczeniu filmem „Lisbon Story" Wima Wendersa, w którym dźwiękowiec biega z mikrofonem po stolicy Portugalii i próbuje uchwycić ducha miasta. Ale zaraz potem, jak na wykształconego w akademii muzycznej gitarzystę przystało, przechodzi na poważniejsze tory: – W pracy artystycznej zawsze szukałem małych światów, które są opowieścią o przeszłości, ale wciąż jeszcze można je złapać i zarejestrować. Odra jest taką opowieścią. Ten wyłaniający się z nurtu poniemiecki świat, do tego polski język, Śląsk jako zlepek kultur i kraina przenikania się. Ja się czuję dzieckiem tej rzeki, więc szukając drogi artystycznej po prostu się w niej zanurzyłem. A kiedy muzyk zatraca się w rzece, to musi ją zacząć nagrywać. Bo co może być dla niego ciekawsze niż dźwięki?

Przekonuje, że jego pierwsze spotkania z rzeką były po prostu kompozytorską próbą poszukiwania barwy i atmosfery. Lekcją słuchania. Nagrywał konkretne dźwięki, a potem wplatał je w swoją twórczość. Z czasem uznał, że same w sobie są warte

Michał Zygmunt: „Mikrofon można włożyć nawet w mrowisko. Ogranicza tylko wyobraźnia".

rejestracji, mogą stać się pełnowartościowym tematem. „Im nie jest blisko do muzyki, one okazują się być głębokim muzyki rodowodem" – przeczytałem na jego stronie internetowej.

– Kiedy słuchasz dźwięków o różnych porach roku czy doby, poznajesz je, to uświadamiasz sobie, że wiele barw, interwałów, fragmentów melodii słychać w ludzkiej muzyce. Wsłuchując się w łabędzie krzykliwe, które zimą śpią na rzece, w strukturze ich głosu słyszysz oberka. Ludową melodię, którą żyjący w sąsiedztwie tych ptaków ludzie po prostu utrwalali – opowiada.

Field recording, czyli nagrania terenowe, nie są zjawiskiem nowym. Ich rozkwit nastąpił w latach 60. i 70., gdy przenośne magnetofony mogły już trafić pod strzechy, a telewizja pozostawała jeszcze w tyle za radiofonią. Potem, jak w przeboju zespołu Buggles, „wideo zabiło radiową gwiazdę". Z czasem sprzęt się zminiaturyzował i sprofesjonalizował, a ludzie się przesycili obrazami i coraz śmielej zaczęli słuchać otoczenia. Na wrocławskim kulturoznawstwie funkcjonuje nawet Pracownia Badań Pejzażu Dźwiękowego. Nie zmienia to faktu, że nagraniami terenowymi profesjonalnie zajmuje się w Polsce raptem kilkanaście, może kilkadziesiąt osób, a kiedy słuchacz próbuje się czegoś dowiedzieć na ten temat w internecie, zaraz utonie w poradach sprzętowych – opowiada Zygmunt.

W wydanym w 2017 r. zbiorze esejów i wywiadów „Nagrania terenowe" krytyk muzyczny Filip Szałasek pisze, że najwyraźniej zmieniamy właśnie nasze zdanie o udziale człowieka w świecie, skoro do własnego portretu dodajemy słuch tak pomyślany, by mógł pełnić funkcję narzędzia poznania: „Jeżeli zanosi się na zwrot audiocentryczny – a zatem jeśli przenosimy uwagę z oka na ucho, z wizji na fonię – to ważne jest, byśmy spróbowali naświetlić towarzyszące temu odczucia. Dlaczego tak się natężamy, żeby słyszeć?". W swojej książce Szałasek rozmawia m.in. z Marcinem Barskim, który w ramach Instytutu Pejzażu Dźwiękowego przygląda się procesom słuchania, oraz Darią Majewską, autorką nagrań do telewizyjnych dokumentów o manifestacjach i zamieszkach.

Michał Zygmunt do samego zainteresowania brzmieniem otoczenia dodał jeszcze muzyczne wykształcenie i inżynieryjną wiedzę o dźwięku. Przy okazji mu się jeszcze trochę poszczęściło. Najpierw Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej zamówiła u niego materiał dźwiękowy do badań nad emocjami, potem WWF Polska poprosił o płytę z nagraniami przyrody.

W lecie 2018 r. muzyk własnym sumptem wydał album „Dzikie rzeki", na którym realizował już własne artystyczne zamierzenia. Płytę nagrywał w całym kraju: nad Odrą, Biebrzą, Wisłą, w Bieszczadach. Sprzedała się w kilku tysiącach egzemplarzy, a radio RMF Classic poświęciło jej cały weekend.

Boski element

To było pięć, może sześć lat temu, wczesną wiosną. Na nadodrzańskich rozlewiskach roi się od dzikich gęsi. Nieważne, gęgawy, zbożówki czy białoczelne. W przelotach dają ogłuszające koncerty. Dźwiękowa petarda, nie da się spać.

Zygmunt chce się do nich zbliżyć, wejść w stado z mikrofonem, ale nie umie ich podejść i tylko je przepłasza. Jest bliski rzucenia wszystkiego w kąt, obiecuje sobie, że spróbuje ostatni raz. Zarywa noc, przed świtem idzie pięć kilometrów za dom, ale gęsi nie ma. Natomiast niedługo potem przylatują, pięćset, może sześćset osobników. Nie widzą go, tylko siadają na polu i hałasują, a on ma wrażenie, że jest częścią czegoś większego. Częścią stada. ↦

↦ – Można by oczywiście zostawić mikrofon w terenie, żeby nagrywał wszystko jak leci, a potem wrócić po sprzęt i słuchać w domu. Ale przecież chodzi o przeżycie – mówi.

– A jesteś w stanie to przeżycie przekazać potem słuchaczowi?

– To zawsze jest coś innego, jak ze słuchaniem muzyki z płyty i na żywo. Dlatego często autorzy nagrań terenowych dodają do swoich albumów opisy każdej ścieżki. To pomaga w odbiorze, odsłuch przestaje być zupełnie abstrakcyjny. Wiadomo, na co zwrócić uwagę w tym natłoku dźwięków.

– A ty co konkretnie chcesz nagrać?

– To może być pejzaż dźwiękowy, którym w trzech, może pięciu minutach opowiesz jakąś konkretną historię. A może chodzić o konkretne zjawisko. Na „Dzikich rzekach" nagrałem szpaki, kilka tysięcy szpaków przed odlotem. Cała sytuacja nie jest długa, ale bardzo intensywna. Czasem jeden głośny krzyk jest wszystkim, czego potrzebuję. Ale z reguły staram się spośród tych wszystkich godzin nagrań wybrać moment, w którym coś zaiskrzyło. Każdy muzyk czeka na tzw. boski element. To może być polifonia dźwięków, barwa całości, wiatr, który pięknie komponuje się z otoczeniem. Albo mgła. Każdy dźwięk zupełnie inaczej rozchodzi się we mgle niż bez niej. Spływa po niej.

Kiedy zauważam, że rzeczownik „pejzaż" rodzi natychmiastowe skojarzenia z fotografią i malarstwem, a więc trudno mu funkcjonować bez patrzenia, mówi o zamkniętych oczach. Przekonuje, że nijak nie wizualizuje sobie rejestrowanych sytuacji, a dźwięk jest pełnoprawnym bodźcem.

Przykład: zima, kruki walczą nad padliną. Rytmiczne krakanie, echo. Przylatuje myszołów, chce dołączyć do uczty, słychać jego wysoki krzyk. I jeszcze tło – kościelne dzwony gdzieś u ujścia doliny, kilka kilometrów dalej. Kruki, myszołów i dzwony to razem muzyka. Ambient.

Przykład drugi: nad krajobrazem wisi burza. Grom, uderzenie, które ciągnie się przez kilka minut. Słychać też pojedynczego ptaka. Boi się, zaczyna krzyczeć, być może migiem załatwia swoje rozrodcze pieśni, byle zdążyć przed burzą. Coraz bliższa ściana deszczu, która w końcu ucisza ptaka. Emocje natury jak na dłoni.

Ale wśród nagrań Michała Zygmunta są też dźwięki, których przeciętny człowiek nie zna: – Mikrofony zbierają esencję, tak samo jak obiektyw aparatu. Używam różnych mikrofonów w zależności od sytuacji i pomysłu. Bo dźwięk jest wibracją i można go pokazać na wiele sposobów. Choćby używając hydrofonów. Podwodny świat to przecież dla nas coś zupełnie obcego. Możesz też wziąć mikrofon kontaktowy i włożyć go na przykład w mrowisko. Ogranicza cię tylko wyobraźnia.

Tramwaj kontra kowal

– Da się tak słuchać, żeby podświadomie nie ilustrować dźwięków obrazami? – pytam.

– Dźwięk jest olbrzymim magazynem naszej pamięci. Sęk w tym, że wzrok przykrywa wszystko. Najpierw widzimy, więc uważamy, że już nie potrzebujemy słyszeć. Ale gdybyśmy się głębiej zastanowili, dojdziemy do wniosku, że większość istotnych wspomnień to przede wszystkim dźwięki. Problem w tym, że my nie potrafimy słuchać. Dźwięk wymusza uwagę, skupienie, którego się nie uczymy. Widzę to po mojej córce. Współczesny system edukacji zapomina o czynnościach wymagających uwagi. Łatwiej jest nam zająć się milionami spraw naraz, niż zatrzymać się i przez pięć minut robić jedną rzecz w skupieniu. Rysować, szyć.

– Świat byłby lepszy, gdybyśmy więcej słuchali?

– Możemy dziś funkcjonować nieustannie otoczeni hałasem. W domu telewizor, w samochodzie radio, w autobusie słuchawki. Pełne odcięcie. Tymczasem słuchanie kreuje naszą wyobraźnię. Organizuję czasem pokazy dźwiękowe, ludzie wychodzą z nich zamyśleni, uspokojeni. Bo spotkanie z dźwiękiem jest tak naprawdę spotkaniem z samym sobą. Obraz prowadzi na zewnątrz, dźwięk do wewnątrz. Być może niektórzy nie potrafią skupić się na słuchaniu, bo są wtedy zbyt blisko siebie? Może nie chcą się konfrontować?

– Usłyszałeś kiedykolwiek ciszę?

– Jest taki mit, że w przyrodę idzie się po ciszę. Że dźwięki natury to muzyka relaksacyjna. Tymczasem tam nie ma momentów prawdziwej ciszy. Zawsze coś słychać. Przy kilkuset żurawiach nie ma się też jak zrelaksować. Głowa pęka, do-

piero po nich chce się odpocząć. Kiedy zaczynałem, myślałem, że zima będzie czasem wyciszenia, tymczasem to jest świat dźwięków subtelnych. Być może ciszy trzeba szukać wśród ludzi?

– To czym się różni dźwięk miasta od dźwięków natury?

– Słuchając natury masz poczucie, że to coś pierwotnego. Rzeka brzmi dziś tak samo, jak brzmiała tysiąc lat temu. Z kolei miasto jest dynamiczne. Pomyśl, jak przez ostatnie dziesięć lat zmieniło się brzmienie samochodów. Jak na głos miasta wpłynęły choćby piszczące bankomaty. Albo zniknięcie kurantów. Jak za kolejną dekadę zmienią je auta elektryczne. I jak zmienia je nasza ewoluująca mowa, którą przecież nieustannie słychać. Paradoksalnie być może miasta stają się coraz cichsze. Wyobraź sobie średniowiecze: wąskie uliczki, warsztaty, kowale, życie na zewnątrz. Ludzie musieli pewnie krzyczeć, żeby się usłyszeć. Może ten dzisiejszy tramwaj wcale nie jest najgorszy? Chociaż nie ulega wątpliwości, że nasze pejzaże dźwiękowe są kompletnie zaśmiecone. Zawsze poleci jakiś samolot. Pilarz, auto, kosiarka do trawy.

Radość z rzeki

Znowu Odra. Wsiadamy w samochód i jedziemy kilka kilometrów w górę rzeki. W pewnym momencie kończy się asfalt, a zaczyna Użytek Ekologiczny Naroczycki Łęg. Odra zakreśla w tym miejscu spektakularny meander, zdjęcie satelitarne zdradza, że koryto nie zawsze miało tu jednorodny przebieg. Łęgi to lasy zalewowe, które funkcjonują dzięki temu, że raz na jakiś czas rzeka wyłazi z koryta. Wahania stanu jej wody są dla topoli, wierzb, olsz jak oddychanie. Wdech i wydech.

W takim miejscu nie da się prowadzić gospodarki leśnej. Stąd m.in. 70 drzew pomnikowych, w tym najstarsza chyba w Polsce dzika grusza o obwodzie 260 cm oraz gniazdo bielika. Wilki przywędrowały tu już parę lat temu. Podobno na drugim brzegu miały już nawet miot.

Idziemy w kierunku rzeki, na dzień dobry przepłaszając parę żurawi i bażanta, który z przerażeniem uskakuje nam spod nóg (to będą dwa wyróżniające się dźwięki, które usłyszę potem podczas odsłuchiwania kilku godzin rozmowy). Zygmunt mówi, że chodzą tu tylko on i myśliwi. Wody w Odrze jest teraz mało, więc pod nogami sucho. Żurawie raczej nie znajdą tu w tym roku miejsca na gniazdo.

– Zwykle mam tu raj, bo o tej porze roku jest już pełno wody. Wskakuję w kanu i pływam wśród starorzeczy. Rozlewiska są świetne do nagrań, bo zwierzęta przede wszystkim boją się kroków. Jak płyniesz, to ich nie stawiasz. Możesz podpłynąć nawet na dziesięć metrów, zanim uciekną.

Mijają kwadranse, ale głównego nurtu wciąż nie widać. Muszę zawracać, żeby zdążyć na powrotny pociąg. Zupełnie jakby chciał mnie pocieszyć, Zygmunt zauważa: – Rzeka to coś więcej niż tylko rynna transportująca wodę. Trzeba na nią patrzeć kompleksowo. To wielki, tętniący życiem ekosystem otaczający tę rynnę. Mam wrażenie, że tu jest rzeka nawet bardziej niż tam. Nawet jeśli teraz nie widzisz żadnej wody. Bez Odry nie byłoby tego łęgu. Nie byłoby tu życia.

Kiedy pytam o plany na przyszłość, opowiada o pieśniach wiatru. Wiatr to jego nowa fascynacja. Dźwiękowcy zwykle go nie lubią, bo wali w mikrofony i psuje nagrania. Ale, metaforycznie, zwykle niesie ze sobą jakieś zmiany. Żyjemy w czasach niepewności, nikt nie wie, co czai się za zakrętem, więc może wzorem dawnych szamanów powinniśmy wyjść na zewnątrz i nasłuchiwać wiatru? A nuż, jak w piosence Boba Dylana, da nam jakieś odpowiedzi?

– Na razie jednak codziennie odpalam kanu – konkluduje Zygmunt. – Głównie po to, żeby się rozgrzać i rozruszać. Przygotowuję się na Biebrzę. Całą jesień i zimę siedziałem w studiu, już mnie nosi. Ciągnie w teren.

– Za każdym razem bierzesz sprzęt do nagrywania?

– Coraz częściej zostawiam go w domu. Nagranie to jednak zawsze jakiś stres. Boisz się, że coś huknie, że przeleci samolot. Przestawałem się cieszyć samą rzeką. Staram się więc część czasu spędzać w terenie bez powodu. Żeby nie było tak, że wychodząc nad rzekę, czuję się, jakbym wchodził do studia nagraniowego. Więc zamiast tego biorę ze sobą córkę. Razem sobie pływamy.

© ADAM ROBIŃSKI

MICHAŁ ZYGMUNT *jest muzykiem i kompozytorem. Autor jedenastu płyt, w tym „Dzikie rzeki" i „W harmonii z naturą" z nagraniami terenowymi przyrody. Z nadodrzańskich drzew konstruuje gitary marki Odra Guitars. Prowadzi stronę www.acoustic.pl*

Na zdjęciu: panorama Użytku Ekologicznego Naroczycki Łęg w zakolu Odry

STANISŁAW

Mancewicz:
Człowiek i przedmiot

Komentarzy do osobliwej porady ministra Szczerskiego, by nauczyciele oparli swe dochody na prokreacji, było aż nadto i nie będziemy się nimi zajmować. Warto jednak zasygnalizować rzeszom badaczy różnych specjalności, że ów egzotyczny urzędnik z nieoczywistymi dla nas uprawnieniami do występów publicznych odsłonił zupełnie nieznane pole badawcze. Samiśmy są zaciekawieni, jaki wpływ na sferę Wenus tej grupy zawodowej miała owa porada. Czy jest ktoś, na kogo podziałała motywująco? Nie można przecież wykluczyć, że wypowiedź ministra w radiu wywołała u kogoś pragnienie odbycia stosunku płciowego sprzężonego z nadzieją zysku pochodzącego z zasiłku. Nie kryjemy, że z ogromnym zaciekawieniem przeczytalibyśmy sobie porządnie zrobiony sondaż w tej perwersyjnej kwestii.

Generalnie ostatnie dni obfitowały w różnorakie, publiczne przeprosiny – w tym też w sprawie powyższej – i wyrazy ubolewania z powodu tzw. niefortunnych wypowiedzi. Pod tym żałosnym eufemizmem kryją się na ogół opinie jednoznacznie obelżywe, serwowane co chwilę przez coraz to wyższych funkcjonariuszy państwa. Takie czasy. Oczywiście wszystkie te przeprosiny były wyjęte żywcem z prastarej Polskiej Szkoły Przepraszania, której podstawową zasadą jest nie tyle nie przeprosić, ile doobrazić i wykazać takoż, że nieprzepraszany jest osobnikiem o umysłowości pantofelka, nierozumiejącym najprościej skonstruowanej zniewagi. Jeden z prominentnych obrażających – to kolejna cecha tego typu zdarzeń – któremu zagrożono sądem i solidnym finansowym roszczeniem, rozpoczął natychmiast publiczne szlochy, że jak go skażą, to zbiednieje i zgłodnieje. Najpierw kompulsywna chamówa, potem szantaże emocjonalne, pisanie wniosków o łaskę, bek i popisy nędzą. Głównie bek. Nic to nowego wśród herosów polskiej prawicy. Oczywiście bardzo lubimy ten rodzaj prostactwa, powszechnie spotykanego wśród polityków rządzących, którzy niejako trenują bezkarne wykazywanie, że obywatele są dla nich jako ta mierzwa. Ten temat jest takoż stary i niewart dłuższych analiz, chcieliśmy tylko odnotować, że żaden objaw degeneracji i regresu nam nie umyka.

Skoro, mimo woli, bolejemy nad kondycją świata, musimy poczciwie iść dalej. Pogwarzymy sobie zatem o recenzjach i ocenach, mówiąc zgrubnie. Przy okazji tych wszystkich męczących bredni ulewających się tu i ówdzie, podczas kolejnego ataku na słabszą mniejszość i łatwiuśkiego wywoływania panicznych lęków u wyklętych, nieustraszonych i dumnych, rzuciła się nam w oczy pewna reguła, by nie rzec – regulacja.

Oto znalezienie dziś szczegółowej, życzliwej opinii o dowolnym człowieku jest znacznie trudniejsze niźli znalezienie negatywnej i pobieżnej oceny jakiegokolwiek przedmiotu. Wyrozumiałość wobec towarów i niechęć wobec opiniowanych ludzi – popatrzmy gdziekolwiek – to zawsze zaburzenie proporcji co najmniej zastanawiające. Przedmiot, choćby był ostatnim chłamem, jest oceniany zawsze szalenie rzeczowo i szczegółowo, a człowiek zawsze pobieżnie, ze skłonnością do zatłuczenia. Zjawisko to, zaledwie tu zasygnalizowane, jest zapewne wynikiem powszechnego konsumpcjonizmu, w którym jest mniej miejsca na niesprawiedliwe oceny, gdzie panuje powszechny kult rzetelności, głównie gdy idzie o potrzebę wykazania się profesjonalną opinią kupującego. Snując się teoretycznie, wypadałoby się w tej sytuacji zastanowić nad przywróceniem niewolnictwa. Zapewne niewolnik sprzedawany w internecie zyskałby więcej profesjonalnych, pozytywnych i konkretnych opisów siebie niźli dzisiejszy człowiek zasadniczo wolny. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE OPP

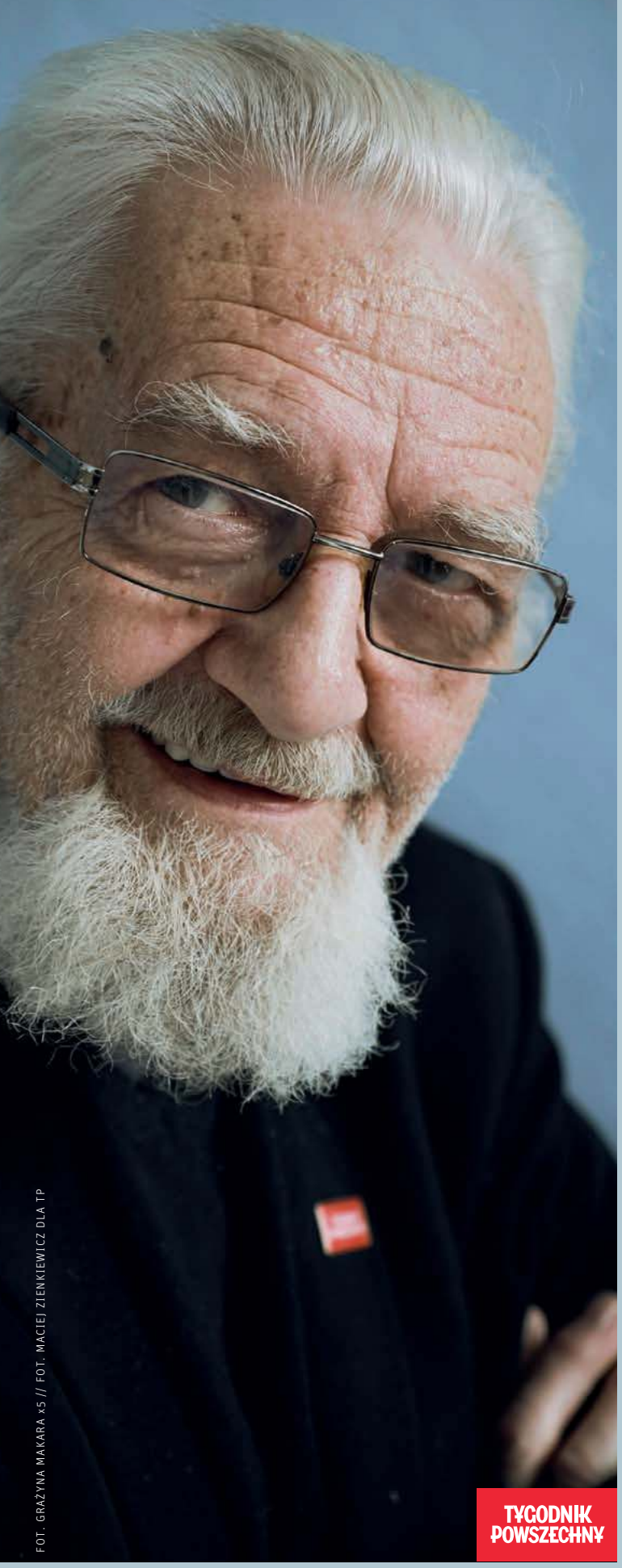

FOT. GRAŻYNA MAKARA x5 // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję Pani, dziękuję Panu!
Bo to dzięki Wam
„Tygodnik Powszechny” jest niezależny.
Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?”
z dumą odpowiadamy:
WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.
Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.
To dzięki Wam nasze pismo
z roku na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 125 605

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

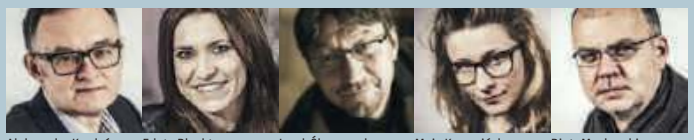

Aleksander Kardyś prezes zarządu Fundacji TP
Edyta Płachta członkini zarządu Fundacji TP
Jacek Ślusarczyk prezes zarządu TP
Maja Kuczmińska członkini zarządu TP
Piotr Mucharski redaktor naczelny Tygodnika Powszechnego

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok. Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: **rodzina.gov.pl**
Szczegółowy regulamin prenumeraty na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

+

KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę powszech.net/prenumeruj, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY